ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400

NR 11 (178) LISTOPAD 2013

CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)

„Droga – Widmo”

EKSPEDYCJA NA PÓŁNOCNĄ Syberię

www.odkrywca.pl

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

GTI 2500

GTI 1500

ACE 150

ACE 250

EuroAce

GARRETT® METAL DETECTORS www.garrett.com

GTP 1350

INFINIUM *LS*

Sea Hunter Mark II

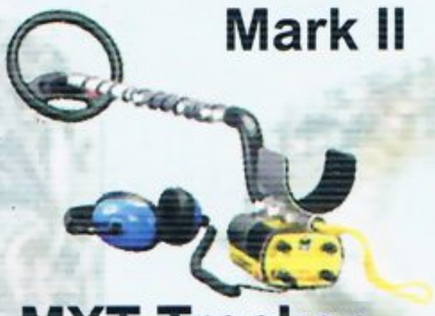

AT PRO

AT Gold

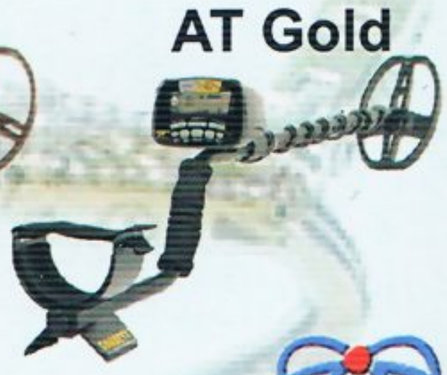

Spectra V3i

Spectra VX3

MXT Tracker

MXT PRO

white's

TM 808

Matrix M6

Coinmaster

Coinmaster Pro

Coinmaster GT

E-Trac

CTX 3030

Safari

NOWOŚĆ

MINELAB

Excalibur II

GPX - 5000

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Eureka Gold

FISHER RESEARCH LABS

Detecting & Underground Locating Equipment

F75 LTD

CZ 3D

F2

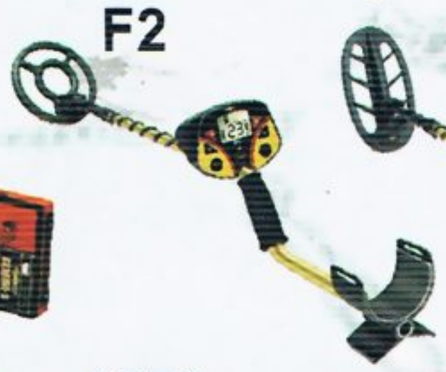

F4

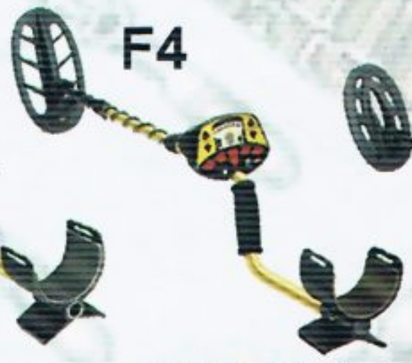

F5

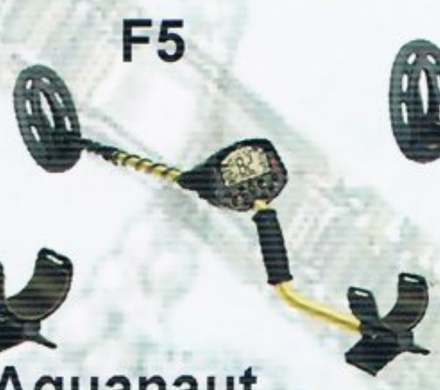

F70

F75

Gemini-3.

CZ 21

1270

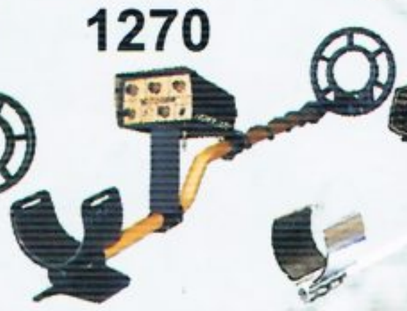

1280-X Aquanaut

Deus

Gold Maxx

GMaxx II

Gold Bug

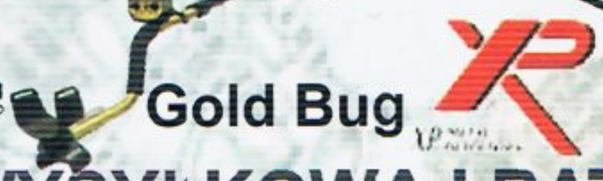

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

LISTOPAD 2013

POSZUKIWANIA

3 **Na tropie „Martwej Drogi”, czyli „Odkrywca” na północy Syberii**
Głównym celem wyprawy miało być dotarcie do tzw. „Martwej Drogi”, gdzie do dziś zachowały się pozostałości sowieckich obozów pracy. Więźniowie owych łagrów pracowali głównie przy budowie transpolarnej magistrali kolejowej określanej kryptonimem „Budowa nr 503”.
Łukasz Orlicki

12 **Skarb z unickiej cerkwi**
Wojciech Mazurek

16 **Jeden samolot – dwie historie…**
Krzysztof Ligenza

20 **Zapomniane fortyfikacje Twierdzy Przemyśl**
Widziane z góry (cz. 5)
Sebastian Różycki, Mateusz Zawadzki

23 **Zapasowe lądowisko, czy „poligon doświadczalny” Wilczego Szańca?**
Mariusz Kwiatkowski

26 **Poszukiwania w cieniu Zagłady…**
„Powiedzieli, że prokurator wykopał pieniądze i tymi wykopanymi pieniędzmi nas wszystkich w domu podzielił i z tego powodu była u mnie rewizja. Szukali tych dolarów i biżuterii. Rysiek załatw sprawę z panem prokuratorem bo ja z matką już nie żyję, co myśmy przeszli…”.
Piotr Maszkowski

30 **Likwidacja lwóweckich składnic muzealnych**
Szymon Wrzesiński

36 **Klęska odkrywców hiszpańskiej fregaty**
Marcin Szymaniak

TAJEMNICE HISTORII

40 **Olszowa – do niedawna ściśle tajna**
Dariusz Pietrucha

AKTUALNOŚCI/WYDARZENIA

48 **W strugach „olbrzymiego” deszczu**
Piotr Maszkowski

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

49 **Miednoje – policyjny znak pamięci**
Grzegorz Grześkowiak

52 **Na tropie radonu**
Tomasz Rzeczycki

KOLEKCJONERSTWO

57 **Kieszonkowa artyleria Regio Esercito**
Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 6)
Piotr Galik

62 **Peem Diegtiariowa – „strychówka” z Podkarpacia**
Michał Mackiewicz

FORTYFIKACJE

65 **Co to jest T-Werk?**
Martin Büren, Jerzy Sadowski

BATALIE I POTYCZKI

67 **Burza w bałkańskim kotle 1912-1913. Preludium Wielkiej Wojny**
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości listopada w Księgarni Odkrywcy**

Okładka:
„Martwa Droga” usiana jest pozostałościami po zbrodniczym projekcie Stalina.
Na okładce: zarosły krzewami, przewrócony na bok parowóz amerykańskiej produkcji.
Zdjęcia: arch. Projektu „Dead Road 2013”.

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

W marcowym numerze „Odkrywcy" z 2011 r. ukazał się artykuł Piotra Maszkowskiego pt. „Długi marsz ku prawdzie" o ucieczce z syberyjskiego łagru ośmiu skazańców, w tym Sławomira Rawicza autora wspomnieniowej, wydanej w Anglii w 1956 r., książki pt. „Długi marsz". Okładka tego numeru opatrzona została wymownym hasłem: „Z Gułagu ku wolności…". W kwietniu 2011 r. wszedł na ekrany polskich kin film „Niepokonani" w reżyserii wybitnego australijskiego twórcy Petera Weira, będący luźną ekranizacją wspomnień Rawicza o niezwykłej odysei ośmiu łagierników.

„Długi marsz" i film Petera Weira stały się impulsem dla trzech polskich podróżników, którzy podjęli trud wyprawy śladem bohaterskich łagierników. Rozmowa „Odkrywcy" z jednym z nich, Tomaszem Grzywaczewskim, opublikowana w nr marcowym, stanowi znakomity przykład inspirującej roli historii w przeżyciu osobistego, ale i uniwersalnego zarazem doświadczenia, jakie wiąże się z odkrywaniem jej tajemnic. Przy okazji zwraca uwagę Czytelników na samo zagadnienie funkcjonowania sowieckich łagrów, będących częścią systemu represji i niewolniczej pracy znanego od książki Aleksandra Sołżenicyna jako Archipelag Gułag.

Książka rosyjskiego noblisty nazywanego również sumieniem Rosji, wywołała we wczesnych latach 70. minionego wieku wstrząs moralny i polityczny. „Archipelag Gułag" ostatecznie pozbawił ruchy i partie komunistyczne – silne w ówczesnej Europie – moralnej legitymacji i ideowego fundamentu. Społeczeństwa Zachodu dopiero wtedy dowiadywały się całej prawdy o systemie stworzonym przez Stalina. Romantyczno-naiwne postrzeganie systemu radzieckiego legło w gruzach. Polskie doświadczenie z literaturą łagrową jest oczywiście inne – romantyzmu i naiwności tu nie było – była za to cenzura, zakłamana lekcja historii i z czasem głos Radia Wolna Europa oraz podziemny obieg wydawniczy. Dzisiaj prawda o „Nieludzkiej Ziemi" z tytułu książki Józefa Czapskiego jest jakoś uświadamiana. Ale to „jakoś" chyba jednak nie zadowala i myślę, że każda sposobność otwierająca naszą uwagę na pamięć o losach ludzi z „Innego świata" (Gustaw Herling-Grudziński) jest warta wykorzystania.

Podróżnicy zafascynowani tematem funkcjonowania sowieckich łagrów, podjęli w tym roku nowe wyzwanie – wyprawę na północ Syberii śladami zbrodniczego projektu Stalina, zwanego „Martwą Drogą". W ekspedycji uczestniczył także „Odkrywca" reprezentowany przez naszego kolegę Łukasza Orlickiego.

Głównym naukowo-poznawczym celem wyprawy na „Martwą Drogę" było pozyskanie niepublikowanych w Polsce źródeł i udokumentowanie pozostałości terenowych po nieukończonej transpolarnej magistrali kolejowej, czyli stalinowskim projekcie o kryptonimie: „Budowy nr 503". Przy jej budowie pracowało ponad 100 tys. więźniów Gułagu. Do dziś nikt nie jest w stanie określić, ilu z nich pozostało tam na zawsze…

Na miejscu, w niezamieszkałych rejonach tajgi pozostają dowody zbrodni – mogiły, zapomniane, oplecione stalowym drutem kolczastym rozsypujące się obozy, karcery, budynki administracji, mosty, parowozy, wagony i setki kilometrów torów kolejowych – efekt pracy więźniów: Rosjan, Niemców, Łotyszy, Litwinów, Węgrów, Polaków i przedstawicieli wielu innych narodowości. Obecnie pomiędzy miejscowościami Salechard i Igarka istnieje kilkadziesiąt obozów – prawdziwy skansen dokumentujący funkcjonowanie sowieckiego systemu pracy niewolniczej. Jednak aby tam dotrzeć i przeprowadzić jakiekolwiek badania terenowe, należy pokonać wiele przeszkód. Publikowana w niniejszym numerze „Odkrywcy" relacja, opisuje jedynie część trudów i przygód, jakie przeżyli uczestnicy miesięcznej wyprawy na daleką północną Syberię. Efekty naukowe wyprawy, dokładny opis pozostałości po obozach i ustalenia dotyczące polskich śladów na jakie udało się natknąć, pojawią się już wkrótce na łamach „Odkrywcy".

Nie muszę zapewniać Czytelników o tym, że również wszystkie inne artykuły wypełniające listopadowe wydanie „Odkrywcy" powstały ze wspólnej dla nas wszystkich inspiracji odkrywania tajemnic historii.

Zapraszam serdecznie do lektury !

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Na tropie „Martwej Drogi”, czyli „Odkrywca” na północy Syberii

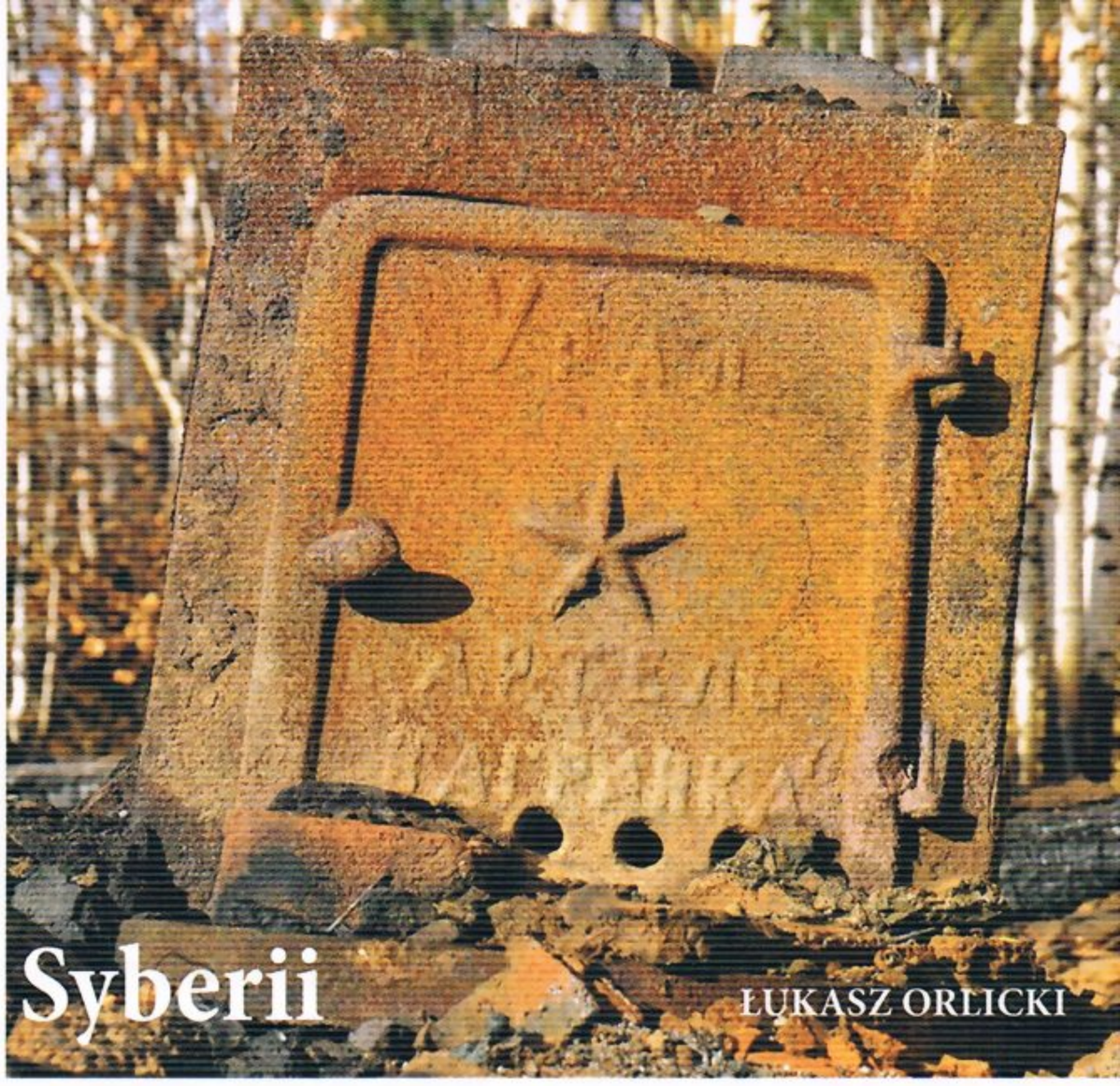

ŁUKASZ ORLICKI

Słońce, deszcz, śnieg, rzeki i bagna. Łodzie i helikoptery. Tajga, tundra, szczupaki na rożnie i kaczki w kotle, czasami niedźwiedzie. Łagry, szyny i przewrócone lokomotywy pozostawione kilkaset km od większych siedzib ludzkich. Uczynni syberyjczycy i mrukliwi myśliwi z rdzennych ludów Północy. Koszmarne papierosy i wszechobecne dubeltówki oraz przerażająco wysokie ceny w sklepach. I cisza, przestrzeń i odległości… gdzie 50 km, to spacer do najbliższego sąsiada.

Gdyby naszą podróż można było zapisać w pojedynczych slajdach, być może tak powinny wyglądać tytuły zdjęć z miesięcznego pobytu na Syberii – w okolicach koła podbiegunowego i rzeki Jenisej. Tam, gdzie w 1949 r. rozpoczęto budowę jednego z najbardziej kosztownych projektów ZSRR – portu morskiego odległego 500 km od morza i linii kolei żelaznej przebiegającej przez strefę wiecznej zmarzliny. Dzisiaj pozostałości tego projektu nazywane są „Martwą Drogą”.

Syberia – słowo to samo w sobie jest magiczne i jednocześnie enigmatyczne. I choć w pierwszej chwili pojawiają się u nas całkiem prawidłowe skojarzenia z tajgą, niedźwiedziami i mrozem, to reszta pozostaje często tylko mglistym wyobrażeniem. Nawet tak banalna sprawa, jak prosta geografia. Chyba rzadko kto w naszym kraju (oprócz byłych zesłańców, więźniów, podróżników i nauczycieli) już w pierwszej chwili uświadamia sobie, jak ogromna to kraina. Zwrot *„byłem na Syberii”* oznacza mniej więcej tyle samo co: *„byłem w Europie”*. Mają one bowiem bardzo zbliżoną powierzchnię. Co więcej, nawet zdawałoby się węższe określenie, w rodzaju *„byłem na północno-środkowej Syberii”* dotyczy tak wielkiego obszaru, że może zakręcić się w głowie. Po powrocie do kraju, jeden z kolegów po usłyszeniu ogólnikowego stwierdzenia, że byliśmy na *„północnej Syberii”*, powiedział: – *szkoda, że nie wiedziałem, przekazałbym wam kontakt do mojego znajomego, interesuje się łagrami i mieszka **w tamtym rejonie**, nad Bajkałem*. Spojrzałem na mapę. Jezioro Bajkał dzieliło od celu naszej wyprawy jakieś… 2000 km, czyli tyle, ile mniej więcej Wrocław od Madrytu. *„No ładna”* – jakby powiedział Rosjanin.

Członkowie wyprawy przed polskim kościołem pw. Świętej Rodziny w Krasnojarsku. Od lewej: Łukasz Orlicki, ojciec Szymon, Anna Hyman, Maciej Cypryk, Marek Kozakiewicz, Tomasz Grzywaczewski.

Początek ekspedycji

W maju 2013 r. z „Odkrywcą” skontaktował się nasz przyjaciel Tomasz Grzywaczewski – podróżnik i organizator historyczno-ekstremalnych wypraw. Jego przygody podczas podróży trasą ucieczki z łagru, wg powieści Sławomira Rawicza „Długi Marsz”, opisywaliśmy w nr 3/2011 „Odkrywcy”. Tomek zaproponował nam uczestnictwo w kolejnym, tym razem międzynarodowym projekcie związanym z łagrami. Głównym celem wyprawy miało być dotarcie do tzw. „Martwej Drogi”, gdzie do dziś zachowały się pozostałości sowieckich obozów pracy. Rejon ten znajduje się w strefie koła podbiegunowego, w okolicach miejscowości Igarka i Turuchańsk w dalekim Krasnojarskim Kraju. Więźniowie owych łagrów pracowali głównie przy budowie transpolarnej magistrali kolejowej, określanej kryptonimem „Budowa nr 503”. Projekt został rozpoczęty na rozkaz Stalina w 1949 roku. W 1953 r., tuż po śmierci dyktatora, Beria wstrzymał prace i nakazał przyspieszoną ewakuację całego projektu. W lasach i bagnach pozostawiono dziesiątki obozowych baraków, lokomotywy, wagony, drezyny, nasyp kolejowy z praktycznie ukończonymi odcinkami szyn, mijanki i mosty. Strefa wiecznej zmarzliny, długotrwałe zimy i głębokie odludzie doskonale

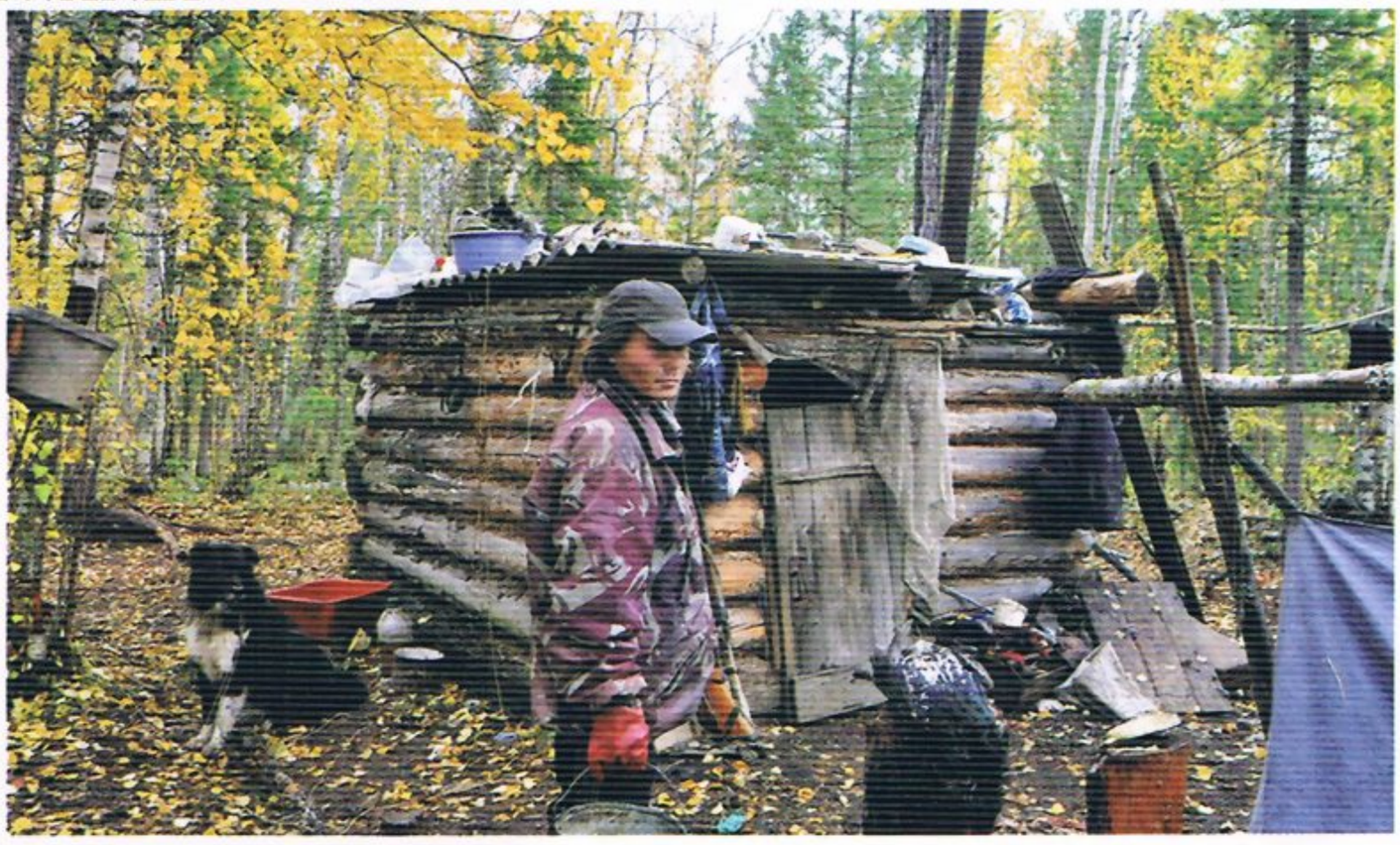

W trakcie ekspedycji spotkaliśmy Rusłana – myśliwego, który spędza samotnie w tajdze praktycznie cały rok. Nie widzi zbyt wielu ludzi. Myśliwi czasem korzystają z najlepiej zachowanych budynków obozowych. W kilku z nich znaleźliśmy ślady ich bytności, wystrzeloną amunicję, sól, przedmioty codziennego użytku.

zakonserwowały pozostałości po obozach. W odróżnieniu od leżących bardziej na południe obszarów Syberii, gdzie przyroda i człowiek dosyć szybko zadbali, aby po łagrach nie pozostał żaden ślad.

Najbardziej dalekosiężnym celem naszej wyprawy było dotarcie do leżących gdzieś pośrodku tajgi dwóch obozów, których dobry stan zachowania potwierdzały zdjęcia satelitarne.

Aby tego dokonać, wystarczyło przelecieć samolotem przez połowę Rosji do Krasnojarska, stamtąd popłynąć rzeką Jenisej na północ, ok. 1200 km do miejscowości Turuchańsk. Następnie helikopterem, lub motorówką, lub… w bliżej nie sprecyzowany jeszcze sposób udać się ok. 200 km w linii prostej do otoczonej lasami samotnej stacji meteorologicznej Janow Stan. Skąd pozostawało już tylko pieszo przebrnąć przez błotnistą tajgę kilkadziesiąt km na zachód do docelowego obozu, chroniąc się przed niedźwiedziami, wilkami, opędzając się od bardzo agresywnych komarów, krwiożerczych meszek i unikając syberyjskich drwali. Proste… Aha, wstępny plan całkiem rozsądnie przewidywał, że należało jeszcze stamtąd jakoś wrócić. Brzmiało to arcyciekawie.

Projekt „Dead Road 2013"

Szefem wyprawy został główny pomysłodawca – Tomasz Grzywaczewski, współorganizatorem Maciej Cypryk, doświadczony podróżnik odpowiedzialny za aprowizację wyprawy. Jako przedstawiciel Uniwersytetu w Nowym Jorku w podróż wyruszyła Anna Hyman – doktorantka na Wydziale Historycznym, specjalizująca się w historii systemów totalitarnych. Odpowiedzialnym za dokumentację filmową był, kończący PWSFTViT, czyli łódzką „filmówkę", doskonały operator Marek Kozakiewicz. Skład zamykał Łukasz Orlicki z „Odkrywcy" – z zadaniem czuwania nad badaniami terenowymi i pomiarami docelowych łagrów.

Wyprawa została sfinansowana przez łódzką firmę TME oraz Wydawcę „Odkrywcy" i New York University. Brakujące środki finansowe uzupełnili już z własnej kieszeni: Tomasz Grzywaczewski i Maciej Cypryk – współwłaściciele firmy „Storysites", będącej głównym organizatorem ekspedycji. Wyprawie nieocenionej pomocy materiałowej udzieliła również firma Helikon-tex, stały sponsor Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca", przekazując solidne, ciepłe polary, spodnie i rękawiczki.

Etap I – podróż

24 sierpnia, zgodnie z planem, wyprawa dotarła poprzez Moskwę do Krasnojarska – prawie milionowej stolicy Krasnojarskiego Kraju. Tu po raz pierwszy spotkaliśmy się tak naprawdę z rosyjską rzeczywistością, przybraną w północno-syberyjsko-azjatycki koloryt. Powitały nas duże blokowiska i królujące wszędzie japońskie samochody z kierownicami z prawej strony (łatwiej je tu ściągnąć z Japonii, niż z Europy). Samochody są oczywiście przeróżnych typów i rozmiarów, mają jednak pewną, wspólną cechę. Każdy z nich nosi ślady stłuczki. Jeżeli jeszcze ich nie ma, to w krótkim czasie będzie miał. Ilość drobnych kolizji na ulicach jest przeogromna, dlatego też typowym wyposażeniem rosyjskiego samochodu, obok apteczki, pozostaje rejestrator, na którym strony sporu mogą odtworzyć przebieg feralnego zdarzenia.

Egzotykę azjatyckiego miasta podkreśla krajobraz okolicy i olbrzymi konglomerat ras białej i żółtej zamieszkujących Krasnojarsk, a uroku dodaje odcinająca się na tle szarych bloków szeroka wstęga Jeniseju przecinająca miasto, i piękny odremontowany dworzec kolejowy wybudowany jeszcze za caratu.

Do Krasnojarska przybywamy pod koniec sierpnia, gdy króluje wspaniała późno letnia aura. Trudno uzmysłowić sobie, że już za dwa miesiące temperatura może spaść do -30 , a czasem i -50 stopni. Najbardziej zaskakujące okazały się dwa bardzo istotne dla nas fakty: ceny w sklepach – wyższe niż w Polsce (a im dalej na północ, ich wysokość wzrastała) oraz całkowity brak rozkładów jazdy na przystankach autobusowych. Co w połączeniu z raczej intuicyjnym rozmieszczeniem samych, kiepsko widocznych

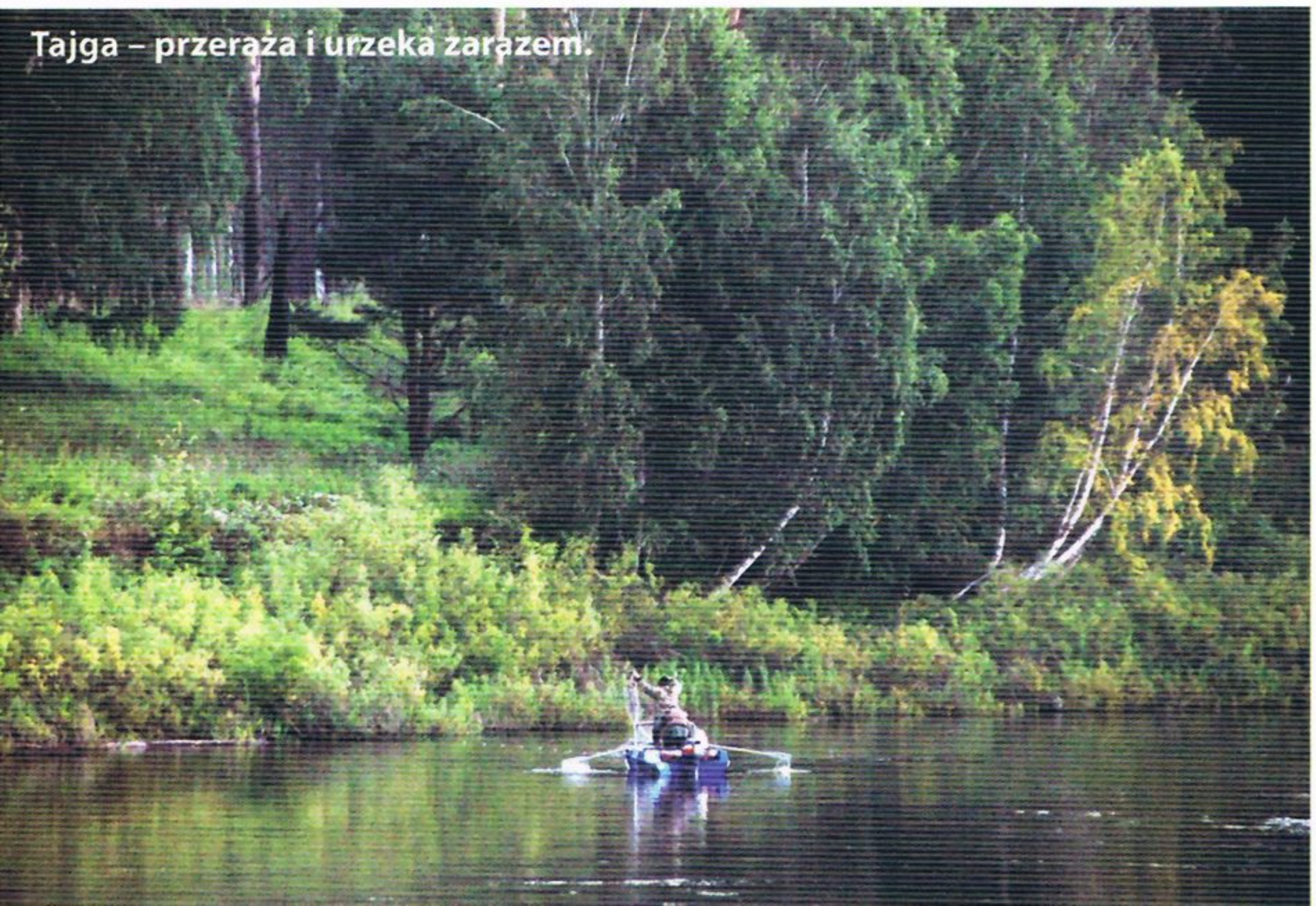

Tajga – przeraża i urzeka zarazem.

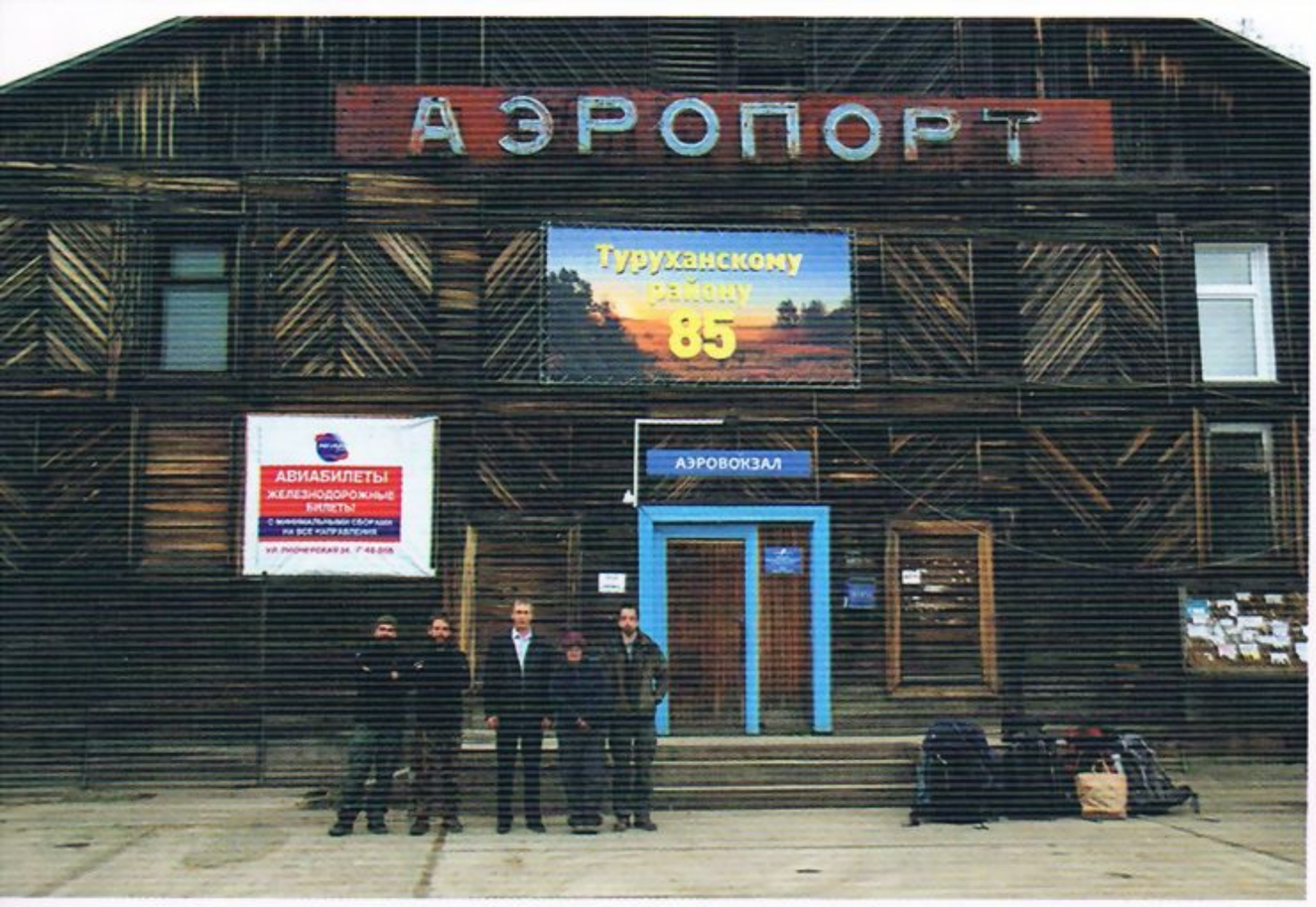

Wejście na lotnisko w Turuchańsku. Pośrodku Aleksander Czyżikow, bez którego wsparcia trudno byłoby zrealizować cele wyprawy.

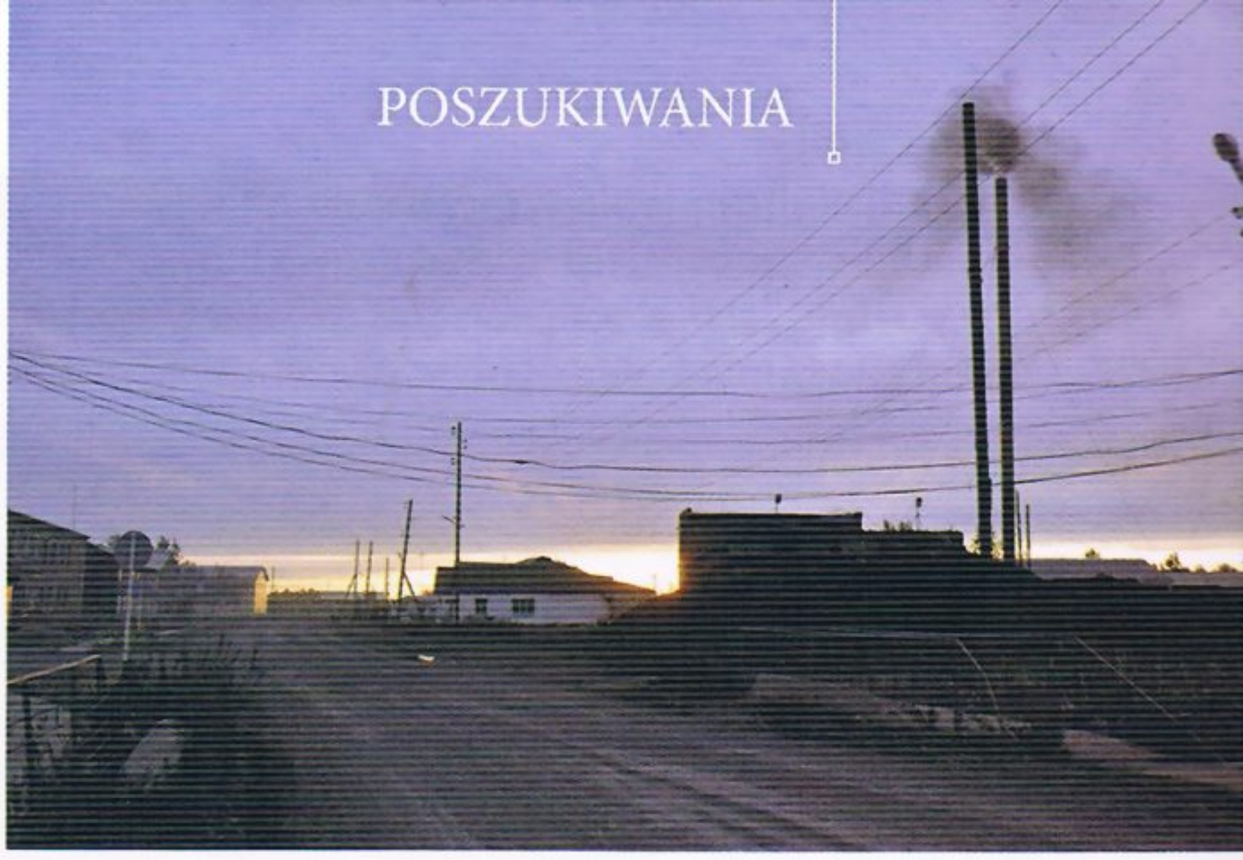

Ulice Turuchańska i widok na kotłownię. Miejscowość nie należy do najpiękniejszych, co charakterystyczne nad ulicami często wiszą prawdziwe stosy kabli energetycznych, telefonicznych itp.

przystanków spowodowało, że podróże po „stolicy Północy" nabrały bardzo interesującego kolorytu. Szczęśliwie, i dzięki olbrzymiej pomocy polskich zakonników – ojców Klaretynów – gospodarzy kościoła pw. Świętej Rodziny w Krasnojarsku, udało nam się pokonać wszystkie przeszkody i zaokrętować na wysłużony statek „Lermontow", który Jenisejem miał dowieść nas do Turuchańska.

Rejs czternastą pod względem długości rzeką świata, to niezapomniane wrażenie. Jenisej jest głęboki, na wielu odcinkach dochodzi aż do 3 km szerokości, z pięknymi, zarośniętymi tajgą wysokimi brzegami, przeplatanymi nielicznymi, malowniczymi miejscowościami. Statki pełnomorskie mogą wpływać nawet do 1000 km w dół rzeki, a sezon żeglugowy kończy się mniej więcej w połowie września, gdy rozpoczynają się pierwsze przymrozki. Ostatecznie po trzech dniach żeglugi, podczas której poznaliśmy całą załogę i mniej więcej połowę pasażerów „Lermontowa" – prawie co do jednego mieszkańców Północy – dobiliśmy do brzegu przy wsi Turuchańsk. Zaczynał się drugi, dużo bardziej skomplikowany etap podróży.

Syberyjska życzliwość

Ostatnim miejscem do jakiego, jeszcze w Polsce, udało nam się szczegółowo zaplanować ekspedycję, była stolica Turuchańskiego Rejonu – administracyjnie rosyjskiego odpowiednika mniej więcej powiatu. Trudno jednak znaleźć jakiekolwiek porównanie, jeśli chodzi o wielkość powierzchni i zaludnienia, ponieważ rejon licząc 211 tys. km kw. zajmuje z grubsza ok. 2/3 powierzchni całej Polski. W dodatku na tym terenie mieszka jedynie ok. 15-17 tys. ludzi, z czego 5 tys. w miejscowości Turuchańsk, reszta w niewielkim miasteczku Igarce oraz kilku rozrzuconych wsiach, przysiółkach i pojedynczych chatach w głębi ciągnących się setkami kilometrów lasów. Jeśli dodamy do tego, że nie ma tu sieci dróg, a jedynymi środkami transportu pomiędzy oddalonymi od siebie miejscowościami pozostają latem łodzie, zimą śniegołazy, a przez cały rok helikoptery, to znakomicie odda to specyfikę tego malowniczego rejonu.

Głównym problemem naszej ekspedycji pozostawało dotarcie do samotnej stacji meteorologicznej Janow Stan, odległej od Turuchańska o ok. 200 km. Problem niebagatelny, ponieważ można się było tam dostać jedynie na dwa sposoby. Rzeką Turuchan i motorówkami (dwiema, bowiem jedna nie zabrałaby całej wyprawy) lub helikopterem. Pokonanie tej trasy piechotą przekraczało nasze możliwości czasowe. Najszybszą, najwygodniejszą i najpewniejszą podróż oferował helikopter. Kłopot w tym, że do Janow Stan nie leciał żaden rejsowy lot, a wynajęcie helikoptera na jedną godzinę podróży kosztowałoby równowartość ok. 20 tys. zł! Z kolei motorówki musiałyby płynąć meandrującą rzeką, co wydłużało trasę i czas dotarcia, tym samym mnożyło koszty paliwa, nie licząc detalu... okresu co najmniej dwóch tygodni na jaki należałoby je wynająć. I jeszcze jedno. Przedłużające się sierpniowe susze spowodowały znaczne obniżenie stanu wody w Turuchanie, co groziło utknięciem, a co gorsza, uszkodzeniem śruby i pozostaniem na Syberii dużo dłużej niż planowaliśmy.

Co robić?

Podróżując w tym rejonie świata ma się dwie możliwości. Dysponując solidnym budżetem wynajmować helikoptery, łodzie, korzystać z hoteli (w Turuchańsku są dwa. Nocleg w hotelu o przeciętnym standardzie kosztuje 300 zł od osoby!), albo liczyć na możliwość „dogadania się". Taką właśnie metodę postępowania obrał nasz zespół, nie tylko z powodu ograniczonego budżetu, ale również i pewnych predyspozycji uczestników ekspedycji. Intuicja nigdy nas nie zawiodła i przez cały okres wyprawy udawało się nam „załatwić" sprawy, które wydawały się początkowo zupełnie nie do „przeskoczenia". Być może pomagał nam fakt, iż nie byliśmy zwykłymi „turystami" tylko „ekspedycją", której celem było dotarcie do określonego miejsca, oflagowaną narodowymi

Początek rejsu motorówkami do Farkowa, w tle wyraźnie widać typowe nabrzeże syberyjskich miejscowości.

Panorama głównej drogi w Farkowie. We wsi znajduje się bardzo duży odsetek dzieci, które uczą się w miejscowej szkole i mieszkają w internacie. Ich rodzice żyją często w środku tajgi w pojedynczych przysiółkach.

Kolejny środek transportu – helikopter. Przewożenie broni myśliwskiej jest tu czymś normalnym, należy ją tylko czymś owinąć np. kocem, jak zrobił to Dima.

Gdy ucichł łopot skrzydeł helikoptera podszedł do nas Dima – pracownik stacji meteorologicznej oraz jego partnerka Katia. Dima pochodził z okolic Władywostoku, a Katia jest Ewenką, która urodziła się 21 lat temu w tradycyjnym namiocie tzw. Czumie. Po powitaniu mniej więcej w trzecim zdaniu Dima oznajmił, żebyśmy uważali ponieważ „po drugiej stronie rzeki chodzi niedźwiedź". Poczuliśmy, że jesteśmy naprawdę w innym świecie. Na zdjęciu od lewej Dima – meteorolog, Katia, Maciek, Łukasz, Dima – myśliwy, Anna i Tomek.

barwami, napisem „Odkrywca" i w miarę ujednoliconą pod względem ubioru. A może była to po prostu (nie) zwykła syberyjska życzliwość… Z pewnością dzięki niej sprawy potoczyły się nad wyraz szybko.

Dzięki wykonywanym jeszcze z Polski telefonom (przy pośrednictwie nieocenionej pani Ilony Ostrowskiej z firmy TME) uzyskaliśmy kontakt z naczelnikiem miejscowej administracji, który, jako jeden z nielicznych spotkanych przez nas mieszkańców Syberii, nie tylko wiedział gdzie jest Polska, ale wiele lat temu był w naszej Ojczyźnie! Taktownie nie dopytywaliśmy się, czy pobyt mógł mieć związek ze służbą w Armii Radzieckiej. Naczelnik po kilku telefonach i poleceniach wydanych swoim podwładnym w błyskawicznym tempie przygotował naszą dalszą marszrutę. Zaledwie po 20 min. wiedzieliśmy już, że w kolejnym etapie popłyniemy łodziami do niewielkiej wsi Farkowo leżącej w 1/4 drogi do Janow Stan. Tam będziemy mogli uzupełnić zapasy i po dwóch dniach wsiąść na pokład helikoptera, który wyjątkowo wypełnia w tamtym rejonie zadania administracyjne i pocztowe.

Pozostawała jeszcze kwestia zapewnienia sobie powrotu do cywilizacji. Rozwiązała się ona jeszcze tego samego dnia. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i faktowi, że staraliśmy się wykorzystać każdą okazję do rozmowy, wziął nas pod swoją opiekę, poznany pod jednym z myśliwskich sklepów, energiczny kierownik miejscowej sieci energetycznej Aleksander Czyżikow. Jakie może mieć poważanie człowiek związany z energetyką w miejscowości, gdzie przez pół roku panuje zima a temperatury dochodzą do -50 stopni, przekonaliśmy się w ciągu kilku chwil. Jeden telefon lub gest Aleksandra pozwalał przeskakiwać różne drobne, a czasem poważniejsze przeszkody. O najważniejszą z nich – kwestię powrotu mieliśmy się już nie martwić. W określonym terminie, za ponad dwa tygodnie, z Turuchańska miała wypłynąć po nas specjalna jednostka, „kuter", któremu niestraszne miały być mielizny. Jego rejs w rejon naszego pobytu miał trwać dwa, ewentualnie trzy dni. Wystarczyło tylko abyśmy oznaczy-

Mapy jakimi dysponowaliśmy budziły ogromne zainteresowanie. Myśliwi z Farkowa próbują ustalić trasę naszej wyprawy.

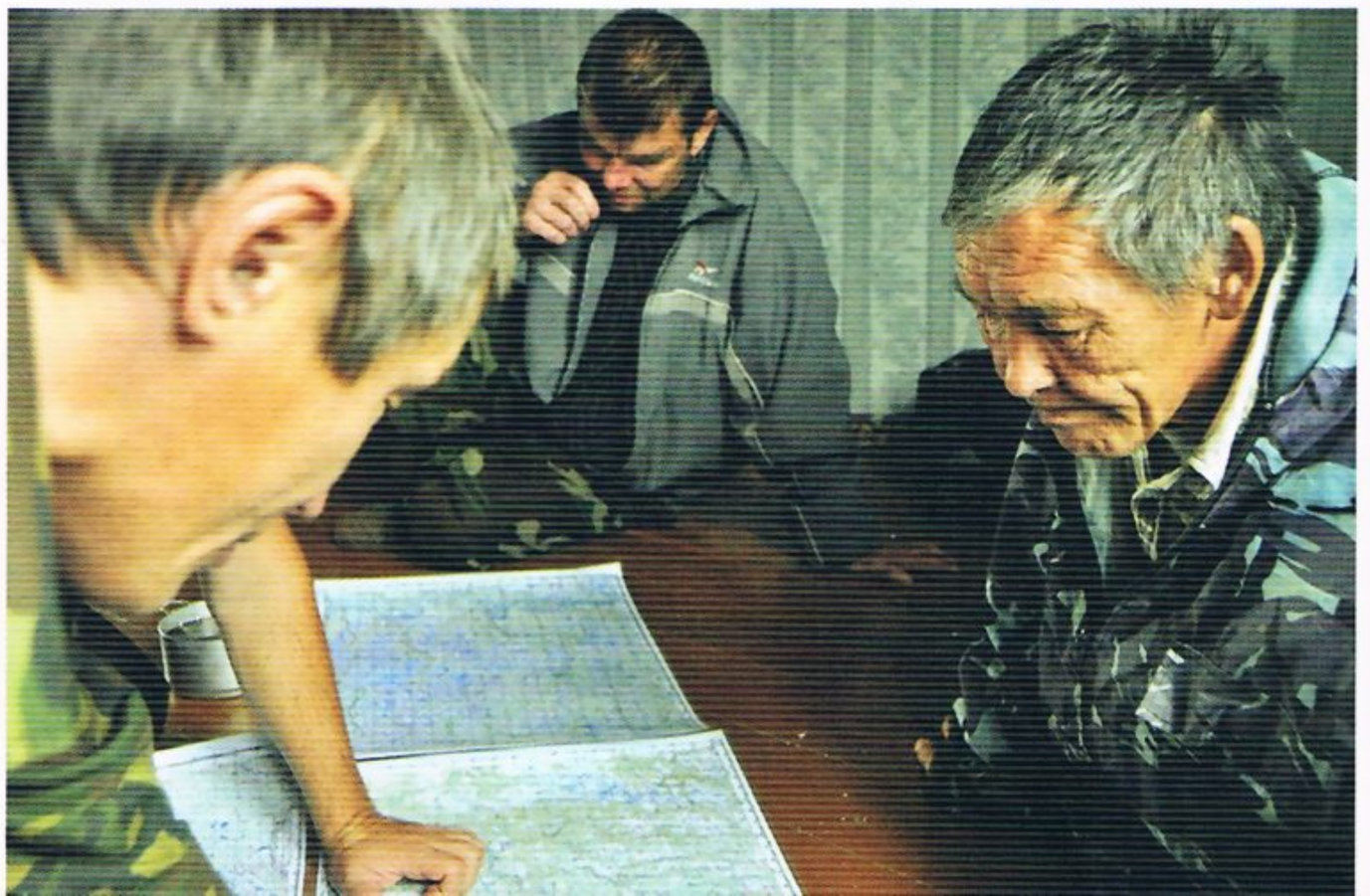

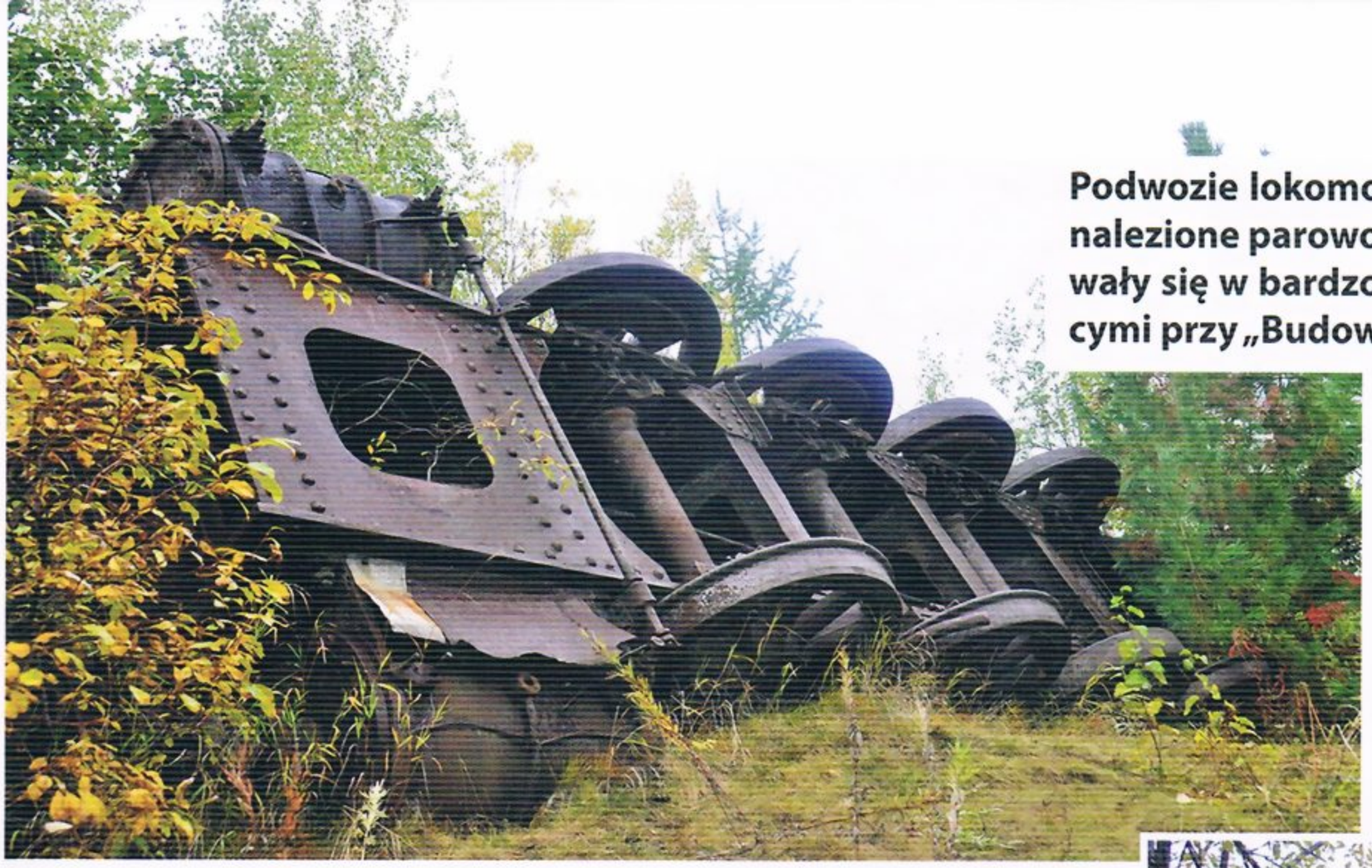

Podwozie lokomotywy rosyjskiej produkcji. Obydwa odnalezione parowozy były przewrócone na bok, ale zachowały się w bardzo dobrym stanie. Maszynistami pracującymi przy „Budowie nr 503" byli również więźniowie.

W Farkowie pozostaliśmy przez dwie noce, aż do przylotu helikoptera. Ale w dalszą podróż nie wyruszyliśmy już sami. Skutkiem skomplikowanych negocjacji i splotowi wydarzeń, w które zamieszani byli naczelnik miejscowości oraz teść naszego przyjaciela z MCzS-u Iwana, na pokład śmigłowca wkroczył

li odpowiednio brzeg rzeki w miejscu, gdzie będziemy go oczekiwać, a… *„na pewno nas znajdą"*.

Przez następne dwa dni przygotowań w Turuchańsku karnie słuchaliśmy cennych rad naszego opiekuna – miejscowego potentata energetycznego, i jak się okazało, znakomitego myśliwego Aleksandra. Wykonywaliśmy również wszystkie polecenia zaprzyjaźnionego z nami oficera MCzS-u Iwana (MCzS – Ministerstwo Sytuacji Nadzwyczajnych będącej odpowiednikiem połączonych służb straży pożarnej i ratownictwa). Kiwaliśmy potakująco głowami, bez szemrania braliśmy dodatkowy sprzęt: brezenty do rozwieszania nad ogniskiem, porządniejszą niż nasza wędkę, zwiększony zestaw kotwiczek, lepszą siekierkę, itd., itp., aż do momentu, gdy nadszedł dzień wypłynięcia w lewy dopływ Jeniseju – rzekę Turuchan.

Tą samą trasą 60 lat wcześniej pływały statki przewożące materiały i więźniów, którym przyszło budować transpolarną magistralę.

Ostatnia wieś na szlaku

Farkowo to typowa syberyjska wieś, do której można dotrzeć jedynie wodą lub powietrzem. Wysoko położona (wiosną, gdy przychodzą roztopy, woda przybiera wiele metrów), z szeroką i błotnistą centralną ulicą. Z drewnianymi palami pełniącymi rolę chodnika i swobodnie rozmieszczonymi budynkami mieszkalnymi. Domy wyglądają różnie, w większości, na pierwszy rzut oka, niezbyt solidnie. Może to dziwić, z uwagi na panujące tu przez dużą część roku bardzo niskie temperatury. Mieszkańcy to znany nam już zbiór rdzennych ludów, w tym przypadku Selkupów (i kilku Kietów) oraz Rosjan, na ogół potomków zesłańców. Sam naczelnik wsi pochodzi z rodziny nadwołżańskich Niemców, których zesłano tu po 1941 roku. Dzięki jego życzliwości i gościnności (podjął nas niepowtarzalnym obiadem z ugotowanych, własnoręcznie złowionych ryb oraz ryb suszonych i… ryb surowych) otrzymujemy na następne dwa dni przestronne lokum – w budynku przylegającym do poczty. Choć dom nie miał szyb w przedsionku, za to miał krzywe ściany i nierówną podłogę, dysponował solidnym atutem – olbrzymim piecem, do którego otrzymaliśmy pod dostatkiem drewna. Co charakterystyczne dla syberyjskich wsi w tym rejonie, chałupa nie posiadała studni. Wodę bowiem czerpie się tu ze strumieni i wielkich beczek z deszczówką umiejętnie podpiętych pod rynny. Większość mieszkańców piecze własny chleb, zbiera jadalne nasiona szyszek limby syberyjskiej, jagody – czyli wielkie borówki – poluje i łowi ryby. Gdyby nie anteny satelitarne na kilku domach, markowe ubrania i silniki hondy na wyciągniętych na piasek motorówkach, motocykle z koszami (jedyny środek transportu, np. z domu pod lasem do łódki na wybrzeżu bywa czasem i kilometr), można by pomyśleć, że czas się tu zatrzymał. Zresztą główne zajęcia miejscowych to nadal zbieranie leśnych produktów, polowanie i łowienie ryb, w zależności od pory roku traktowane jako rozrywka (latem) bądź praca (zimą).

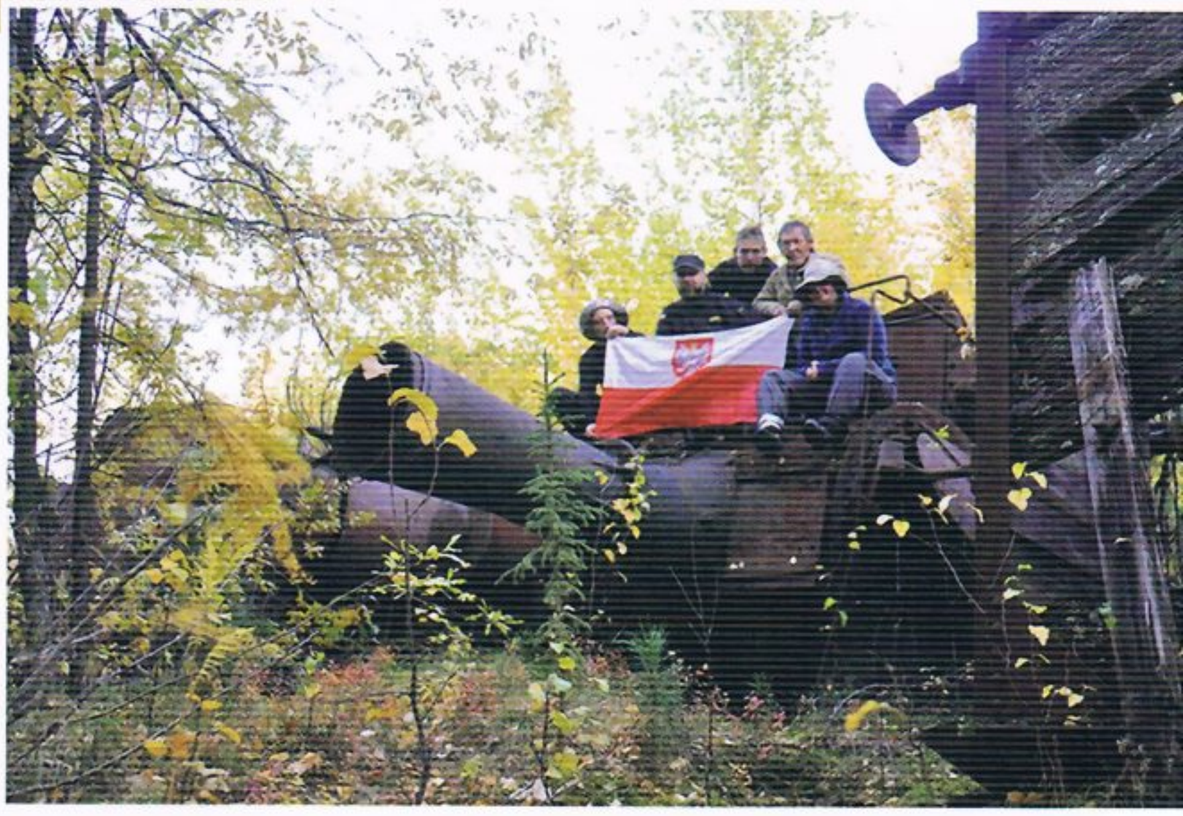

Lokomotywa amerykańskiej produkcji była dla nas dużym zaskoczeniem. Udało się odcyfrować napis na schodkach – „US Army" oraz nazwę producenta. Razem z nią odnaleźliśmy szczątki drewnianych wagonów.

Oznaczenie wagonu produkcji niemieckiej z 1919 r., odnalezionego na jednej ze specjalnie budowanych mijanek.

Częsty widok na trasie naszej wędrówki, fragmenty nasypu i biegnącej obok linii energetycznej zostały w części pochłonięte przez bagno.

z nami Dima, 58-letni myśliwy z ludu Selkupów. Odtąd przez następne tygodnie miał być naszym uzbrojonym opiekunem i przewodnikiem. Jednak w rejony gdzie się wybieraliśmy, ani Dima, ani żaden z jego przyjaciół myśliwych jeszcze się nie zapuszczali.

Etap II – „Martwa Droga"

Z zapomnianej rzeki leżącej gdzieś na „końcu świata" wyłaniały się potężne, betonowe filary przygotowywane 60 lat temu, jako podstawa stalowego mostu. Według miejscowej legendy, w którymś z filarów miał zostać zabetonowany przez zbuntowanych więźniów komendant jednego z obozów. Za filarami, w stronę zachodnią, biegną szyny leżące na zarośniętym brzozami nasypie. Tamtędy prowadziła trasa naszej pieszej już eskapady.

Po dotarciu helikoptera do stacji Janow Stan, gdzie gościnnie zostaliśmy przyjęci przez dwójkę gospodarzy – pracowników stacji – wyruszyliśmy w taj-

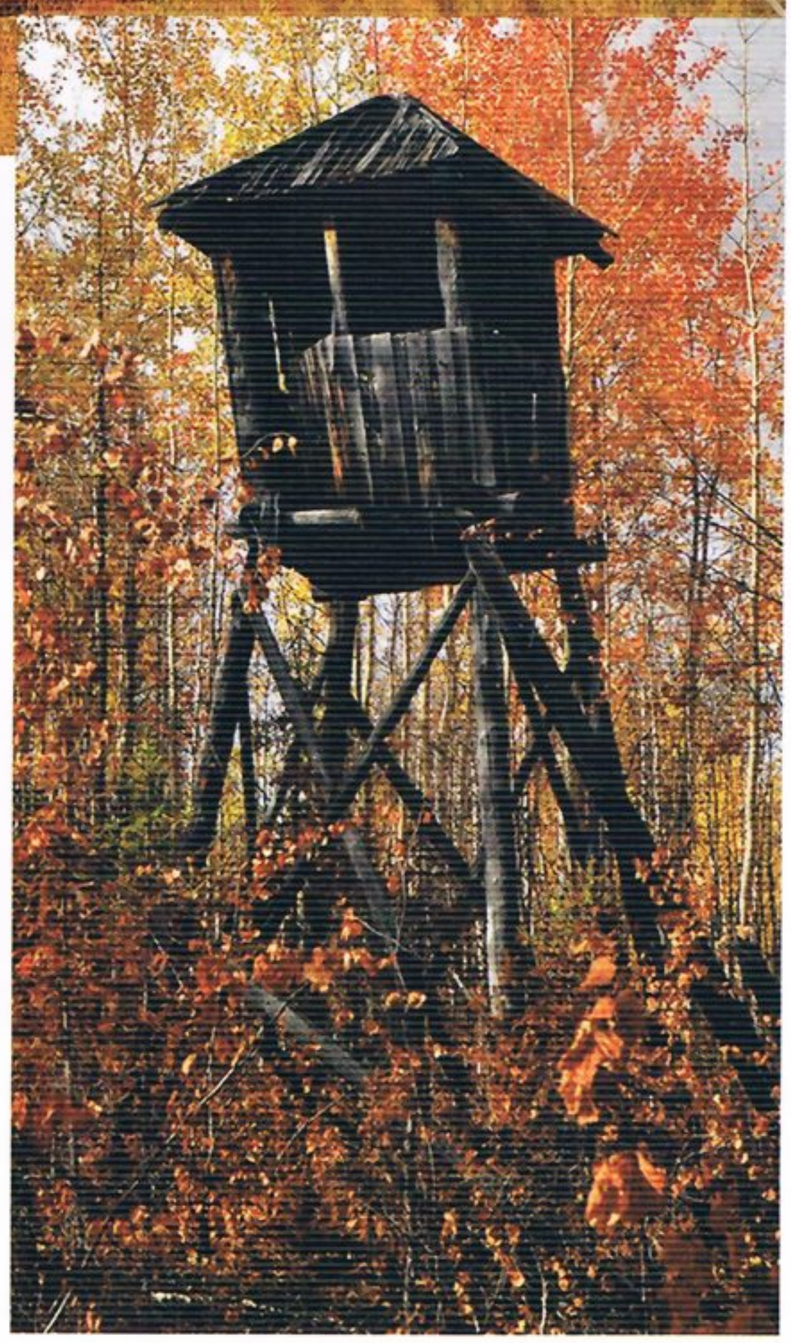

Wieżyczka strażnicza na terenie największego łagru, który spłonął w czasie pożaru tajgi.

gę, a właściwie bardziej niż tajga, surową lasotundrę. Na pierwsze porzucone 60 lat temu ślady projektu nie musieliśmy długo czekać. Zaledwie kilkadziesiąt metrów od rzeki natknęliśmy się na porzuconą lokomotywę i tender. Niewielki towarowy parowóz, choć pordzewiały, znajdował się w zupełnie dobrym stanie. Widoczne na kołach oznaczenia z 1905 r. zostały wybite cyrylicą, co wskazywało na jego rosyjskie pochodzenie. Pół kilometra dalej odkryliśmy jeszcze ciekawsze znalezisko – cały eszelon. Parowóz z tendrem i cztery wagony, niestety, poprzewracane, ze zniszczonymi mocno przez lata deszczów i mrozów drewnianymi elementami. Lokomotywa zachowała się jednak, podobnie jak poprzednia, w dobrym a nawet bardzo dobrym stanie. Na stopniu wejściowym do kabiny udało się odcyfrować zaskakujące oznaczenie *„US ARMY"* a na kołach nazwę wytwórni: Wilmerding W.A.B. z Pensylwanii. Cóż za gratka! A więc amerykańskie lokomotywy, które zapewne trafiły do Rosji w ramach Lend Lease w czasie II wojny światowej, służyły w stalinowskim systemie obozów pracy. 10 lat temu amerykański badacz Martin J. Bollinger opublikował książkę pt. „Flota Gułagu", gdzie ze zdziwieniem konstatował fakt, iż większość statków wożących więźniów do sowieckich obozów pracy była produkcji amerykańskiej i została przekazana bezpłatnie ZSRR. Widok napisu na schodkach pociągu potwierdzał, że Amerykanie nieświadomie doposażyli nie tylko flotę, ale również i kolejowe środki transportu wykorzystywane przez złowrogi GUŁAG.

Plan wyprawy przewidywał dotarcie do dwóch obozów znajdujących się na zachód od rzeki Turuchan i od stacji Janow Stan. Najbardziej wysunięty na zachód, był najdalej położonym celem wędrówki. Według zdjęć sa-

O godzinie 21:30 aura zmieniła się zdecydowanie. Podróż łodzią myśliwego Rusłana.

Pogoda potrafiła zaskakiwać. Zdjęcie wykonane ok. godz. 21:00 pod mostem zbudowanym na potrzeby „Martwej Drogi" na rzece Makowskaja.

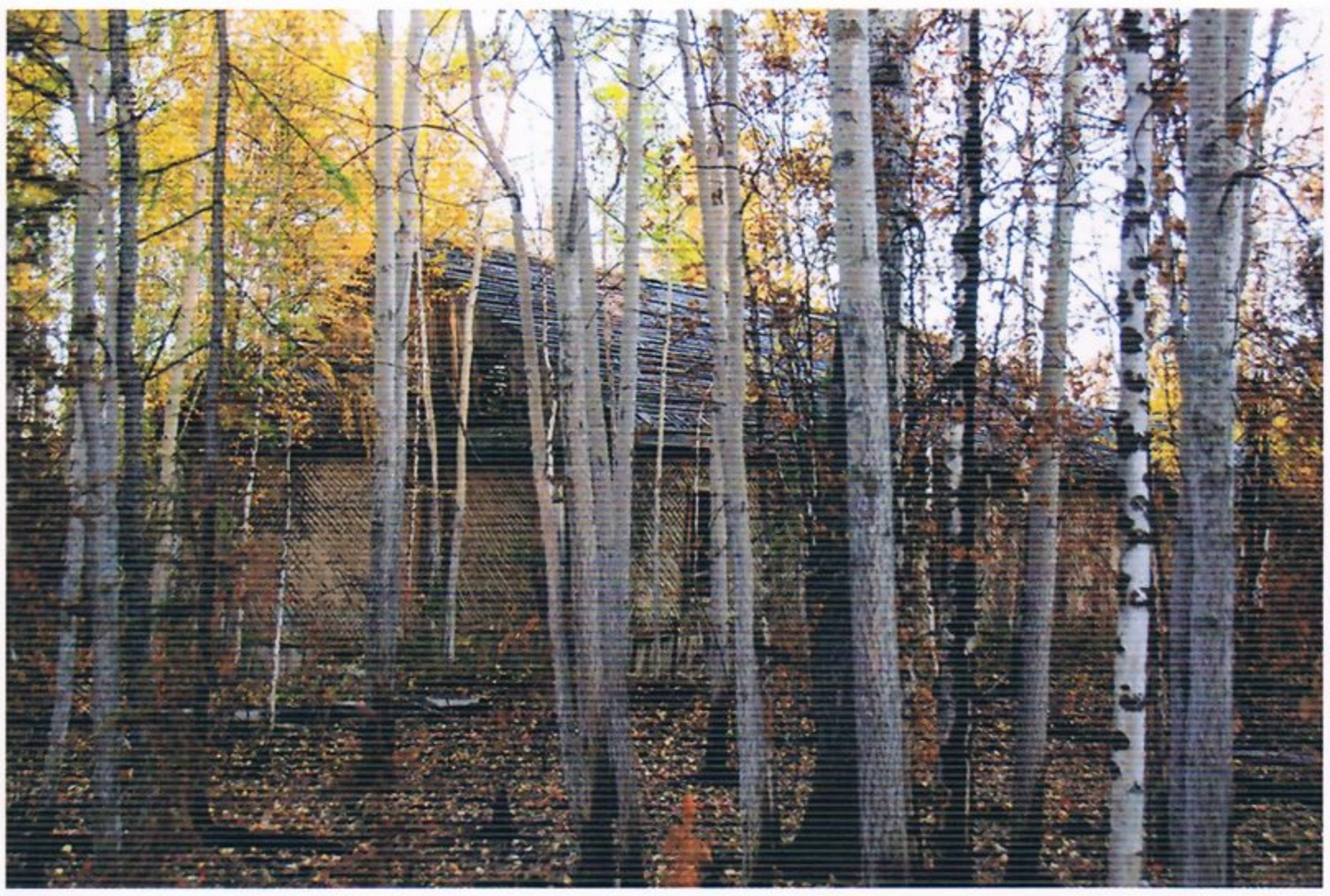

Za brzozami, jeden z nielicznych zachowanych budynków – stołówka i kuchnia znajdująca się na terenie zony.

Reflektor. Do wieżyczek strażniczych podciągnięto prąd, dzięki czemu ochrona mogła posługiwać się silnym światłem.

telitarnych wyglądał również na największy, a zarazem najlepiej zachowany. Przyczyniła się do tego z pewnością nie tylko aura panująca na północy, ale przede wszystkim fakt, iż obydwa obozy były oddalone od rzeki – jedynej praktycznie możliwości komunikacji w tym rejonie.

Marsz w kierunku zachodnim przebiegał w zmiennych warunkach – głównie ze względu na pogodę, która w tej strefie, o tej właśnie porze roku, jest zmienna. A może lepiej napisać zupełnie nieprzewidywalna… Nasz zwiadowca Dima pytany o pogodę, burczał dłuższy czas i ostatecznie odpowiadał: *„skąd ja mogę wiedzieć, będzie jak będzie"*. No i właśnie tak było. Ranek potrafił witać nas deszczem, południe przysmażyć słońcem, a wieczór zaskoczyć śniegiem. Lekkie przymrozki miały jednak bardzo pozytywny efekt, zniknęły komary – prawdziwa plaga lata. Chmary tych krwiożerczych owadów potrafią podobno wypędzić nawet zwierzęta z tajgi na otwarte przestrzenie. Jedyną pozostałością koszmaru letniego stały się syberyjskie meszki. Szczególnie dokuczliwe gdy pojawiało się słońce. Te drobne owady mają z kolei zwyczaj wciskania się w każdą dostępną szczelinę, ich ugryzienia nie czuć, do czasu, gdy nie zaczniemy się drapać. Na szczęście w porównaniu z lipcem i sierpniem było ich stosunkowo niewiele.

Wnętrze pralni obozowej, widoczne beczki z ługiem i fragmenty ubrań.

Sam nasyp kolejowy, który miał nas zaprowadzić do poszczególnych obozów okazał się w większej części zarośnięty przez drzewa i różne rodzaje gęste krzewy. Dodatkowo na pewnych odcinkach tory pochłonęło bagno, zupełnie zmieniając oblicze kolejowej trasy i zmuszając nas do czasochłonnych przepraw, bądź obchodzenia łukiem grząskich i niedostępnych terenów.

O jeden kilometr za daleko, o jeden miesiąc za późno…

Wieczorem 5 września jednolita roślinność, i leżące w miarę równomiernie na nasypie podkłady kolejowe w jednej chwili zmieniły się w czarny pas wypalonej ziemi. Pożar… O pożarach dowiedzieliśmy się kilka dni wcześniej. W sierpniu zapłonęły wielkie połacie tajgi, ogień rozprzestrzeniał się bardzo szybko i dotarł w bezpośrednie sąsiedztwo Janow Stan. MCzS podjął decyzję o ewakuacji załogi stacji. Po kilku tygodniach pracownicy wrócili do nietkniętego na szczęście domu. Nikt nie był nam jednak w stanie powiedzieć, jaki zasięg miała pożoga i dokąd dotarła. Podczas naszej dotychczasowej wędrówki nie natknęliśmy się na jej ślady. Do czasu, gdy dotarliśmy zaledwie kilometr od największego obozu, który był najdalszym celem wyprawy.

Po wejściu na zonę niemal natychmiast natknęliśmy się na zgliszcza poczerniałych resztek baraków i obozowej infrastruktury, gdzie ocalałe i osmolone brzozy zrzuciły liście pokrywając nimi czarną ziemię na terenie łagru. Prawdziwa ironia losu – łagier przez 60 lat pozostawał nienaruszony, aby spłonąć zaledwie miesiąc przed naszym przyjazdem…

Po całodziennych badaniach okazało się, że sytuacja przedstawiała się lepiej, niż nam się początkowo wydawało. Pożaru uniknęły cztery wieże strażnicze rozmieszczone w rogach obozu oraz zewnętrzne słupy z kolczastym drutem. Na terenie samej zony oddzielonej podwójnym pasem zasieków i strefą śmierci, ocalało ponadto kilka ciekawych obiektów, m.in. obo-

Podkłady kolejowe. Kilometry wlepiania wzroku w podkłady kolejowe pozwoliło nam poznać ich przeróżne barwy, odcienie i stan zachowania. Możemy je podzielić na dobrze zachowane podkłady, zgniłe podkłady, spalone podkłady, zarośnięte mchem i porostami, oraz podkłady wyłaniające się z bagna.

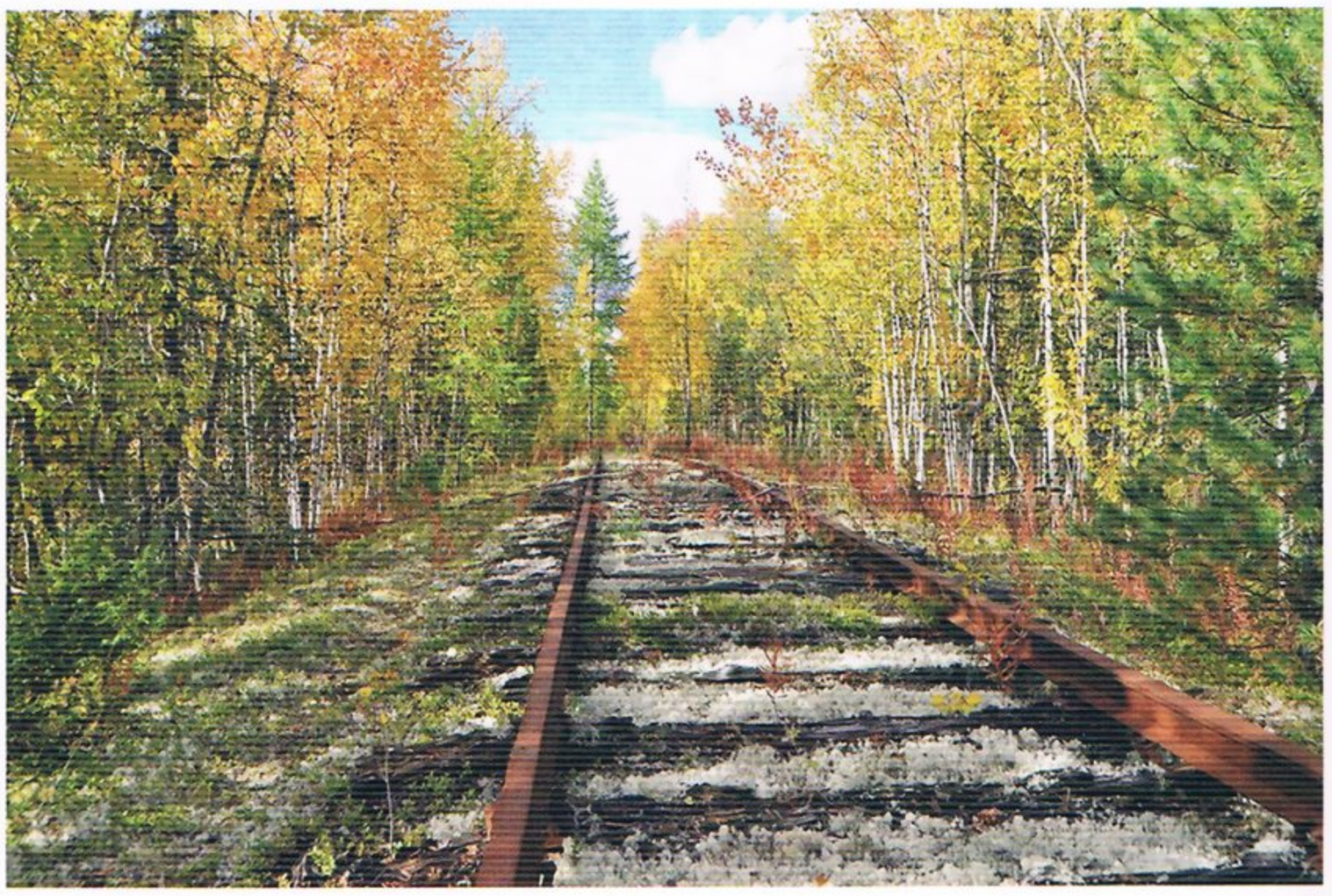

zowa stołówka i kuchnia. Na zewnątrz łagru pożar oszczędził pralnię i kilka budynków administracji bądź ochrony. Wszystkie zachowane obiekty zostały przebadane i zwymiarowane. Udało się również odnaleźć kilkanaście różnego rodzaju przedmiotów – fragmenty ubrań, butów, form do pieczenia chleba, kubków, misek, kociołków, narzędzi.

Był to dopiero początek wyprawy badawczej.

Ostatecznie udało się nam spenetrować przynajmniej 5 obozów zachowanych w różnym stopniu. W kolejnym, znajdującym się również po zachodniej stronie rzeki Turuchan, odnaleźliśmy, w nienaruszonym niemalże stanie, wartownię-strażnicę przy głównej bramie zony, tabliczki z nazwiskami wolnonajemnych pracowników bądź żołnierzy oraz dobrze zachowane budynki ochrony, wraz z miejscami ćwiczeń. W trakcie marszu dotarliśmy do kilku rozbudowanych, drewnianych i betonowych przepustów wodnych, mostów, kopalni piasku, mijanek i pozostałości wagonów oraz drezyny.

Po dwóch tygodniach pobytu w tajdze, siedząc przy ognisku nad rzeką i łowiąc ryby oczekiwaliśmy na obiecany kuter. Przepełniała nas satysfak-

Wnętrze obozowej stołówki.

Przewrócony słup z linii energetycznej. Oparta drabina potwierdza fakt, iż po ewakuacji obozów linia była jeszcze czynna kilkanaście lat i poddawana konserwacji.

cja. Dotarliśmy „na kraniec świata" i zrealizowaliśmy założenia wyprawy, co cztery tygodnie wcześniej w Polsce wydawało się mało prawdopodobne. Przeżyliśmy wiele przygód, a powyższa relacja jest jedynie niewielką cząstką całości. Odpowiedzieliśmy na wiele pytań, a kilka innych mogliśmy dopiero zadać.

Jedną z największych niewiadomych pozostawała kwestia Polaków pracujących przy „Budowie nr 503". Czy któryś z naszych rodaków był w obozach jakie odwiedziliśmy? Do tej pory nikt nie był w stanie udzielić nam odpowiedzi, ani historyk z krasnojarskiego oddziału Stowarzyszenia Memoriał, ani selkupski nauczyciel historii z Farkowa, ani pracownicy muzeum w Turuchańsku i Igarce. Nie zostały odnalezione bowiem żadne dokumenty wskazujące na narodowość więźniów. A skład przebadanych przez nas obozów stanowi całkowitą zagadkę. Jednak trzy tygodnie od zakończenia wyprawy mamy przesłanki, aby sądzić, że przy „Budowie 503" pracowali również Polacy.

Powrót kutrem do Turuchańska, po dwóch tygodniach spędzonych w tajdze.

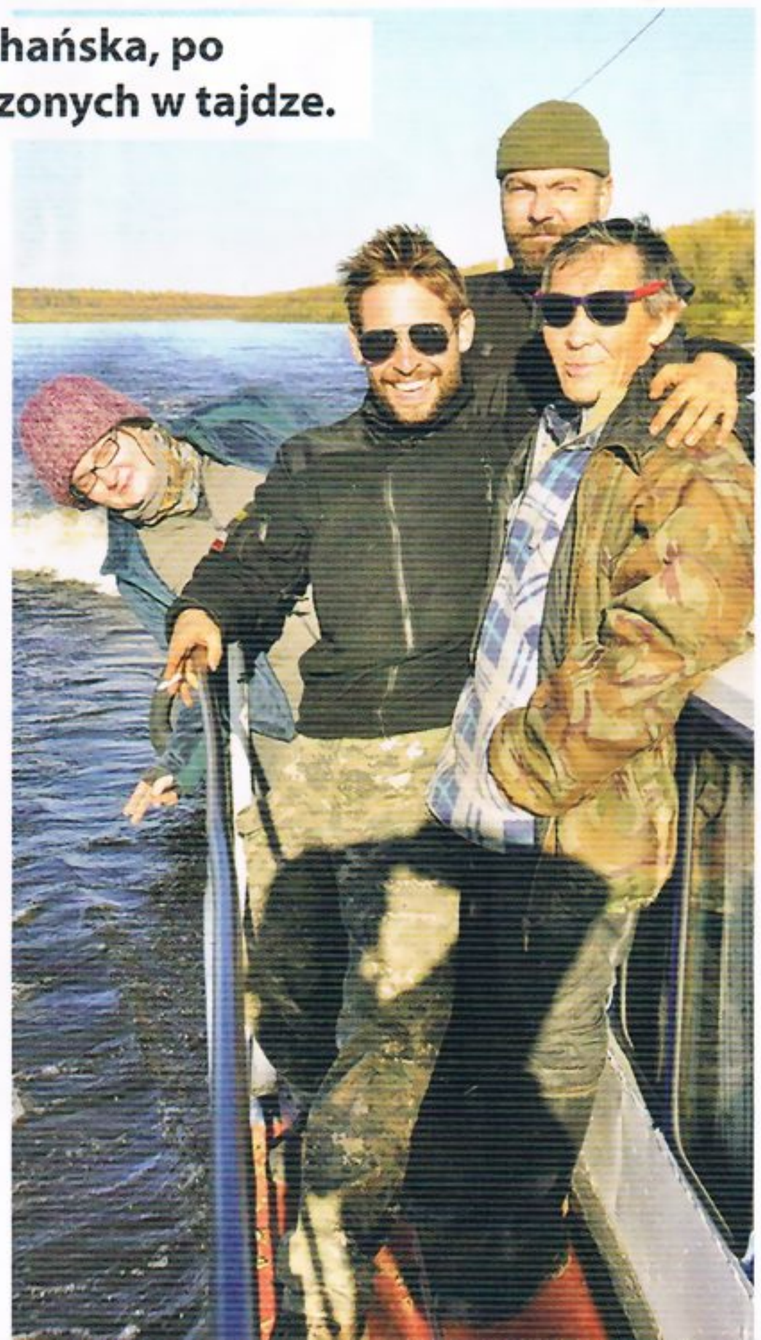

Obecnie wszelkie materiały uzyskane podczas projektu „Dead Road 2013" są analizowane i opracowywane. Już wkrótce ukażą się na naszych łamach.

Pragniemy gorąco podziękować wszystkim, którzy wsparli nas podczas przygotowań i realizacji tego trudnego projektu, a przede wszystkim naszym rodzinom i przyjaciołom, którzy w nas uwierzyli. Dziękujemy!

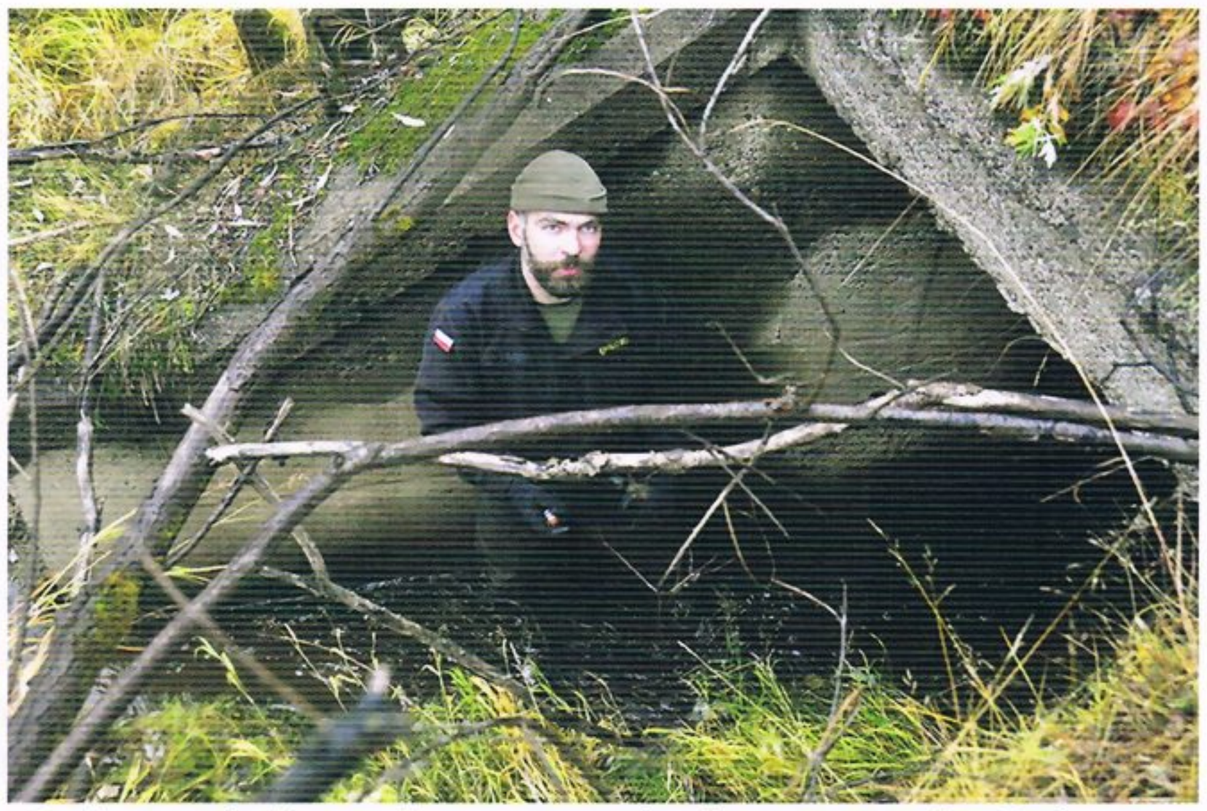

Jeden z nielicznych przepustów betonowych. Co ja tutaj robię...

Kilka godzin po wylądowaniu samolotu na lotnisku w Warszawie, dowiedziałem się o śmierci naszego przyjaciela Wojtka Stojaka. Uświadomiłem sobie, że 1 września, gdy odszedł, schodziliśmy ze statku w niewielkiej mieścinie na dalekiej, północnej Syberii. Dzień wcześniej, w ciasnej kabinie najniższego pokładu „Lermontowa" wszyscy członkowie ekspedycji zaśmiewali się do łez po raz n-ty czytając relację Wojtka z wyprawy na Ukrainę, opublikowaną w „Odkrywcy" nr 1/2010 – jednym z pięciu jakie zabrałem ze sobą. Ta relacja, a szczególnie krótkie charakterystyki uczestników ukraińskiej wyprawy zakończone we wszystkich przypadkach dopiskiem... „lubi wypić", niezmiennie wszystkich rozbawiały. Wtedy, jak zawsze, zastanawiałem się, co powiem Wojtkowi, gdy zada swoje częste pytanie: „a po jaką cholerę tam pojechałeś?". Czy podbarwione opisy pozostawionych pośrodku tajgi lokomotyw, wagonów, torów i obozowych budynków wystarczą, aby wzbudzić w Nim zainteresowanie? A może tylko po swojemu machnie ręką i powie: „eee tam, za zimno, za daleko i skarbów nie ma, po co się tam pchać, czemu nie robicie innych, ciekawszych tematów". Ciężko byłoby się wybronić. Niedźwiedziami go nie skuszę, depozytów nikt tam raczej nie ukrywał, a pozostałości drewnianych baraków i wież strażniczych nie mogły równać się z podziemnymi, niemieckimi fabrykami, schronami i skrzyniami kosztowności. Pozostawało mi tylko liczyć, że coś jeszcze wymyślę...

Ten artykuł chciałem dedykować pamięci Wojtka. Niestety, nie mogłem pożegnać go osobiście.

PS. W sumie, to niczym asa w rękawie trzymałem tylko jeden „skarb", który przychodził mi do głowy – *skoro chcesz skarbów to proszę. Są dziesiątki kilometrów pozostawionego tam cennego miedzianego kabla telefonicznego łączącego rozrzucone łagry i stacje „Martwej Drogi". Trzeba się tylko trochę potaplać w błocie. Ha! Jest skarb?*

ZDJĘCIA: ARCH. PROJEKTU „DEAD ROAD 2013".

Skarb z unickiej cerkwi

WOJCIECH MAZUREK

Ruda, to niewielka wieś w gminie Ruda Huta w powiecie chełmskim na wschodzie Polski. Założona została na początku XV wieku. Jako Ruda Niższa (Ruda Inferior) i Ruda Wyższa (Ruda Superior) wieś wraz z połową wsi Serebryszcze w XV-XVIII w. należała do dóbr królewskich wchodzących w skład starostwa chełmskiego. Nazwa miejscowości związana jest prawdopodobnie ze średniowiecznym określeniem miejsca przetapiania rudy darniowej na żelazo. W XIX wieku zostało ono zmienione na inne – huta.

W rejonie Rudy jest więcej miejscowości o podobnych nazwach, jak: Rudka, Zarudnia, Rudka Kolonia, Ruda Huta – co może świadczyć, i potwierdzać tezę, o istnieniu w tej okolicy centrum wytopu żelaza. W XVI w. Ruda była siedzibą parafii prawosławnej – na budowę cerkwi zezwolił w połowie XVI w. starosta chełmski Gabriel Tarło – a od początku XVII w. do 1875 roku unickiej (greckokatolickiej). W 1875 r. ukazem carskim parafię wraz z całą greckokatolicką eparchią chełmską włączono do struktur kościoła prawosławnego. Drewniana cerkiew pod wezwaniem św. Michała Archanioła, znajdująca się w części wsi do dzisiaj zwanej „Popówką", została zniszczona w 1916 roku, zapewne wskutek działań wojennych.

W odległości około 500 metrów na wschód od pól „Popówki", położony jest, użytkowany do dzisiaj, cmentarz prawosławny, założony prawdopodobnie po kasacie Unii.

Pod koniec sierpnia br., w niedzielne popołudnie, zadzwonił do mnie Łukasz Martyniuk – historyk, archeolog-amator. Opowiedział mi o niecodziennym odkryciu jednego z mieszkańców wsi – pana Stanisława Błaszczaka. Otóż p. Stanisław w trakcie prac polowych zaczepił o jakiś przedmiot. Postanowił go wykopać. Po zejściu na głębokość około 60-70 cm oczom jego ukazały się liczne przedmioty z miedzi, żelaza, resztki zbutwiałego drewna, fragmenty tkanin. Niektóre z tych przedmiotów znał z kościoła, np. elementy mosiężnych żyrandoli, korony czy pojemniki na komunikanty. Nie bardzo wiedział, co z tym odkryciem zrobić. Po rozmowie z córką Justyną, właścicielką pola, postanowili skontaktować się z Łukaszem Martyniukiem, pasjonatem historii. Ten z kolei poinformował mnie o tym niezwykłym odkryciu. Jak się później okazało, p. Stanisław na dwa pierwsze zabytki trafił jeszcze jesienią 2012 roku.

Po przybyciu na miejsce znaleziska okazało się, że artefakty wydobyte na polu przez p. Stanisława, to przedmioty stanowiące wyposażenie dawnej cerkwi – cenne zabytki o charakterze sakralnym. Na kilku z nich wygrawerowane były nawet daty i nazwiska ich fundatorów. Przykładowo: patena na komunikanty wraz z kielichem podarowane zostały w roku 1779. Zaskakujący był fakt, iż napis fundacyjny ktoś starał się usunąć mechanicznie. Czyżby wskazywało to na moment umieszczenia depozytu z cerkwi tuż po ukazie carskim, likwidującym parafię unicką w 1875 roku?

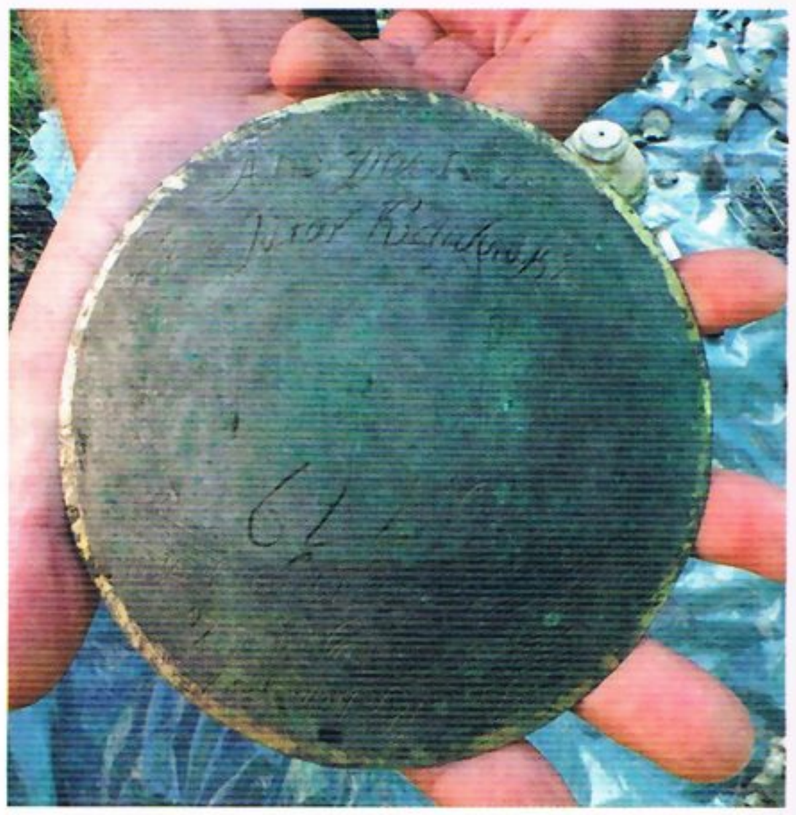

Pozłacana patena ufundowana w 1779 r. do klasztoru w Rudzie, opisana w języku polskim, znaleziona wraz z licznymi zabytkami cerkiewnymi w momencie odkrycia skarbu.

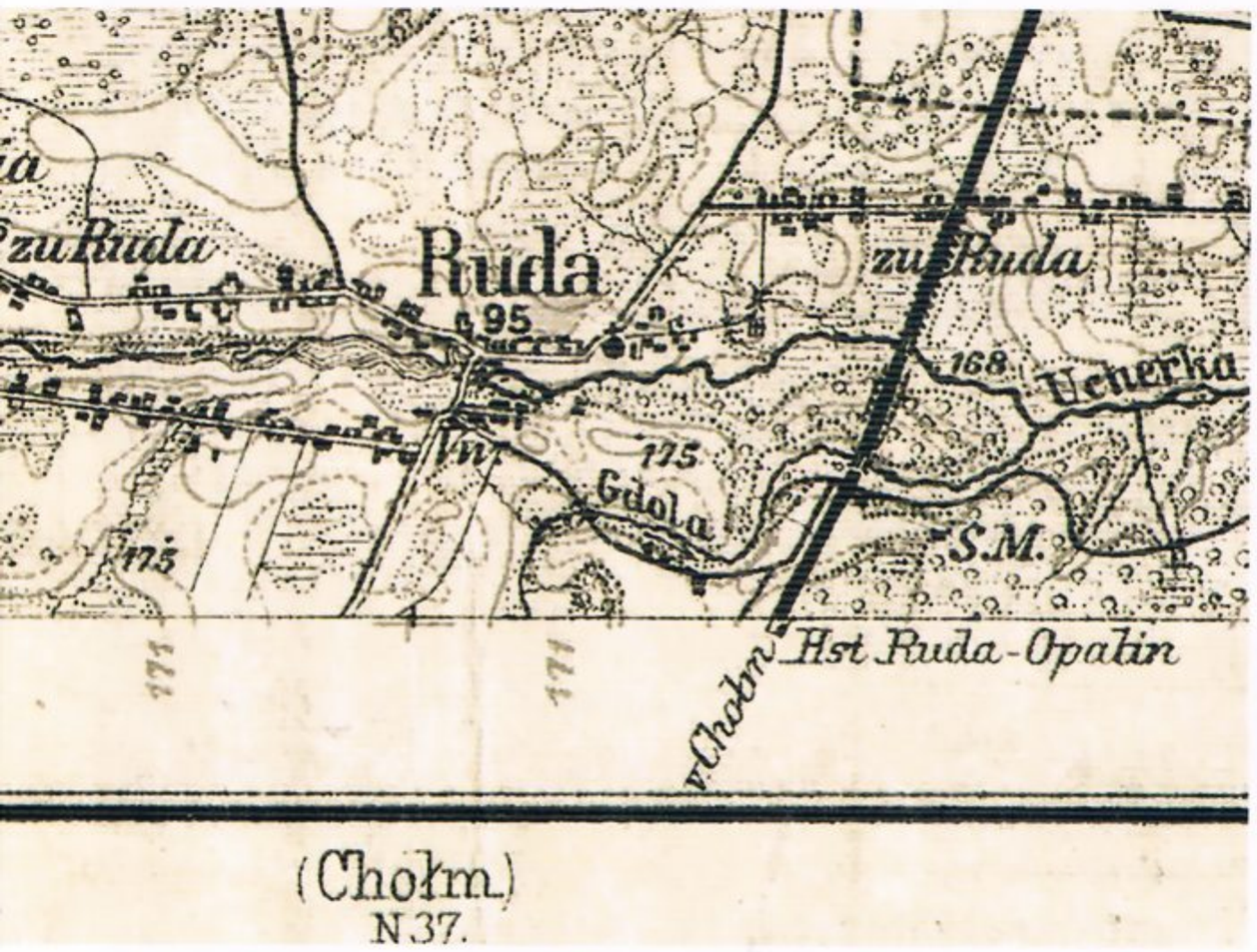

Wycinek mapy topograficznej Karte des Westrusslands z 1911 r., na której po raz ostatni naniesiono cerkiew.

Odkrywca depozytu z cerkwi unickiej pan Stanisław Błaszczak (w białej koszuli) w towarzystwie rodziny i ekipy archeologicznej na tle odkrytych w ziemi paramentów sakralnych.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się według znanych wszystkim poszukiwaczom reguł. O odkryciu został poinformowany Urząd Konserwatorski w Chełmie. Całość zabytków pozyskanych w trakcie pierwszego odsłonięcia, w 2012 r., została udokumentowana i sfotografowana w Wojewódzkim Urzędzie Ochrony Zabytków w Lublinie, Delegatura w Chełmie. Następnie, nie zwlekając, przystąpiliśmy do poszukiwań środków finansowych na przeprowadzenie badań wykopaliskowych. Już pierwszy telefon do wójta gminy Ruda Huta, pana Kazimierza Smala, okazał się przysłowiowym „strzałem w dziesiątkę". Pan Wójt okazał wielkie zainteresowanie i osobiste zaangażowanie naszym projektem – czyli przeprowadzeniem prac archeologicznych. Po uzyskaniu stosownej decyzji konserwatorskiej, 5 października rozpoczęliśmy badania archeologiczne, uzupełnione następnego dnia dokumentacją profili wykopu badawczego.

W wykopie o wymiarach 5×5 metrów staraliśmy się nie tylko odsłonić pozostałą część depozytu, ale również liczyliśmy na odkrycie innych obiektów nieruchomych, reliktów architektury (śladów po cerkwi?). Systematyczna praca archeologiczna wymagała stopniowego odsłaniania kolejnych warstw nadkładu ziemnego ponad miejscem zdeponowania wyposażenia cerkwi. Media poinformowane o możliwości udokumentowania „na żywo" momentu odkrywania, nie mogły doczekać się tej najważniejszej chwili, czyli eksploracji samego depozytu…

Cóż, cierpliwość to główna cecha archeologów, którzy wiedzą, że pośpiech może jedynie zniszczyć możliwą do pozyskania liczbę informacji jaka drzemie w ziemi. Po z górą 3 godzinach ciężkiej pracy fizycznej ekipy odkrywców: Łukasza, Rafała, „Grubego", Józefa, Adama oraz wsparciu „na sicie" Elizy, oczom naszym ukazały się prawdopodobnie podwójne krzyże cebulastych pokryw na cyborium. Od tego momentu praca stawała się mniej dokuczliwa, pobudzały nas bowiem wizje kolejnych znalezisk.

Wreszcie po odsłonięciu dalszych 20-30 cm dotarliśmy do poziomu, na którym zostały zakończone prace poszukiwawcze – przeprowadzone w momencie odkrycia. Gdy zdjęliśmy położoną, jako ochronę, folię, oczom naszym ukazały się kolejne elementy ozdobnego żyrandola, wysoki na 1,60 m świecznik pod paschał owinięty w ozdobne, ale zachowane w opłakanym stanie szaty liturgiczne, różne drobne przedmioty z miedzi, mosiądzu, resztki tkanin wyszywanych złotą nitką, a także, już znacznie zniszczone przedmioty z drewna, czy będąca w opłakanym stanie księga liturgiczna. Tkaniny i księga liturgiczna znajdowały się pierwotnie w drewnianej skrzyni, z której pozostały jedynie reszki zbutwiałego drewna oraz silnie skorodowane okucia.

Po kilku godzinach ukazały się pierwsze obiekty: podwójne krzyże pokryw na cyborium.

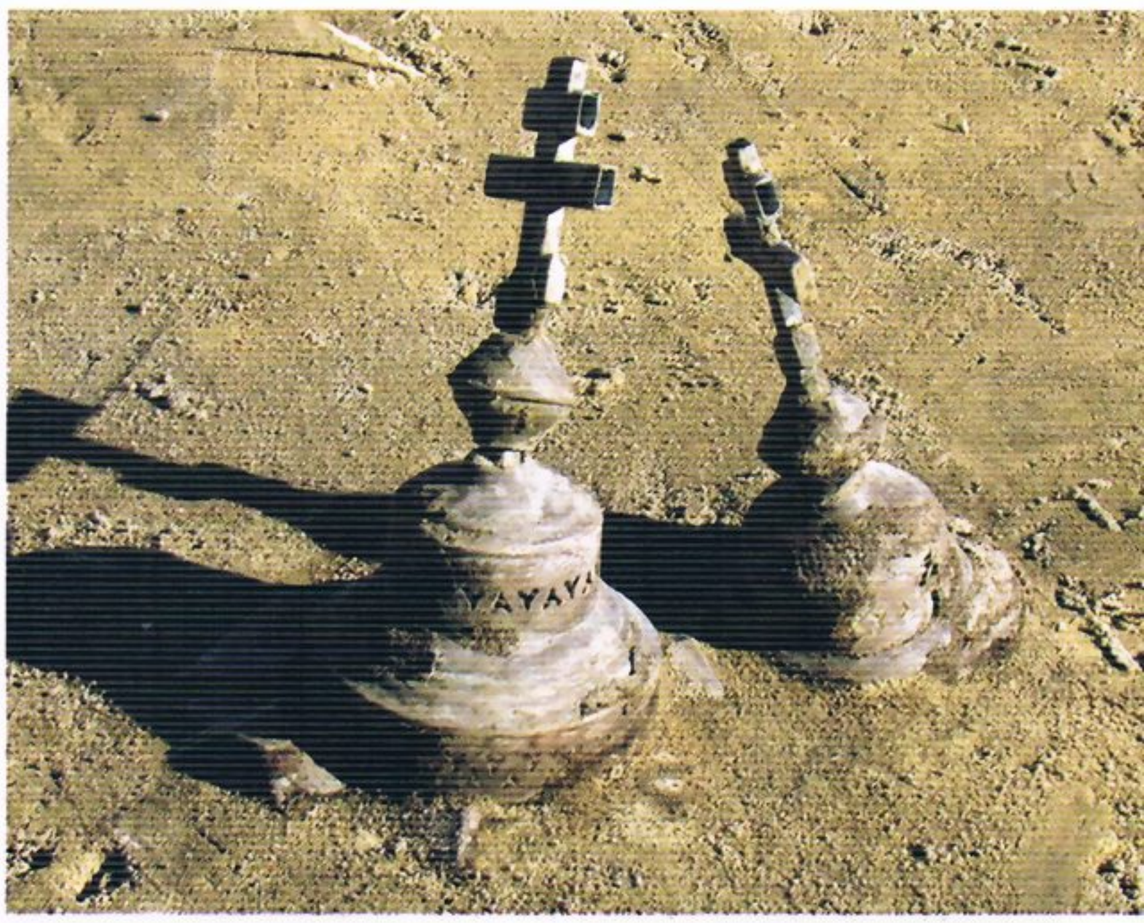

Minęło kolejnych kilkanaście minut, i zobaczyliśmy podwójne krzyże pokryw na cyborium niemal w pełnej okazałości.

Początkowy etap prac wykopaliskowych.

Oczyszczanie reliktów drewnianej skrzyni z zachowanymi wewnątrz resztkami tkanin i destruktem księgi liturgicznej.

Pozostałości jednej z ikon z pozłacaną sukienką, którymi obłożona była od zewnętrznej strony skrzynia, w której wewnątrz zdeponowano resztki tkanin i destrukt księgi liturgicznej.

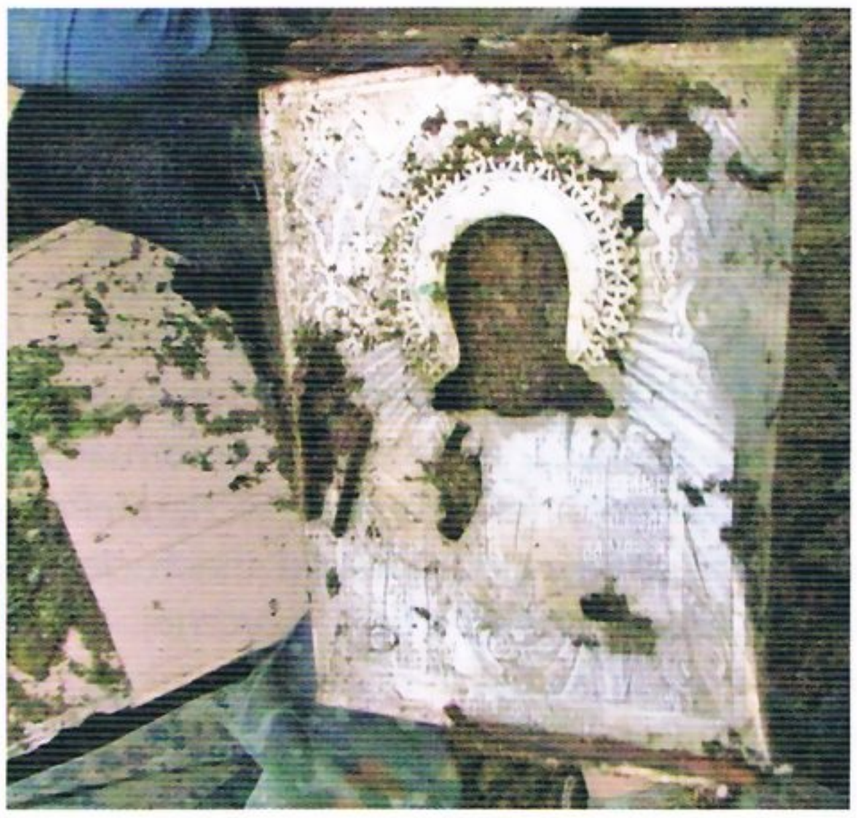

Z większości ikon pozostały po latach „pobytu" w ziemi jedynie ozdobne sukienki wykonane ze srebra.

Po prawej stronie pani Justyna, obok jej ojciec, odkrywca skarbu, pan Stanisław Błaszczak w towarzystwie wielu mieszkańców pilnie śledzili postęp prac badawczych przy depozycie.

Najbardziej interesująca okazała się kolekcja ikon, którymi obłożona była od zewnątrz drewniana skrzynia. Niestety, z ikon pozostało jedynie niemal doszczętnie rozłożone drewno, nieco lepiej zachowały się ramki z szybami. W najlepszym stanie były srebrne i pozłacane sukienki z koronami.

Pracom eksploracyjnym przez cały czas towarzyszył odkrywca, p. Stanisław wraz z najbliższą rodziną, jak również niemal wszyscy mieszkańcy Rudy. Jak widać, wydarzenie jakim były prace wykopaliskowe przy odkrywaniu depozytu z ich dawnej, unickiej cerkwi stały się ważnym faktem w historii wsi.

Prawdopodobnie odkryte zabytki pochodzą z intencjonalnego depozytu wykonanego przez osobę duchowną, zarządzającą cerkwią w celu ochrony przed zniszczeniem ich w trakcie działań wojennych Wielkiej Wojny. Bardziej możliwa jest chyba jednak hipoteza, mówiąca o ukryciu paramentów z cerkwi grekokatolickiej po wejściu w życie ukazu carskiego o likwidacji Unii na terenie Królestwa Polskiego w roku 1875. Świątynie wraz z wiernymi włączone zostały w zarząd hierarchii prawosławnej eparchii warszawsko-chełmskiej, a paramenty nawiązujące do obrządku rzymskokatolickiego musiały zostać usunięte pod karą zesłania na Syberię. Aby tę kwestię rozstrzygnąć, niezbędne będą dalsze prace naukowe już o charakterze gabinetowym, jak i poszukiwania w archiwach. O wynikach dalszych prac badawczych postaramy się poinformować czytelników „Odkrywcy".

Zainteresowanie i ogromne zaangażowanie w projekt wydobycia depozytu ze strony wójta gminy Ruda Huta, p. Kazimierza Smala, który był od początku do ostatniego momentu zasypania wykopu, nie kończy się na tym pierwszym projekcie. Już planowane są dalsze przedsięwzięcia badawcze zmierzające do odkrycia miejsca po cerkwi i towarzyszącym jej cmentarzu. W konsekwencji powinien powstać nowy, niezwykle ważny punkt na mapie zabytków gminy Ruda Huta.

Doceniając postawę odkrywcy dla ochrony dziedzictwa historycznego i kulturowego regionu oraz jej znaczenie dla podobnych odkryć w przyszłości, należy wyróżnić postawę p. Stanisława Błaszczaka i możliwie szerokie jej spopularyzowanie. Będzie to na pewno najlepszą reklamą właściwego

Odsłonięta cześć depozytu, po oczyszczeniu.

Odkrywca depozytu, pan Stanisław Błaszczak z rodziną, wójt gminy Ruda Huta, Kazimierz Smal (w zielonej kurtce) i ekipa badawcza na pamiątkowym zdjęciu po zakończeniu prac eksploracyjnych przy stojaku na paschał. Fot. Jeden z mieszkańców wsi Ruda, który był świadkiem prac badawczych.

zachowania w przypadku odkrycia tak ważnych znalezisk. Natomiast wszystkie zabytki z odkrytego depozytu muszą zostać jak najszybciej poddane zabiegom konserwatorskim, na które powinny znaleźć się środki finansowe, a po ich ukończeniu, trafić do zbiorów muzealnych regionu chełmskiego lub do zabytkowego obiektu sakralnego związanego z kościołem greckokatolickim.

Całość prac badawczych zajęła łącznie 3 dni. Ekipa eksploratorów zamierza w przyszłości kontynuować podobne projekty, w innych miejscowościach regionu, w ramach planowanego stowarzyszenia miłośników starożytności ziemi chełmskiej.

ZDJĘCIA: WOJCIECH MAZUREK

Wojciech Mazurek

Archeolog, absolwent UMCS w Lublinie, pracownik Muzeum w Chełmie w latach 1996-2003, obecnie właściciel firmy SUB TERRA Badania Archeologiczne, Chełm. Od 2004 r. zaangażowany w prace wykopaliskowe na terenie byłego niemieckiego, nazistowskiego obozu zagłady Żydów w Sobiborze.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Racławicki Messerschmitt Bf 109

Jeden samolot – dwie historie…

KRZYSZTOF LIGENZA

Pod koniec lat 30. w Blachowni (niem. Blechhammer) rozpoczęto budowę zakładów chemicznych – zakład hydrogenizacji koncernu Oberschlesische Hydrierwerke A.G. Zakład został wybudowany przez tysiące więźniów, robotników przymusowych i jeńców wojennych z całego świata, zgromadzonych w tutejszych obozach pracy. Rozciągały się one pomiędzy miejscowościami Ehrenforst (Sławęcice) i Blechhammer (Blachownia). W latach 40. efektem końcowym była produkcja wysokooktanowej benzyny, a także olejów i różnego rodzaju smarów. W 1940 r. w Kędzierzynie (niem. Heydebreck) powstaje potężny kombinat I.G Farben. Produkcja dostosowana jest do potrzeb wojny. W rezultacie tych inwestycji w powiecie kozielskim powstał duży ośrodek przemysłowy.

W 1944 r. lotnictwo amerykańskie (15. Armia Powietrzna Stanów Zjednoczonych) rozpoczęło ofensywę bombową przeciwko rafineriom położonym na Śląsku, w tym rafinerii Oberschlesische Hydrierwerke Blechhammer, w źródłach amerykańskich określanej jako „Blechhammer North". W czasie 18 nalotów, począwszy od 7 VII 1944 do 26 XII 1944, zakłady w poważnym stopniu zostały zniszczone i unieruchomione. W ich następstwie ucierpiała również ludność cywilna, wielokrotnie bomby spadały na gospodarstwa i domy mieszkalne, powodując duże zniszczenia, a niejednokrotnie i śmierć. Nic więc dziwnego, że nastawienie mieszkańców do pilotów amerykańskich było wrogie.

Jest już dawno po wojnie, czas zatarł ślady dawnych walk, ale pewne historie z tamtych lat nadal żyją swoim życiem. Oto jedna z nich:

„Podczas jednego z nalotów przeprowadzanych na Kędzierzyn, na wysokości Racławic Śląskich amerykańska maszyna osłaniająca bombowce oddziela się od szyku i kieruje nad zabudowania wsi ostrzeliwując je – w wyniku czego kilkanaście domów staje w płomieniach. Niestety, pilot nie przewidział stanowisk baterii artylerii przeciwlotniczej i dostał się pod ich ostrzał… trafiony, spada na okoliczne pola".

Przez następne miesiące wrak zalega na polu gospodarza z Racławic Śląskich. Okoliczni mieszkańcy zbierają wszystko, co może przydać się w gospodarstwie. Gdy przestał być przydatny, zapomniano o nim. A czas zrobił swoje. Pozostałe fragmenty samolotu zostały zasypane popiołem i niepotrzebnymi ludziom śmieciami. Pole było uprawiane, a historia katastrofy zaczęła obrastać legendą…

Wrzesień 2013 roku. Na jednym z zebrań Kozielskiego Stowarzyszenia Miłośników Historii i Archeologii Explorator jej członkowie podjęli decyzję o zweryfikowaniu, znanej od kilkunastu lat, opowieści o amerykańskim myśliwcu „pogrzebanym" na polu w Racławicach Śląskich. Bliska znajomość z właścicielem pola umożliwiła, wydawałoby się spokojne, bez pośpiechu, podjęcie działań. Jakież okazało się to złudne… W pewien wrześniowy poniedziałek pojawił się bowiem człowiek oferujący pieniądze za wskazanie miejsca, w którym znajduje się wrak samolotu – w celu jego wydobycia. Oczywiście nielegalnego wydobycia, bez wymaganych zezwoleń. Na szczęście właściciel pola natychmiast skontaktował się ze Stowarzyszeniem, a zaistniałe okoliczności przyspieszyły decyzję o zdobyciu wymaganej dokumentacji prawnej i technicznej – w zgodzie m.in. z obowiązującą ustawą o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami.

W środę miało dojść do spotkania w celu sporządzenia odpowiedniej dokumentacji. Wiadomo bowiem, że podstawą wystąpienia do konserwatora zabytków o zezwolenie na poszukiwania – w naszym przypadku opolskiego – jest pisemna zgoda właściciela gruntu. W umówiony dzień spotykamy się z właścicielem. Po rozmowie decydujemy się udać na pole, aby nanieść lokalizację potencjalnych miejsc zalegania wraku na mapkę. Jakież było nasze zdumienie, gdy zbliżając się do celu, zobaczyliśmy samochód terenowy z przyczepką i dwóch ludzi… ładujących na nią jakieś przedmioty, które, jak się później okazało, były częściami samolotu, ku naszemu zaskoczeniu – niemieckiego! Wówczas jednak jego bliższa identyfikacja, ze względu na bardzo duże zabrudzenie gliną oraz zaistniałe okoliczności, była niemożliwa. Ślady na polu wskazywały na niedawną pracę ciężkiego sprzętu, prawdopodobnie w nocy, bowiem w dzień byłoby to niemożliwe. Doszło do bardzo nieprzyjemnej konfrontacji. Jeden z „pseudo-poszukiwaczy" okazał się tym, który wcześniej odwiedził właściciela gruntu z intratną propozycją. Na miejsce została wezwana policja, która przeprowadziła pozostałe czynności wyjaśniające. Nakazała przekazać wszystkie elementy właścicielowi gruntu do momentu uzyskania niezbędnych zezwoleń przez Kozielskie Stowarzyszenie. Na szczęście już następnego dnia mieliśmy w rękach wszelkie pozwolenia Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

W poniedziałek podjęto pierwsze prace. W ich trakcie zebrano wiele elementów poszycia, oprzyrządowania i szereg fragmentów konstrukcyjnych. Wszyscy mieli obawy, czy jest jeszcze silnik, czy może został wykopany i wywieziony. Widać było, że tylko o niego chodziło, ponieważ w trakcie „nocnej akcji" nie zwracano uwagi na kadłub i pozostawione blachy poszycia, na których widniały ślady roztargania. Przez kilka godzin żmudnie przeczesywaliśmy każdą warstwę wybranej ziemi – lepka, kleista glina zmieszana z olejem i paliwem nie ułatwiała zadania. Co gorsza, mogło to sugerować, że jednak silnik został wcześniej wydobyty przez naszych poprzedników.

Około 12:00 na miejsce ściągnęliśmy sprzęt ciężki i rozpoczęliśmy głębsze wykopy. Prace wzbudziły ogromne zainteresowanie okolicznych mieszkańców, na miejsce przybywały całe rodziny. Kiedy wykop osiągnął prawie 5 metrów,

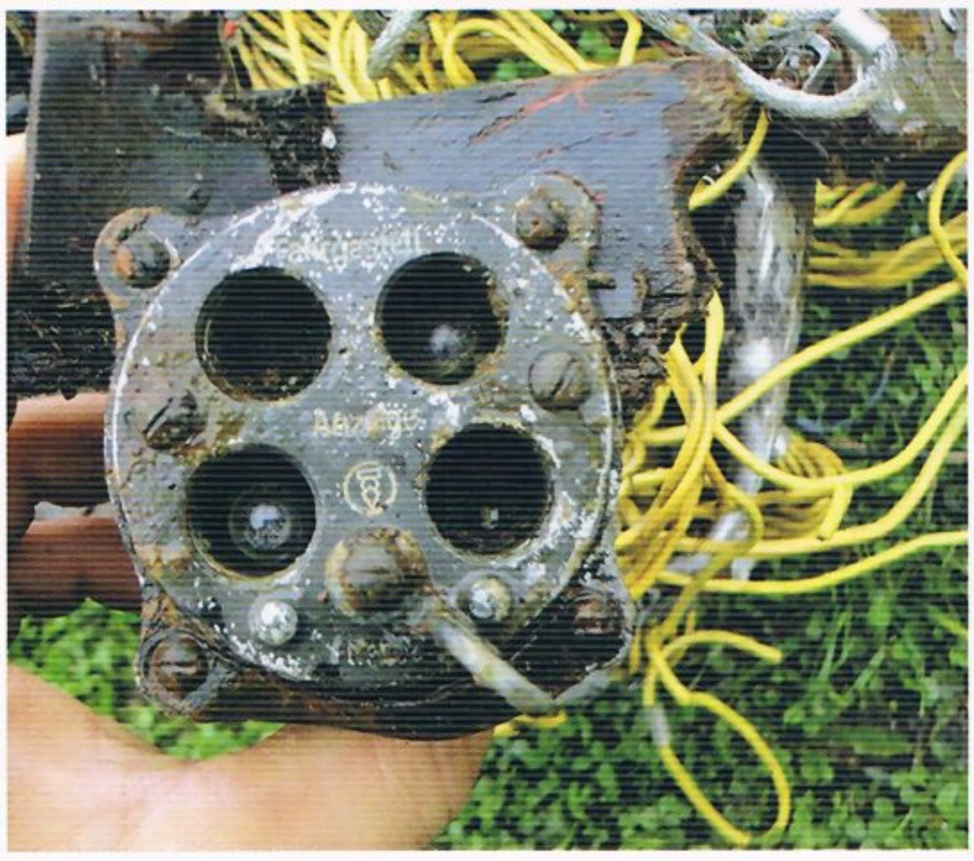

a było to już około godziny 15:00, postanowiliśmy przerwać akcję. Na koniec jeden z członków Stowarzyszenia zszedł jednak do wykopu i poczuł bardzo intensywny zapach paliwa. Trzeba było sprawdzić to miejsce raz jeszcze. Kiedy koparka zatopiła łyżkę w ił, operator trafił na solidny opór… czyżby jednak silnik? Wszyscy wstrzymali oddech. Dwóch ludzi saperkami zaczęło okopywać tajemniczą przeszkodę, która ostatecznie okazała się… niemieckim silnikiem DB 605 stosowanym m.in. w myśliwskim Messerschmittcie Bf 109! Po krótkiej chwili radości stanęliśmy przed dylematem:

Jak podjąć tak ciężki przedmiot, zalegający na ponad 6 metrach?

Najważniejsze, by oderwał się od iłu, w którym zalegał przez prawie 70 lat. Po zaczepieniu liny koparka spróbowała go wydobyć, niestety, bez pomocy ciągnika nie dała rady. Ponowiliśmy próbę. Tym razem ruszył. Udało się. Kiedy silnik znalazł się na powierzchni, wszyscy zaczęli bić brawo… Jednak jest. Kolejna tajemnica sprzed 70. lat ma szansę na rozwiązanie. I tu właśnie zaczyna się druga historia jednego samolotu.

W marcu 1945 roku front dotarł do Racławic, trwały zacięte boje, z relacji starszych mieszkańców wyłania się tragiczny obraz wojny. Wojska kilkakrotnie przemieszczały się, raz Armia Czerwona zajmowała pozycje we wsi, chwilę potem wracały oddziały niemieckie. Ciała poległych żołnierzy obu stron zalegały okoliczne pola, podwórka… Już nikt nie zwracał na to uwagi. Przygniatała niepewność jutra, co dalej?

Działania wojenne zakończyły się, umilkły kanonady dział, ucichły serie karabinów maszynowych, jedynie pola przypominały o jeszcze niedawnych bojach. Wszędzie leżał porzucony sprzęt… i wystający z ziemi ogon samolotu – widziany oczami dziecka ogromny ptak, którego dosięgła kula myśliwe-

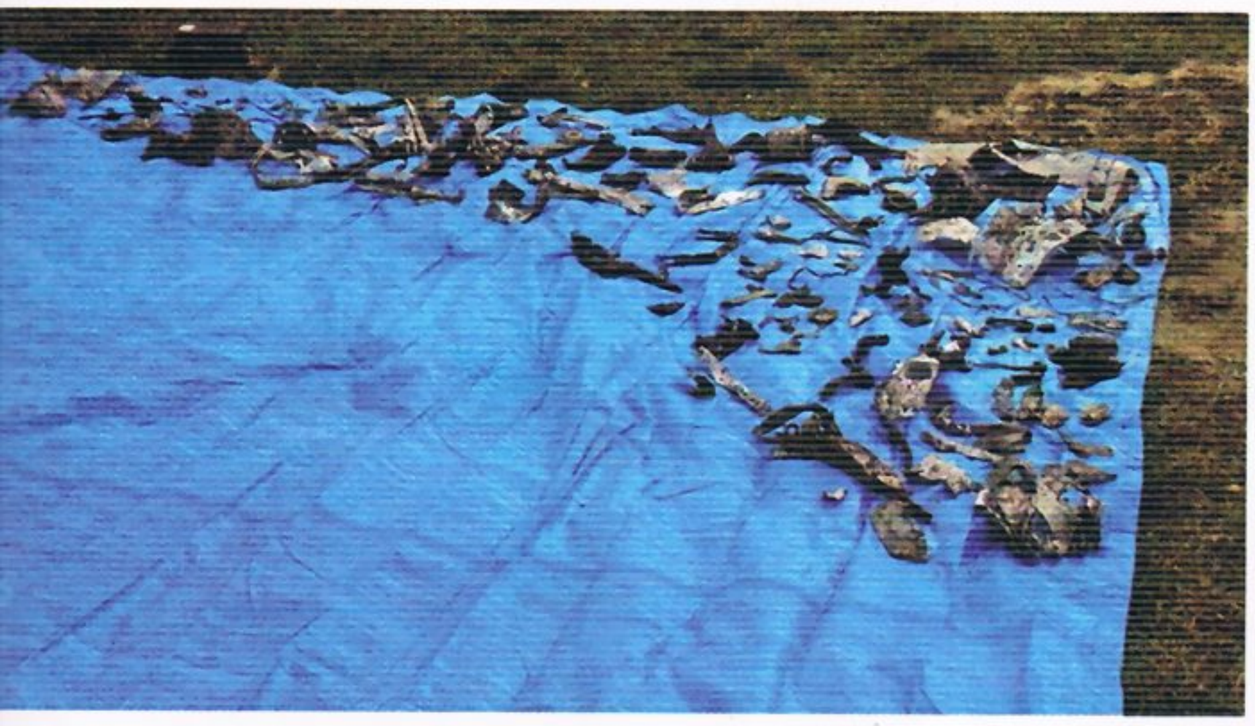

go. Tak został zapamiętany. Przez te wszystkie lata obrósł legendą, która znalazła swoje ujście we wrześniu 2013 roku.

Teraz żmudna praca przed członkami Kozielskiego Stowarzyszenia, setki drobnych części, które trzeba wyczyścić, zakonserwować i zidentyfikować. Wstępne rozeznanie pozwala nam wysnuć przypuszczenie, że jest to Messerschmitt Bf 109 G-14. Gdyby się to potwierdziło, zawęża to zakres poszukiwań, ponieważ na tym terenie operował wyposażony w ten typ myśliwców Jagdgeschwader 77 (JG 77). Według dostępnych informacji z interesującego nas okresu, trzy maszyny z tej jednostki widnieją jako zaginione. Być może odnaleźliśmy jedną z nich, ale nie spekulujmy, poczekajmy na ostateczne wyniki. Może uda się znaleźć tabliczkę znamionową z numerem maszyny? Wszystkie wykopane elementy samolotu zostaną dokładnie oczyszczone, posegregowane, a następnie poddane identyfikacji.

Jakie miałaby zakończenie ta historia, gdyby nie zbieg okoliczności? Niestety, przypuszczamy, że znaczna część elementów wraku zostałaby wywieziona przez ludzi przyłapanych na polu. Szkoda, że nie ma wszystkiego. Tylko ubolewać, że przez takich pseudo-poszukiwaczy, którzy kierują się jedynie chęcią zysku, z jednej strony tracimy wiele obiektów zabytkowych, z drugiej działania tych, którzy chcą je ratować, są w dużej mierze utrudniane.

Co teraz?

Sprawozdanie do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Opolu i cierpliwość w układaniu tych „puzzli", ale przecież dla pasjonatów to niezwykła przyjemność odkrywać historię i móc ją prezentować innym. Bo przecież ona jest stałym elementem naszego życia, nawet gdybyśmy tego nie chcieli. W całej tej historii jest jeszcze jeden niezwykle istotny wątek – człowiek, na którego ślad mamy nadzieję trafić. Będziemy informować o dalszych działaniach.

ZDJĘCIA: KRZYSZTOF LIGENZA I JAN ANIMUCKI

Krzysztof Ligenza

Nauczyciel w Zespole Szkół Żeglugi Śródlądowej w Kędzierzynie-Koźlu od lat interesujący się historią, którą to pasję przekazuje młodzieży. Działacz Stowarzyszenia Explorator od momentu jego powstania. Obecnie wiceprezes Stowarzyszenia. Podejmuje działania odkrywcze, organizuje wystawy, spotkania, stara się przybliżyć historię lokalną mieszkańcom.

REKLAMA

Opis zdjęcia:

Fortyfikacje Twierdzy Przemyśl – Grupa Siedliska VI/2 – Hurko
1. Fort międzypolowy obrony bliskiej W XIV „Hurko".
2. Szaniec FSXIV b „Hurko".
3. Szaniec FSXIV a „Hurko".
4. Zniwelowane stanowiska artyleryjskie.
5. Przedpiersia szańca.
6. Miejsce po palisadzie i bramie wjazdowej.
7. Zachowany współcześnie fragment szańca.
8. Częściowo zniwelowane stanowiska artyleryjskie.
9. Rów łącznikowy.
10. Zachowane do dzisiaj wiadukty kolejowe.
11 Przedpola fortu XIV „Hurko".
12. Koszary szyjowe z poprzecznicami.
13. Murowane podjazdy na wał artyleryjski.
14. Fosa z murem Carnota.
15. Miejsce ze śluzą od systemu odwadniającego.
16. Przejazd kolejowy z niezidentyfikowaną budowlą.
17. Leje po niemieckich bombach z 1939 r.

Opis techniczny zdjęcia:

Lokalizacja: Hurko – powiat przemyski, województwo podkarpackie.
Format zdjęć: 30×30 cm, kamera Rb30, ogniskowa kamery 751 mm, pokrycie podłużne ok. 40%
Data wykonania zdjęcia: 20 grudnia 1944 rok.
Skala zdjęć: 1:11 000

Widziane z góry (cz. 5)

Zapomniane fortyfikacje Twierdzy Przemyśl

SEBASTIAN RÓŻYCKI

20 grudnia 1944 roku Junkers 188 D-2, 4. eskadry 121. grupy rozpoznania dalekiego zasięgu, wystartował z lotniska w Brzegu[1]. Obserwator podporucznik Lütje uruchomił po raz pierwszy migawkę kamery Rb30 z obiektywem 750 mm nad lotniskiem w Krośnie. Samolot poleciał dalej na południowy-wschód wykonując kilkadziesiąt zdjęć okolic miejscowości: Drohobycz, Stryj, Kałusz. Następne zdjęcia zostały wykonane m.in. nad Przemyślem, Przeworskiem, Łańcutem, Rzeszowem i Dębicą. W sumie, w archiwum NARA z tej kamery zachowały się 242 zdjęcia[2].

Opisywane poniżej zdjęcie Hurko/Twierdzy Przemyśl oznaczone jest numerem 137.

Przypisy:

[1] Za Michael Holm - http://www.ww2.dk

[2] W NARA mogą istnieć inne zdjęcia z tego lotu. Dość często zdarzało się, iż zdjęcia wykonywane podczas lotu z dwóch różnych kamer, były katalogowane pod różnymi sygnaturami.

○ ○ ○

MATEUSZ ZAWADZKI

Fortyfikacje Twierdzy Przemyśl stały się nieodłącznym elementem przemyskiego krajobrazu. Dzisiaj niektóre z nich, porośnięte trawą i krzewami lub fizycznie prawie nieistniejące, popadają w zapomnienie. Do takiego stanu rzeczy przyczynił się okres PRL-u, kiedy to dokonały się nieodwracalne zmiany nie tylko w sferze mentalnej, ale i w materialnej. Rozwój przemysłu, wielkoobszarowego rolnictwa i infrastruktury transportowej spowodował bezpowrotne przeobrażenia w krajobrazie. W rekonstrukcji obszarów, w znaczący sposób przekształconych w ciągu ostatnich 60-ciu lat, nieocenioną pomocą są archiwalne zdjęcia lotnicze z okresu II wojny światowej. Materiały te są niezwykle istotnym źródłem do badań i analiz nie tylko dla zawodowych historyków, ale również dla urbanistów, architektów czy regionalistów. Dzięki coraz większej dostępności tego rodzaju źródeł, możemy z niezbitą pewnością dowodzić istnienia obiektów, o których świadczą jedynie znikome już pozostałości czy, niestety, sporadyczny przekaz świadków wydarzeń minionych.

Zdjęcie analizowane w niniejszym artykule nie było dotychczas obecne w literaturze. Pozwoliło ono na „unaocznienie" dawnego krajobrazu obszaru nazywanego żartobliwie przez miejscowych „Trójmiastem", z racji bliskości położenia trzech miejscowości: Hurko, Hureczko i Łapajówka (część Hurka). Opisywany fotogram, to fragment większej całości. Przedstawia on trzy obiekty wchodzące w skład VI grupy fortecznej zwanej „Salis Soglio" lub „siedliską" – obejmującą front południowo-wschodni Twierdzy Przemyśl.

Zdjęcie zostało wykonane w grudniu 1944 r. w godzinach południowych. O podanej porze roku świadczy zamarznięta woda w starorzeczu rzeki San, a o godzinie – cień rzucany przez obiekty na zdjęciu. Fortyfikacje, które zostaną opisane, z pewnością nie były w głównym kręgu zainteresowań niemieckich lotników. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że na tym obszarze były nimi m.in.: lotnisko w Hureczku (warto zapoznać się z monografią tego obiektu autorstwa P. Chorążykiewicza i D. Karnasa).

Początki istnienia Twierdzy Przemyśl przypadają na lata 50. XIX wieku. Prace fortyfikacyjne zakładały budowę drugiej co do wielkości i znaczenia twierdzy (po Krakowie). Rozpoczęły się od wzniesienia szańców ziemnych wchodzących w większości, w okresie późniejszym, w skład zewnętrznego pierścienia obozu warownego. W tym czasie powstają w Hurku dwa szańce typu FSch. I klasy „XIV a" i „XIV b" (kolejno numer **20** i **19** według pierwotnie stosowanego oznaczenia). Są to siedmioboczne umocnienia otwarte w stylu „luneta", z blokhauzem pośrodku z lat 1854-1855. Do dziś najlepiej zachował się hurecki szaniec północny (**19**), a drugi zaś tylko w znikomym stopniu.

Widoczny na zdjęciu szaniec „XIVa" przetrwał w swym pierwotnym zarysie dlatego, iż nie był modernizowany przez Austriaków w późniejszym okresie. Częściowo został jedynie zniwelowany w latach 1921-1930 i zaadaptowany pod gospodarstwo przez miejscowego rolnika o nazwisku Gnyra. Na zdjęciu wyraźnie widać zabudowania gospodarskie w obrębie szańca i zlikwidowane już stanowiska artyleryjskie (**4**). Nie można jednoznacznie stwierdzić, czy zachowały się choćby pozostałości blokhauzu. Prawdopodobnie nadziemna, drewniana część „schronu" w tym czasie już nie istniała. Wyraźnie natomiast widoczny jest cały obwód wałów – jeszcze z pionową, niezagospodarowaną koroną, fosa oraz przedpiersia (**5**) – dziś już prawie niezauważalne gołym okiem. Doskonale daje się również zauważyć fragment kleszczowo załamanej szyi z miejscem po palisadzie i bramie wjazdowej (**6**). W okresie powojennym, w wyniku parcelacji rolnej, obszar szańca z przyległymi polami dostał się w posiadanie pradziadków Autora. W tym czasie, w celu pozyskania do użytku rolnego nowych obszarów ziemi, dokonano częściowego zniwelowania korony wałów i ich zboczy – od strony wschodniej do południowo-zachodniej.

Drugi z widocznych szańców „XIV b", na przedpolach miejscowości Hurko, nie przetrwał w swym pierwotnym zarysie do dnia dzisiejszego. W latach 70. XX w. został zrównany pod linię kolejową, i dzisiaj zachował się tylko znikomy fragment północnego wału i fosy (**7**). Na opisywanym zdjęciu można odczytać kilka szczegółów dotyczących budowy tego typu obiektów. Zauważalny jest bardzo dobrze zachowany w tym okresie obwód wałów i w niewielkim stopniu zniwelowane stanowiska baterii (**8**). Niemalże centralnie (lekko przesunięty w kierunku zachodnim) umiejscowiony prostokątny zarys może być pozostałością po blokhauzie, który znajdował się tu w latach świetności tego obiektu. Od załamania szyi odchodzi rów łącznikowy w kierunku wiaduktu kolejowego i starego koryta Sanu (**9**) – dzisiaj już całkowicie wyrównany pod pola uprawne i bocznicę kolejową. Obecnie zachował się tylko wiadukt kolejowy (**10**) i niewielkie wgłębienia po okopie.

Ten sam los co szaniec 20 spotkał fort główny XIV „Hurko". W 1950 r. został rozebrany prawy bark obiektu, a w 1975 r. do-

konano całkowitej niwelacji fortu pod planowaną bocznicę kolejową, która nigdy tu nie powstała. Zasadne staje się więc pytanie: czy był to jedyny powód wyburzenia jednego z najlepiej zachowanych obiektów Twierdzy Przemyśl? W wyniku nałożenia zdjęcia na współczesną ortofotomapę wynika, iż budując linię szerokotorową wystarczające było wysadzenie fragmentu fortu. Być może zaważył tu rozmach z jakim wykonywano wszelkie prace w okresie PRL-u i postanowiono usunąć cały obiekt. Fort w latach międzywojnia pełnił funkcję magazynów wojskowych, a w okresie powojennym był wykorzystywany przez pewien czas jako magazyn spółdzielni rolniczej, a później skład Zakładu Przemysłu Spożywczego „POMONA".

Prezentowane zdjęcie pozwala na spojrzenie „z lotu ptaka" na całkowicie zachowany obiekt z zarysami przedpola (**11**). Doskonale widoczne są koszary szyjowe ze stanowiskami artyleryjskimi rozdzielone poprzecznicami (**12**). Po prawym i lewym boku koszar widać równoległe do nich murowane podjazdy na wał artyleryjski (**13**). Od strony północnej, wschodniej i południowej, obiekt otoczony jest fosą z murem Carnota (**14**). Dokładną interpretację całości utrudnia niestety cień słoneczny padający od strony południowo-zachodniej, który sprawia, że w jego zasięgu obiekt jest nieczytelny.

Z ciekawostek należy dodać, iż fort miał wykonaną kanalizację deszczową, która odprowadzała wodę betonowymi kanałami do starorzecza Sanu. W miejscu, gdzie droga forteczna łączyła się z szosą biegnącą do miejscowości Hurko znajdowała się śluza, która zamykała system odwadniający (**15**). Przy południowym narożniku fortu widoczny jest przejazd kolejowy z owalną, niezidentyfikowaną budowlą (**16**), o której nic konkretnego nie są w stanie powiedzieć ówcześni mieszkańcy Hurka. Na opisywanym zobrazowaniu lotniczym dają się również zauważyć miejsca po niemieckich bombach zrzuconych tu w 1939 roku (**17**).

Literatura:
1. P. Chorążykiewicz, D. Karnas, „Hureczko. Historia lotniska Twierdzy Przemyśl", Sandomierz 2009
2. F. Forstner, „Twierdza Przemyśl", Warszawa 2000
3. T. Idzikowski, „Forty Twierdzy Przemyśl", Przemyśl 2001
4. T. Idzikowski, „Twierdza Przemyśl", Przemyśl 2002
5. T. Idzikowski, „Grupa Siedliska", [w:] „Twierdza Przemyśl w Galicji", red. J. Polaczek, Przemyśl 2003, ss. 83-108
6. J. Różański, „Twierdza Przemyśl", Rzeszów 1983
7. „Twierdza Przemyśl. Informator regionalny", Rzeszów 1999

Mateusz Zawadzki
Doktorant w Instytucie Historii KUL, specjalista GIS, członek Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej „Wrzesień 39". Pasjonuje się historią regionalną, kartografią historyczną i militarystyką.

Sebastian Różycki
Adiunkt na Wydz. Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Prowadzi m.in. zajęcia z interpretacji zdjęć lotniczych. Od trzech lat gromadzi dane nt. rozpoznania lotniczego i zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. Na łamach „Odkrywcy" zadebiutował współautorskim tłumaczeniem dzienników niemieckiej jednostki walczącej w Powstaniu Warszawskim 1944 („Odkrywca" nr 8/2011).

W ramach cyklu „Widziane z góry" ukazały się: cz. 1 „Szklane oko nad Wilczym Szańcem" – nr 7/2013; cz. 2 „Helski port wojenny" – nr 8/2013; cz. 3 „Cypel Helu/Helski po zakończeniu Kampanii Obronnej 1939 roku" – nr 9/2013; cz. 4 „Gruzy, barykady, schrony i swastyki… Powstanie Warszawskie na niemieckim zdjęciu lotniczym" – nr 10/2013.

ZDJĘCIE LOTNICZE: S. RÓŻYCKI/NARA

REKLAMA

Sponsorzy główni

Patronat medialny

Sponsorzy

Zapasowe lądowisko

czy „poligon doświadczalny" Wilczego Szańca?

MARIUSZ KWIATKOWSKI

W lipcowym numerze „Odkrywcy" (nr 7/2013) autorzy artykułu „Szklane oko nad Wilczym Szańcem" przeanalizowali niemieckie zdjęcie lotnicze z 22 sierpnia 1944 roku przedstawiające obszar kwatery Adolfa Hitlera i Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu w Gierłoży koło Kętrzyna. Zdjęcie to kilka lat temu zamieszczone zostało w książce „Wolfsschanze. Hitlers Machtzentrale im Zweiten Weltkrieg", stąd, mimo znacznie gorszej jakości obrazu, od kilku lat posługuję się nim w „naziemnej" penetracji kwatery.

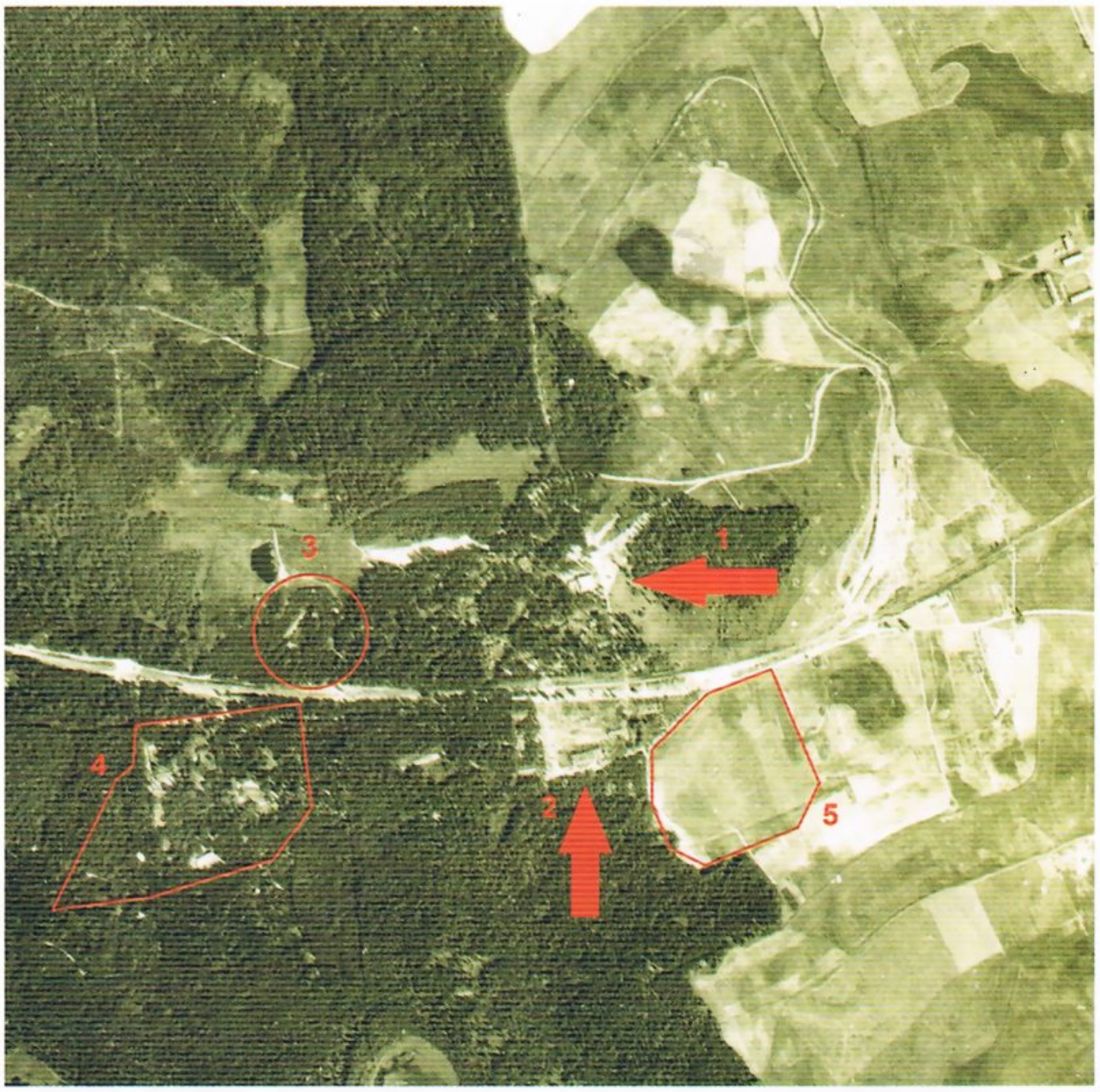

U kogoś znającego teren „z poziomu ziemi", analiza wspomnianego zdjęcia wywołuje wiele wątpliwości i zmusza do stawiania pytań dotyczących funkcjonowania Szańca. Bo chociażby na podstawie siatki doskonale widocznych dróg, wyłania się kolejna odsłona codziennego działania tego specyficznego obozu wojskowego będąca wstępem do całkiem nowego rodzaju poszukiwań. Idealnie widzialna duża część ceglanych i betonowych budowli, potwierdza stawianą tezę, że Wilczy Szaniec nie był aż tak perfekcyjnie maskowany. I to nie tylko w trakcie budowy kolejnych obiektów…

To tylko cząstka z wyłaniających się ze zdjęcia ciekawostek.

Kolejną z nich, o której szerzej w niniejszym artykule, jest sprawa funkcjonowania w kwaterze polowego lądowiska samolotów kurierskich. Jego doskonale widoczny na zdjęciu obszar nosi wyraźne ślady intensywnej eksploatacji. Tylko czy na pewno są to ślady pozostawione przez lądujące i startujące samoloty?

Przyjęto, że trawiaste lądowisko pomocnicze znajdowało się w południowo-wschodniej części obszaru zamkniętego kwatery. Pomiędzy lasem a majątkiem szlacheckim Parcz. Z założenia spełniać miało rolę wspomagającą względem Wilamowa – głównego lotniska obsługującego Wilczy Szaniec, oddalonego od niego o ok. 5 kilometrów. Tego rodzaju obiekt nie musiał posiadać szczególnego rodzaju infrastruktury, czy utwardzonego pasa startowego. Przeznaczono go dla niewielkiego samolotu łącznikowego Fieseler-Storch, któremu do pracy wystarczała w miarę równa łąka.

W dostępnych źródłach znajdziemy bardzo niewiele informacji o wspomnianym lądowisku. Jakby mimochodem podaje się w nich, że takowe znajdowało w Wilczym Szańcu. I nic więcej. Nie zaznaczono go na dwóch znanych nam planach kwatery – z 1941 i początku 1943 roku. Tak, jakby nigdy go tutaj nie było. Po raz pierwszy obszar lądowiska oznakowano na planie odzwierciedlającym wygląd kwatery z lipca 1944 roku. Mimo pozorów wnosić można, iż lądowisko nie było zbyt ważnym ogniwem w stabilnym funkcjonowaniu kwatery. W Gierłoży nie było ono niezbędne i prawdopodobnie ani razu nie zostało wykorzystane zgodnie ze swoim przeznaczeniem (albo jedynie sporadycznie). Samoloty kurierskie w nieporównywalnie lepszych warunkach stacjonowały, startowały i lądowały na lotnisku Wilamowo. Stamtąd, w najbardziej palących przypadkach, poczta trafić mogła do adresatów w Wilczym Szańcu w około pół godziny. To wystarczało, aby usunąć w cień lądowisko położone w kwaterze. Sprawić by plac, na którym lądować miały samoloty, przeznaczono do zupełnie innego celu.

Przez szereg lat lądowisko wykorzystywano przede wszystkim jako plac, na którym prezentowano Adolfowi Hitlerowi prototypy nowego rodzaju uzbrojenia wojsk lądowych. Świadczą o tym zarówno materiały źródłowe, jak i, w pewnym stopniu, omawiane zdjęcie lotnicze z 1944 roku.

1 listopada 1941 roku w kwaterze Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych w Mamerkach urządzono pokaz zimowego umundurowania i wyposażenia pomyślanego przede wszystkim dla żołnierzy niemieckich walczących na Froncie Wschodnim. Wystawę zorganizowano dla Hitlera, który drogę z Wilczego Szańca do Mamerek pokonał drezyną kolejową (zdarzenie to udokumentowali operatorzy kroniki filmowej: „Die

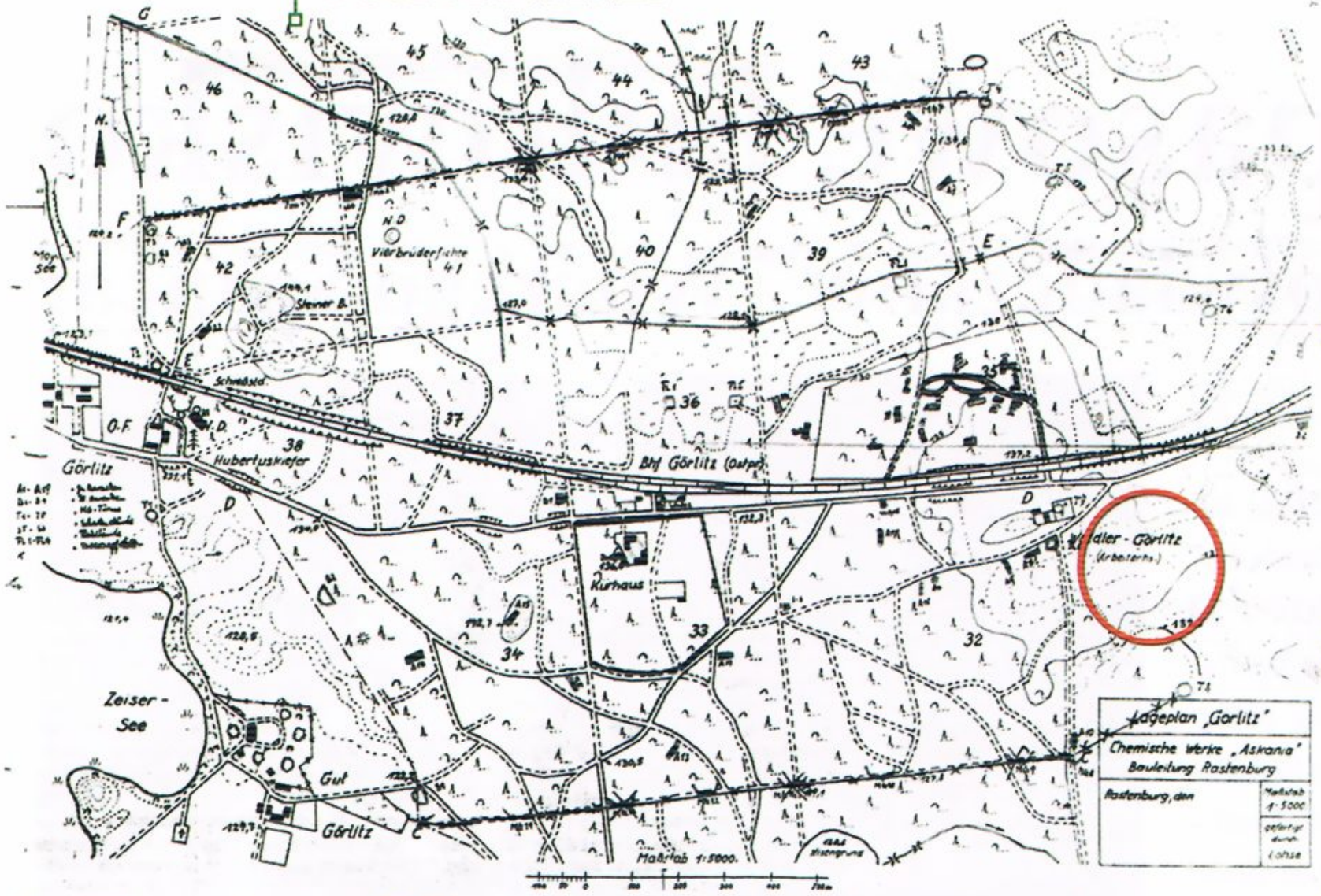

Plan Wilczego Szańca z 1941 roku. Czerwone koło pokazuje teren niezaznaczonego lądowiska.

Plan Hoffmanna z 1944 roku z zaznaczonym lądowiskiem.

samolotów Willy Messerschmitt. Hitlerowi zaprezentowano wówczas samoloty: Arado-234, Dornier-335 i trzy modele Messerschmitta: Me-109, Me-410 i Me-262.

Nie znamy liczby pokazów mających miejsce w Wilczym Szańcu. Na pewno nie było ich dużo, lecz przecież prezentacji nowinek militarnych dla Hitlera – Naczelnego Dowódcy Wehrmachtu i głowy państwa, chociażby z racji swej wagi nie organizowano zbyt często.

Najbardziej znany spośród gierłoskich pokazów odbył się 20 kwietnia 1944 roku, w 53 urodziny Hitlera. Wtedy to konkurencyjne zakłady Henschla i Porscha prezentowały na lądowisku prototypy czołgu ciężkiego.

Był to początek historii „Tygrysa" – chyba najbardziej znanego czołgu z okresu II wojny światowej.

Albert Speer, od 8 lutego 1942 roku minister uzbrojenia i amunicji w rządzie III Rzeszy, z racji swoich obowiązków służbowych w Wilczym Szańcu bywał średnio co dwa, trzy tygodnie. Celem niemalże każdej z jego wizyt były sprawy szeroko pojmowanej gospodarki wojennej. Za każdym razem on sam, lub któryś z towarzyszących mu inżynierów bądź kompetentnych pracowników ministerstwa, referował Hitlerowi zagadnienie będącą tematem spotkania. W spisanych po wojnie wspomnieniach Speer niejednokrotnie opisuje przebieg tego rodzaju narad. Co więcej, potwierdza i obrazuje przebieg prezentacji sprzętu wojennego mających miejsce na terenie kwatery: *„Z naszymi konferencjami łączyły się zwykle pokazy nowej broni, odbywające się na pobliskim placu* – pisze Speer. *Dopiero przed chwilą siedzieliśmy swobodnie z Hitlerem – teraz wszyscy musieli stawać w szeregu, szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, feldmarszałek Keitel, na prawym skrzydle. Gdy zjawiał się führer, Keitel meldował ustawionych w szeregu generałów i inżynierów. Hitler najwyraźniej przywiązywał wagę do tego rodzaju ceremonii. Chcąc jeszcze bardziej podkreślić formalny charakter wydarzenia, aby podjechać do odległego o paręset metrów placu, wsiadał do odkrytego samochodu, w którym ja zajmowałem miejsce z tyłu.*

Po meldunku Keitla grupa momentalnie się rozchodziła; Hitler kazał pokazywać sobie detale, po przygotowanych stopniach wspinał się do pojazdów i kon-

Deutsche Wochenschau"; odcinek z dnia 5.11.1941). Pokaz w kwaterze nad Jeziorem Mamry był pierwszym z kilkunastu ekspozycji nowej techniki wojskowej, jakie urządzono dla Adolfa Hitlera podczas jego pobytu w Gierłoży w Prusach Wschodnich. Wiele z nich – przykładem jest ta z listopada 1941 roku – zorganizowano poza obszarem kwatery, często na poligonie w Orzyszu (Arys).

Największy i najbardziej znaczący pokaz urządzony poza kwaterą miał miejsce 26 listopada 1943 roku na lotnisku w Insterburg (Czerniachowsk, Obwód Kaliningradzki Federacji Rosyjskiej), leżącym około 70 km na północ od Gierłoży. Poświęcono go prezentacji najnowszych typów samolotów bojowych. Oprócz osobistości związanych z niemieckim lotnictwem – marszałek Hermann Göring, feldmarszałek Erhard Milch, generał Adolf Galland – wzięli w nim udział minister uzbrojenia i amunicji Albert Speer w towarzystwie szefa departamentu techniki w swoim ministerstwie, Karla Saura, i konstruktor

tynuował dyskusję z fachowcami. Często obaj wygłaszaliśmy o nowych typach pochlebne uwagi w rodzaju: »Cóż za elegancka lufa!« albo: »Jak piękną linię ma ten czołg!«".

Pozornie w relacji tej znaleźć możemy odpowiedź na pytanie co do liczby zorganizowanych w Wilczym Szańcu pokazów nowej techniki wojskowej. Bowiem pisze Speer, że pokazy nowej broni zwykle odbywały się po każdej konferencji z Hitlerem. Minister uzbrojenia i amunicji podaje, iż w 1942 roku brał udział w 25 naradach u Hitlera, tematem których były zbrojenia. W 1943 roku podobnych narad było 24. W 1944 – 13. Łącznie odbyto więc 62 konferencje dotyczące zbrojeń. Jednakże zaznaczyć trzeba, że nie wszystkie odbyły się w Wilczym Szańcu, i na pewno nie wszystkie kończyły się prezentacją nowego uzbrojenia. Przyjmijmy zatem, że pokazów mogło być kilka, co najwyżej kilkanaście.

W swoim opisie Speer nie pręcyzuje miejsca, w którym odbywano pokazy. Wspomniany przez niego „pobliski plac" musiał być położony w bezpośrednim sąsiedztwie I strefy bezpieczeństwa kwatery. Drogą, od parkingu w okolicy schronu Hitlera, było do niego kilkaset metrów – to druga pozostawiona przez Speera wskazówka. Tylko jedno miejsce doskonale pasuje do wynikającego z obu podpowiedzi obrazu – łąka określana jako zapasowe lądowisko. Tak więc dzięki opisowi Speera, bez obawy o możliwość popełnienia omyłki zdefiniować możemy przeznaczenie łąki rozciągającej się między lasem a miejscowością Parcz, jako, przede wszystkim, terenu prezentacji sprzętu wojennego, a dopiero potem lądowiska samolotów łącznikowych (o czym tak naprawdę nie wspomina się w żadnych miarodajnych źródłach ani razu).

Lotnicze zdjęcie kwatery wykonano 22 sierpnia 1944 roku. Co interesujące, teren hipotetycznego lądowiska pocięty jest na nim pasami będącymi prawdopodobnie śladami pozostawionymi przez przemieszczające się po jego terenie pojazdy. Z całą pewnością nie mogły zostawić ich lekkie samoloty łącznikowe. A więc może uczestniczące w pokazie samochody bądź pojazdy gąsienicowe?

Czy w drugiej połowie sierpnia 1944 roku prezentowano Hitlerowi w Gierłoży jakieś nowe konstrukcje uzbrojenia? Tego nie wiemy. Wiemy tylko, że 18 sierpnia przebywał w Wilczym Szańcu Albert Speer. Niestety, we wspomnieniach nie precyzuje on celu swojej wizyty.

WYKORZYSTANE W ART. PLANY POCHODZĄ ZE ZBIORÓW AUTORA. ZDJĘCIE LOTNICZE: S. RÓŻYCKI/NARA

Podstawowe źródła:

1. P. Hoffmann, „Die Sicherheit des Diktators. Hitlers Leibwachen. Schutzmaßnahmen. Residenzen. Hauptquartiere", Piper und Co. Verlag 1975
2. U. Neumärker, R. Conrad, C. Woywodt, „Wolfsschanze. Hitlers Machtzentrale im Zweiten Weltkrieg", Ch. Links Verlag 2007
3. N. von Below, „Byłem adiutantem Hitlera 1937-45", MON 1990
4. A. Speer, „Wspomnienia", MON 1990
5. Internet.

Mariusz Kwiatkowski

Podkętrzyński regionalista. Interesuje się historią II wojny światowej w Prusach Wschodnich. Z dziejami mazurskich kwater dowództw niemieckich związany nie tylko z racji zainteresowań, ale i pracą: na lotnisku w Wilamowie, w Gierłoży i w Mamerkach.

JŰRGEN OSTERHAMMEL

HISTORIA XIX WIEKU

PRZEOBRAŻENIE ŚWIATA

Die Zeit: Jedna z najważniejszych książek historycznych ostatnich dekad, wielkie osiągnięcie.

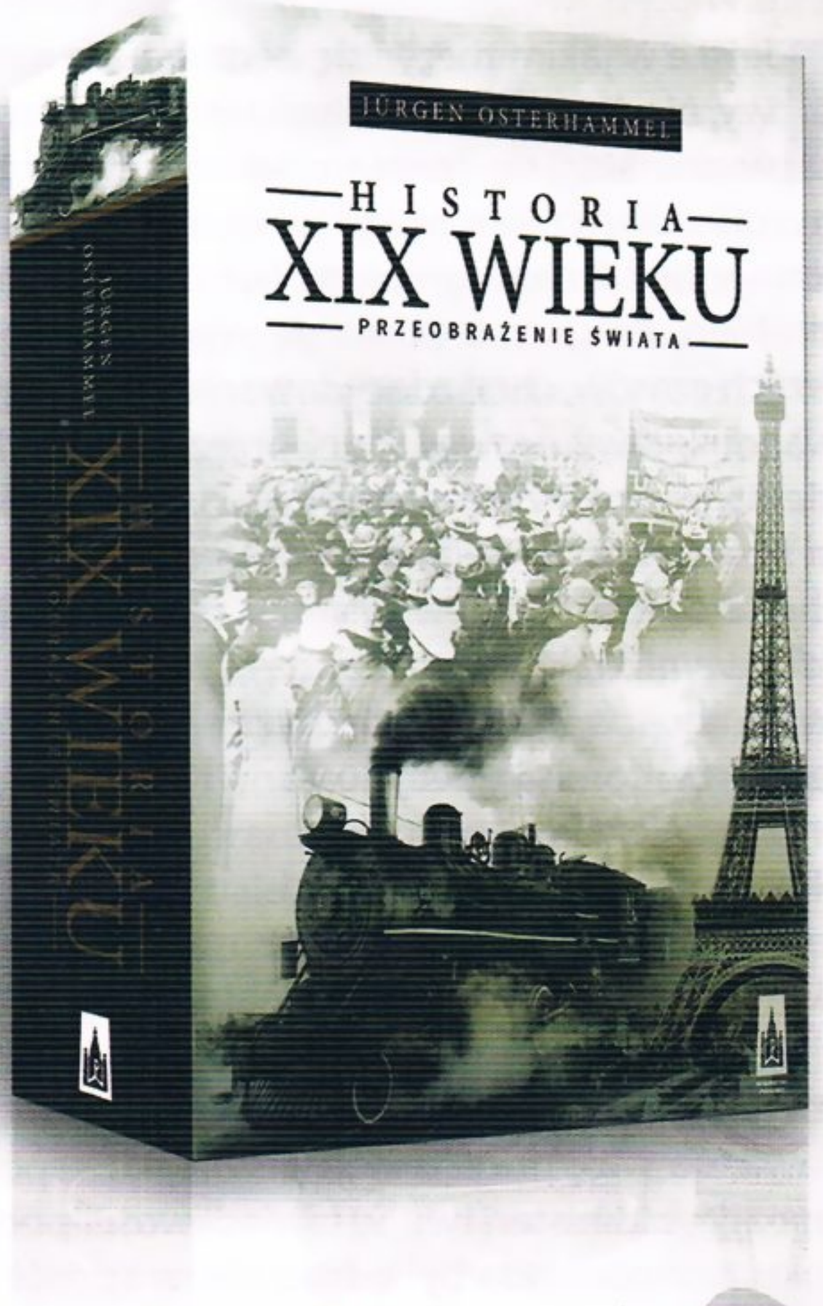

To nie tylko wybitna praca historyczna, ale przede wszystkim wciągająca lektura.

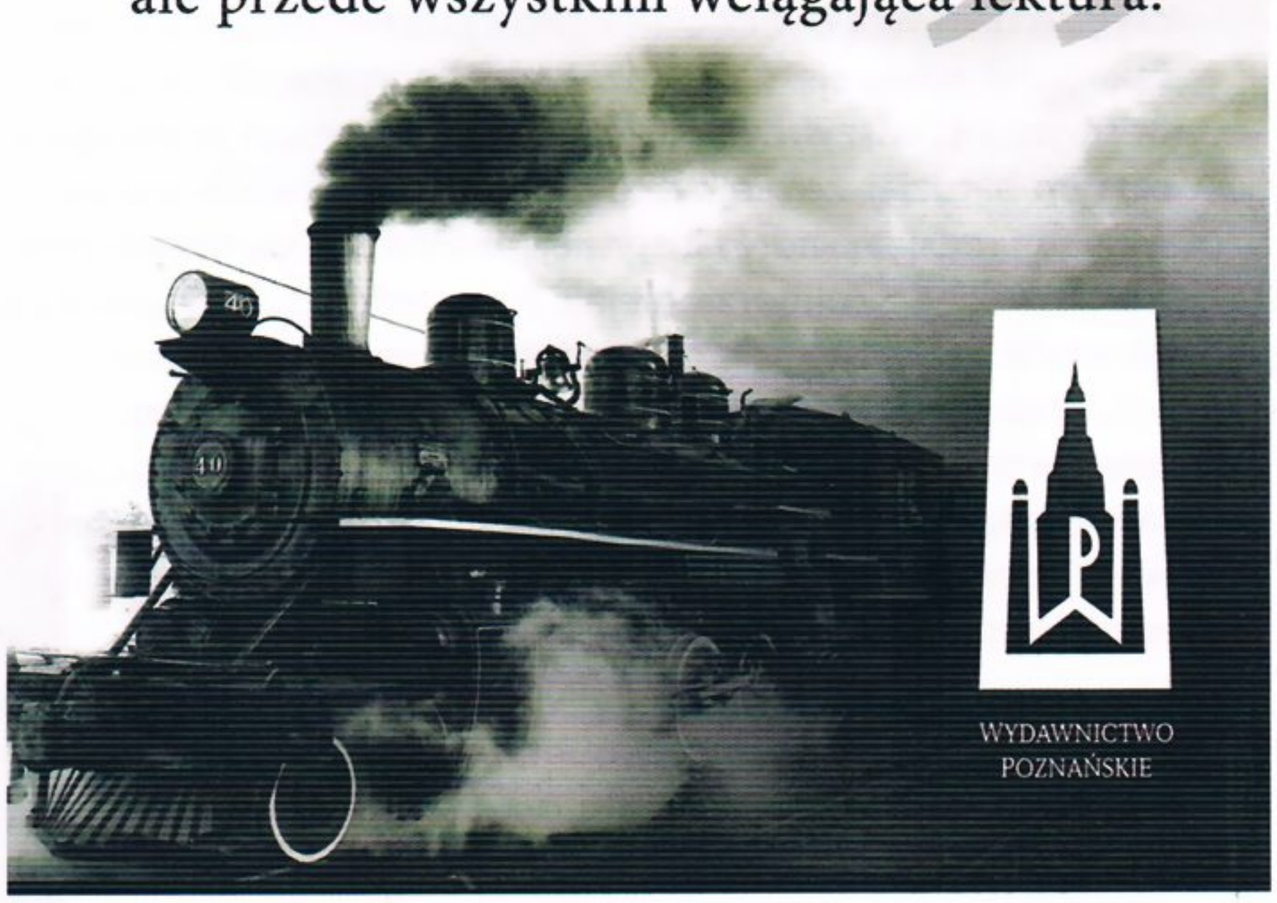

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

WWW.WYDAWNICTWOPOZNANSKIE.COM

Poszukiwania w cieniu Zagłady…

PIOTR MASZKOWSKI

Pod koniec lat 40. w lesie rzuchowskim nieopodal Chełmna nad Nerem, na terenie b. niemieckiego obozu zagłady Kulmhof doszło do zdarzenia, które dwie dekady później stało się przedmiotem śledztwa prowadzonego przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. W jego efekcie, na początku 1965 r., doszło do akcji poszukiwawczej przeprowadzonej siłami m.in. Wojska Polskiego i Milicji Obywatelskiej. Mimo oficjalnych czynników zaangażowanych w sprawę, na jej uczestników padły podejrzenia o przywłaszczenie odnalezionych wówczas przedmiotów…

Miejsce w jakim toczyć się będzie akcja niniejszej sprawy, nigdy, poza badaniami archeologicznymi, nie powinno stać się terenem jakichkolwiek poszukiwań. Niestety, od zakończenia wojny teren b. niemieckiego obozu w Chełmnie nad Nerem grabiony był przez najgorszy rodzaj ludzkich hien, czego nie udało się wyplenić praktycznie do dzisiejszych czasów, choć zdecydowanie ograniczyć. Akta prezentowanej sprawy prowadzonej przez GKBZHwP opatrzone są tytułem: *„Poszukiwanie dowodów zbrodni i kosztowności kultury narodowej na terenie b. obozu w Chełmnie nad Nerem"*. Tak też należy ją traktować, choć w tym przypadku wydaje się, że Komisji zdecydowanie bardziej zależało na odnalezieniu dokumentacji dowodów zbrodni, zaś świadkom i wskazicielom na kosztownościach, ale o tym przekonajmy się już sami…

Tajemniczy list

Sprawa ma swój początek od pewnej korespondencji wysłanej na adres Ministerstwa Sprawiedliwości pod koniec lata 1964 roku. List napisany był odręcznie, w sposób sugerujący brak znajomości przez autora elementarnych zasad ortografii i gramatyki. Również język, w jakim go sformułowano, świadczył, że nadawcą był człowiek prosty, niewykształcony, który zakończył edukację na bardzo wczesnym etapie. Lecz sama treść, po jej „odszyfrowaniu", okazała się niezwykle intrygująca, tym bardziej, że nie był to anonim, jakich wiele wpływało w owym czasie na adres instytucji państwowych. Mieszkaniec warszawskiego Żoliborza, niejaki Ryszard Miszczak, zwrócił się do władz z taką oto propozycją (pisownia oryginalna):

„Dnia 19 VIII 1964 roku zgłosiłem władzą Ministerstwa Sprawiedliwości o sprawie z czasów okupacji hitlerowskiej o dużym majątku i dokumentacji która się znajduje w lesie nad Dąbię i Kołem miastem dokładne miejsce którą morze stwierdzić ja sam Kwiatkowski Antoni i Kiędzierski Jan zamieszkani na miejscu tego obozu".

Wiążąc już w tym momencie przedstawione dość chaotycznie informacje, można się domyślić, że w pobliżu podanych miejscowości jedynym obozem mógł być okryty złą sławą Kulmhof nad Nerem, choć zapewne na tym etapie autor chciał uniknąć pełnej identyfikacji. Dalej w liście opisał zdarzenie, które zawiązuje przyszłą akcję (pis. oryg.):

„Mianowicie w 1947 przyjechała niemka z Niemiec do tego lasu i napotkała leśniczego i mego szwagra i powiedziała panowie tu nie ma nikogo odkryjemy duży majątek i dokumentacje dostaniecie za to dużo pieniędzy. Oni się na to zgodzili tylko chcieli żeby ta niemka im pokazała szkic, ale tego listu i planu tego obozu nie chciała dać, oni siłą chcieli wziąść a niemka wyciągła broń na nich i wsiadła do taksówki i pojechała do głównej szosy i znikła. Ale wiemy dokładnie gdzie to jest, nigdy tak nie napisze jak mogę opowiedzieć i stwierdzić ze szwagrem i jego kolegom (…)".

Incydent w cieniu kolarskiego wyścigu

Ktoś w Ministerstwie Sprawiedliwości wykazał się nie lada talentem, aby odcyfrować treść i świadomie przekazać do GKBZHwP. Tam najwyraźniej uznano propozycję za interesującą, gdyż już po tygodniu podjęto decyzję, by zaprosić Ryszarda Miszczaka na rozmowę w celu weryfikacji jego zgłoszenia. Spotkanie, zapewne zgodnie z ostatnim zdaniem listu, okazało się bardziej owocne niż jego odczytanie. Na tyle, że już 10 X 1964 r. odbyła się pierwsza wizja lokalna w Chełmnie nad Nerem, gdzie przesłuchany został przez członka Komisji Jacka Wilczura wymieniony w liście szwagier nadawcy zgłoszenia – Antoni Kwiatkowski. Tym samym udało się pozyskać konieczne do dalszych działań doprecyzowanie wcześniej wzmiankowanej historii:

„Mąż przed śmiercią zdążył jej wysłać list z planem. Powiedziała nam: w lesie ukryto duży majątek. Jeżeli mi pomożecie odszukać go i wykopać, dostaniecie dużą forsę".

„Było to w czasie Wyścigu Pokoju – nie pamiętam roku – mógł to być pierwszy wyścig, a mógł być późniejszy. Znajdowałem się przy szosie w lesie rzuchowskim o 9 km od Dąbia. Razem ze mną był nieżyjący już dziś leśniczy Klonowski. Obok nas zatrzymała się taksówka (bądź wóz prywatny – dziś już nie pamiętam). Z lasu wyszła kobieta w średnim wieku, ubrana elegancko. Kobieta zwróciła się do nas w jęz. polskim i zapytała czy to jest ten obóz, w którym mordowano ludzi. Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi, kobieta zaproponowała nam żebyśmy z nią poszli na plac straceń, ponieważ jej mąż pracował w tym obozie. Kobieta nie wyjaśniła czym był jej mąż, więźniem czy członkiem załogi obozowej.

Polana w lesie rzuchowskim. Czy tu na początku 1965 r. odbywały się poszukiwania GKBZHwP?

Mąż napisał do niej w liście o tym, że na terenie obozu ukrył konwie 40 litrowej pojemności, a w konwi ukrył kosztowne przedmioty. Kobieta obiecała nam, że w zamian za pomoc wynagrodzi nas, nie mówiąc jednak czym zapłaci za naszą pomoc. Kobieta uprzedziła nas o tym, że na konwi położone są trzy miny. Wszystko to miało być ukryte w studni, na głębokości 4 metrów, przy czym studnia miała być wykonana z drzewa (okrąglaki).

Odmówiliśmy jej ponieważ baliśmy się min. Wyjaśniam dodatkowo, że kobieta miała plan owej studni. Chcieliśmy ten plan wziąć od niej, ale kobieta odmówiła, a poza tym wyjęła pistolet, wsiadła do taksówki i odjechała. W taksówce siedział jakiś mężczyzna.

Według tego o czym mówiła nieznana kobieta zorientowałem się, że owa studnia może się znajdować w pobliżu dawniej zainstalowanych pieców krematoryjnych na wielkiej polance w lesie rzuchowskim. Nigdy więcej nie zetknąłem się z kimkolwiek, kto poszukiwałby studni. W kilka lat później – dokładnie już nie pamiętam ile – przyjechali do samego Chełmna Żydzi z Łodzi i poszukiwali studni, w której miało coś być ukrytego. Żydzi wypompowywali wodę, ale czy znaleźli coś, tego nie wiem".

Poszukiwania

GKBZHwP potraktowała sprawę poważnie, doprecyzowane zeznanie bezpośredniego świadka nie budziło wątpliwości i pokrywało się zapewne z wizją lokalną, jaką przeprowadzono na miejscu. Wkrótce rozpoczęły się przygotowania do dalszego etapu działań. Dyrektor Komisji Janusz Gumkowski zwrócił się prośbą do Śląskiego Okręgu Wojskowego o pomoc w planowanej akcji i wydelegowanie 12 żołnierzy na jej potrzeby. Wydał również wszelkie pełnomocnictwa Jackowi Wilczurowi, by ten w czasie prowadzonego dochodzenia mógł liczyć na wsparcie lokalnych instytucji i urzędów. Zgodnie z obowiązującymi procedurami, o mających odbyć się poszukiwaniach, zawiadomiono Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kole, tamtejszą Komendę Powiatową MO oraz Komendę MO w Dąbiu nad Nerem.

7 I 1965 r. w lesie rzuchowskim nieopodal Chełmna nad Nerem rozpoczęła się przygotowywana od kilku tygodni akcja. Wojskowa ciężarówka zatrzymała się na ośnieżonym poboczu z lekkim uślizgiem kół. Z szoferki wysiadł kierowca i zastępca do spraw polityczno-wychowawczych kpt. Kazimierz Hodrowicz. Z tyłu, ubity śnieg zadudnił pod butami 10 zeskakujących z paki żołnierzy z jednostki nr 1551 w Sieradzu. Czekał na nich reprezentujący GKBZHwP Jacek Wilczur, który przyjechał z Ryszardem Dutkiewiczem – warszawskim fotoreporterem. Na miejscu byli również Ryszard Miszczak i jego szwagier oraz główny świadek – leśniczy Antoni Kwiatkowski. Nieco później do ekipy dołączył sam sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR z pobliskiego Koła, niejaki Szatkowski.

Wkrótce żołnierze przystąpili do pracy. We wskazanym przez Kwiatkowskiego miejscu zaczęli rozbijać zmarzniętą ziemię. Nie było to łatwe, od kilku dni mróz nie ustępował, a teren pokrywała gruba warstwa śniegu. W ciągu kilkunastu godzin udało im się wkopać na głębokość 3 metrów. Niestety, akcja zakończyła się niepowodzeniem. W wyniku prac nie natrafiono na ślady studzienki, ani tym bardziej jakiejkolwiek skrytki. Nastąpił impas.

Czyżby leśniczy, znający co najmniej od 15 lat podległy sobie teren, mógł się aż tak fatalnie pomylić? O ile brak skrytki można by ostatecznie przełknąć, o tyle nienatrafienie na jakiekolwiek ślady studzienki lub jej elementów wydawało się co najmniej podejrzane…

Chełmno nad Nerem. Pozostałości po wysadzonym krematorium.

W stronę kryminału…

Nie minął miesiąc od akcji poszukiwawczej, gdy sprawa nabrała nieco innego charakteru. W lutym 1965 r. do GKBZHwP ponownie zgłosił się Ryszard Miszczak z niepokojącymi wieściami. Okazało się, że jego szwagier, i jednocześnie główny świadek sprawy Antoni Kwiatkowski, z własnej inicjatywy odnalazł w Chełmnie nad Nerem człowieka, który podobno przed laty pozyskał z poszukiwanej studni dreny, i wiedział dokładnie, w którym miejscu na nie natrafił. Co gorsza, obaj dogadali się na tyle, że zamierzali we dwójkę wykopać skrytkę i podzielić się jej zawartością. Do spółki nie dopuścili zaś Miszczaka, ze względu na obawy, że o wszystkim ponownie poinformuje Komisję. Wkrótce jednak „szwagrowie" się dogadali i wspólnie, już we trójkę, przystąpili do odkopywania studni. Najwyraźniej w trakcie tych poszukiwań ponownie wystąpiła pomiędzy dżentelmenami poważna różnica zdań, w wyniku czego przerwali prace, rozchodząc się skłóceni. Konflikt ten miał jednak dużo dalej idące konsekwencje, niż mogłoby się wydawać. Gdy o szczegółach zaistniałej sytuacji poinformował GKBZHwP struchlały Ryszard Miszczak, wyszedł na jaw jeszcze jeden niepokojący fakt, który miał miejsce niedługo później. Tym bardziej zaskakujący, że bezpośrednio dotyczył przeprowadzonej w styczniu akcji poszukiwawczej. Ryszard Miszczak dostał bowiem od swego ojca, mieszkającego w Dąbiu nad Nerem, list z taką oto informacją (pis. oryg.):

„Kochany synu nie wiem co się stało? Dnia 24 II 1965 r. o godz 1 po poł. przyszło 4 osoby, 2 milicjantów i 2 cywili, 1 miejscowy milicjant i Bryl jako świadek rewizji. Milicja była kaliska przyjechali taksówką, przewrócili mi cały dom, taką ścisłą rewizję zrobili i nic nie znaleźli. Po rewizji wzięli mnie na posterunek i ja się pytałem w jakiej sprawie? W czasie rewizji mi nic nie mówili, na posterunku mnie legitymowali. Co pan wie w sprawie lasu rzuchowskiego co było wojsko i prokurator i ten drugi pan, a ja powiedziałem ja nic nie wiem. Przede mną się nie legitymowali i pytali mi się czy pan prokurator i ten drugi pan byli u mnie w domu na zeznaniu? Przy końcu powiedzieli, że prokurator wykopał pieniądze i tymi wykopanymi pieniędzmi nas wszystkich w domu podzielił i z tego powodu była u mnie rewizja szukali tych dolarów i biżuterii. Rysiek załatw sprawę z panem prokuratorem bo ja z matką już nie żyję co myśmy przeszli. Ja już mam 65 lat, matka też i nie znaliśmy rewizji, ani w więzieniu nie siedzieliśmy. Rysiek załatwiaj i nam odpisz".

Z okoliczności przedstawionych w liście wynika, że funkcjonariusze MO, a być może i Służby Bezpieczeństwa, zostali

wcześniej poinformowani przez kogoś „życzliwego" o popełnieniu przestępstwa podczas oficjalnych poszukiwań. Podkreślmy, prowadzonych przez instytucje państwowe – GKBZHwP, Wojsko Polskie, przy obecności członka Komitetu Powiatowego PZPR z Koła. Z obiegu dokumentów omawianej sprawy wynika również, że o akcji przed jej rozpoczęciem poinformowane były miejscowe władze i milicja. Zaiste interesująca i zarazem intrygująca sytuacja, z jaką jeszcze się nie zetknęliśmy przy tego typu historiach.

Opisywana sprawa toczyła się w cieniu procesów kilkunastu członków załogi obozu w Chełmnie nad Nerem, jakie odbyły się w latach 1962-1965 w Bonn i Kolonii. Połowa z oskarżonych uniknęła kary, reszta otrzymała symboliczne wyroki w obliczu zbrodni, których dokonywali. Ostatnim skazanym za przestępstwa popełnione w obozie Kulmhof am Ner, był Henryk Mania. W 2001 roku wyrokiem sądu w Koninie został skazany na 8 lat więzienia…

Donos, który spowodował tak zdecydowaną reakcję służb mundurowych musiał mieć silne podstawy. Jednak, jak się zaraz okaże, nie na tyle, by mieć poważniejsze konsekwencje.

W marcu 1965 r. w powyższej sprawie skontaktował się z przedstawicielem Komisji płk Łamacz z Komendy Głównej MO, z prośbą o złożenie stosownych wyjaśnień. Niedługo później otrzymał szczegółowy raport z prowadzonego śledztwa, zaangażowanych w nie osób oraz poszukiwań, jakie odbyły się na początku roku. Najwyraźniej załatwiło to sprawę, gdyż w posiadanej dokumentacji brakuje dalszych odniesień do tego wątku.

Zaskakujące objawienie

Mimo perturbacji dochodzenie nie zostało wstrzymane. Według zaświadczeń wystawionych Ryszardowi Miszczakowi przez dyr. GKBZHwP Czesława Pilichowskiego, usprawiedliwiających jego nieobecności w pracy, Miszczak pojawił się ponownie w Komisji 8 VI 1965 r., zaś 12, 13 i 14 czerwca przebywał w terenie z jej przedstawicielem. Można przypuszczać, że w tych dniach prowadzone były w lesie rzuchowskim prace – niestety, nie opisane już w dokumentacji i tym samym bliżej nieokreślone. Nie wiemy więc, jaki był ich zakres, lecz kolejnych kilka miesięcy później nastąpił nieoczekiwany zwrot. Oto bowiem Ryszard Miszczak objawił się w zupełnie nowej roli…

Jak pamiętamy, w liście do Ministerstwa Sprawiedliwości z sierpnia 1964 r. napisał, że w lesie rzuchowskim z tajemniczą Niemką spotkał się jego szwagier Antoni Kwiatkowski, wraz z nieznanym z nazwiska leśniczym. Z kolei Kwiatkowski, przesłuchiwany w tej sprawie dwa miesiące później przez Jacka Wilczura, twierdził, że na miejscu zdarzenia był osobiście wraz z nieżyjącym już leśniczym o nazwisku Klonowski. Cóż, 20 X 1965 r., a więc nieco ponad rok od rozpoczęcia śledztwa, przeprowadzonych 10 miesięcy wcześniej poszukiwaniach i afery kryminalnej z nimi związanej, Miszczak objawił się nagle jako… bezpośredni, i co więcej, jedyny świadek interesujących Komisję zdarzeń. W protokole jego przesłuchania, które prowadził sędzia GKBZHwP Albin Śmieiński, czytamy kolejną wersję zdarzeń przecierając oczy ze zdumienia:

„W 1947 roku przystąpiłem do pracy jesienią w leśnictwie Koło w charakterze pomocnika leśniczego. Pracę tę przerwałem z chwilą powołania mnie do wojska w jesieni 1949 roku. W czasie pracy sprawowałem nadzór na terenie b. obozu w Chełmnie i miałem za zadanie nie dopuszczać do rozkopywania terenu obozowego, i o swoich spostrzeżeniach składać meldunki milicji. Pewnego dnia, a było to wiosną 1949 roku, wjechała na teren b. obozu w Chełmnie czarna limuzyna i zatrzymała się na drodze wiodącej od Koła, przy największej polanie, na której znajduje się cmentarzysko. Z limuzyny wyszła nieznana nam pani i pan prowadzący samochód. Pani ta zwróciła się do stojącego na drodze leśniczego Sikorskiego, zam. w leśniczówce Przybyłów, z zapytaniem, czy on sprawuje funkcję leśniczego. Leśniczy odpowiedział twierdząco. Następnie oświadczyła, że mąż jej pracował na terenie obozu, do domu nie powrócił, i już nie żyje. Dalej powiedziała, że mąż przysłał jej list z planem określającym, że tu w lesie ukryty jest duży majątek. Powiedziała: »jeżeli mi pomożecie odszukać i wykopać, to dostaniecie dużą forsę«. W tym momencie wyjęła list z planem i zapytała się, gdzie to może się znajdować, wręczając ten list leśniczemu dla zorientowania się. W czasie kiedy ten leśniczy oglądał ten szkic, stałem przy nim i także przyglądałem się.

Leśniczy ustalił, że wg szkicu stoimy na właściwym miejscu, przy polanie, gdzie ma się znajdować ów skarb. Na moją prośbę leśniczy dał mi ów szkic do ręki. Zauważyłem na nim napisy niemieckie. Ponadto zauważyłem, że miejsce zaznaczone na planie jest to studzienka, znajdująca się na polanie, przy której staliśmy (…)".

W dalszej części następują niezwykle precyzyjne informacje dotyczące wskazówek zawartych na tajemniczym planie oraz kulminacyjna scena, której przyjrzyjmy się raz jeszcze:

„Kiedy doszliśmy do studzienki, leśniczy trzymając plan w ręce oświadczył, że to jest to miejsce, o które chodzi. W tym momencie prosiłem leśniczego, aby mi dał do ręki ów plan, żebym sam się przekonał, czy jesteśmy na dobrym miejscu. Po otrzymaniu planu wraz z listem włożyłem go sobie do kieszeni marynarki. Obecna pani zażądała zwrotu tego listu z planem. W tym momencie cofnąłem się dwa kroki do tyłu. W tym momencie owa pani wyciągnęła z płaszcza pistolet i powiedziała do mnie »pan mi to odda«. Widząc to oddałem jej list z planem natychmiast. Wówczas kobieta ta zwróciła się w języku niemieckim do towarzyszącego jej mężczyzny, czego już nie zrozumiałem, wsiedli do wozu i pojechali w kierunku skąd przybyli, tzn. w kierunku Koła".

Opowieść zyskuje na barwności nie tylko wraz ze wzrostem „nagłej" poprawności językowej. Czy mimo klarowności tego przekazu Ryszard Miszczak nadal mógł być traktowany jako wiarygodny partner i świadek? Chyba po tym jak oceniał przyczyny niepowodzenia akcji ze stycznia 1965 roku, już nie:

„Dotychczasowe poszukiwania zakopanej studzienki przez pracownika Głównej Komisji ob. Wilczura nie dało wyniku ze względu na nieobecność człowieka, który studnię tę zakopywał. Nadmieniam, że człowiek ten ma wyjechać w listopadzie do Gdyni do pracy. Moim zdaniem obecnie byłby najlepszy czas do odkopywania owej studzienki". A więc kolejne nieuchwytne ogniwo w łańcuchu do końca niezrozumiałej intrygi nowo objawionego świadka…

Epilog

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że od początku Ryszard Miszczak wodził Główną Komisję za nos. Niezrozumiałe jest dlaczego do tego dopuszczono, zwłaszcza po jego ostat-

nim przesłuchaniu, gdy niespodziewanie przedstawił starannie podrasowaną wersję znanych już zdarzeń ze swoją osobą w roli głównej – jako bezpośredniego i jedynego świadka, o czym wcześniej nawet nie napomknął. W jednej z późniejszych analiz, Komisja uznała jego relację za nie wnoszącą do sprawy zbyt wiele i pogłębiającą jedynie już istniejące rozbieżności. Mimo tego i tak podane przez niego informacje zostały zweryfikowane w terenie. Jak się domyślamy, ponownie bez rezultatów. Mimo, że sprawę uznano za nieperspektywiczną już w 1966 roku, jej ostateczne zamknięcie i przekazanie akt do archiwum GKBZHwP nastąpiło dopiero 4 lata później. Co ciekawe, Ryszard Miszczak nie zważając na wcześniejsze kontakty z Komisją wysłał w 1967 r. do Ministerstwa Sprawiedliwości kolejne propozycje wskazania ukrytego depozytu. Pisane już poprawnym (zupełnie innym niż wcześniej) językiem, klarownie i finezyjnie formułując poszczególne zdania. List nadał z więzienia w Strzelcach Opolskich, gdzie wówczas przebywał...

ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI

Chełmno nad Nerem. Przybycie transportu z łódzkiego getta.

Kulmhof am Ner – niemiecki obóz śmierci zorganizowany na terenie Wielkopolski w Chełmnie nad Nerem w celu eksterminacji Żydów polskich, którzy znaleźli się na ziemiach wcielonych do „Kraju Warty", głównie z oddalonego o zaledwie 50 km getta w Łodzi. Funkcjonował od grudnia1941 do kwietnia 1943 roku, a następnie od czerwca 1944 do stycznia 1945 roku. Środkiem masowej zagłady na terenie obozu były prymitywne komory gazowe zainstalowane na podwoziach ciężarówek, do środka których wtłaczane były spaliny. Łączna liczba ofiar zamordowanych przez Niemców na terenie obozu określana jest obecnie na 160-200 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci w ciągu całego okresu funkcjonowania ośrodka masowej zagłady.

REKLAMA

Nowa książka Mariusza Borowiaka już w sprzedaży!

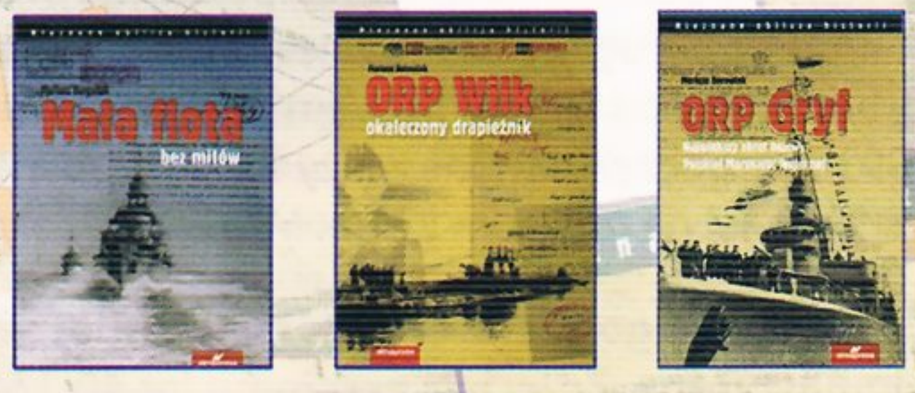

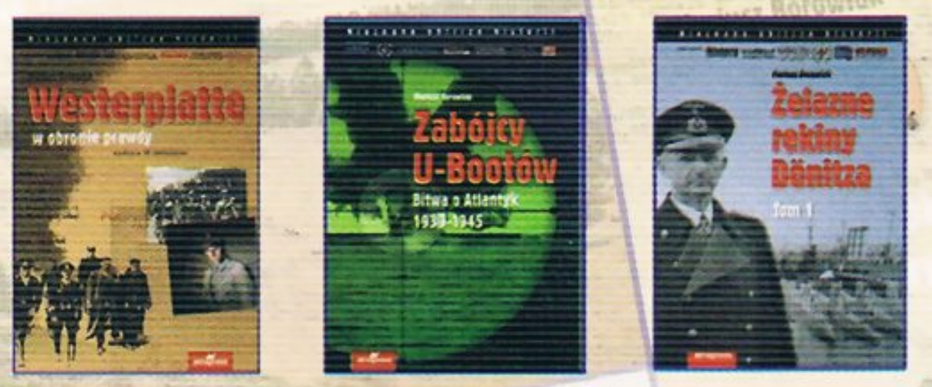

almapress

Alma-Press, ul. Lędzka 44a, 01-446 Warszawa,
tel./fax (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress.com.pl
www.almapress.com.pl

Artykuł, zredagowany na potrzeby miesięcznika „Odkrywca", jest fragmentem książki Szymona Wrzesińskiego pt. „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku", która ukaże się na rynku wydawniczym w listopadzie br., nakładem Agencji Wydawniczej CB Andrzej Zasieczny.

Likwidacja lwóweckich składnic muzealnych

SZYMON WRZESIŃSKI

W tym niewielkim mieście nad Bobrem pod koniec II wojny światowej najcenniejsze zbiory przetrzymywano w trzech miejscach: w Muzeum Powiatowym ulokowanym w dawnej świątyni franciszkanów, w Baszcie Lubańskiej oraz w kościele katolickim. Według powojennych publikacji największy udział w opróżnieniu tych miejsc z kolejnych eksponatów mieli żołnierze radzieccy... czy jednak naprawdę tak było?

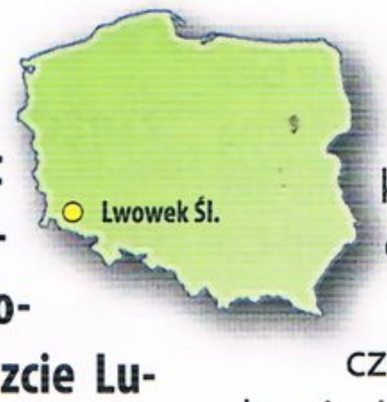

Baszta pod okiem harcerza

Drewnianą wieżę przy bramie wjazdowej do „Lwiego grodu" postawiono na przełomie XII i XIII wieku. Zapewne w formie murowanej powstała w kolejnym stuleciu. Nieremontowana przez wiele dekad gotycka baszta w 1616 r. uległa częściowemu zniszczeniu. Następnie przystąpiono do kilkuletnich prac remontowych, zakończonych połowicznie około 1620 r. (ich efektem są widoczne do dzisiaj renesansowe detale w obramieniach okiennych). Zamknięcie robót nastąpiło po zakończeniu wyczerpującej finansowo wojny 30-letniej. Stąd też dopiero w 1661 r. na szczycie wieży osadzono hełm, a w jej wnętrzach przygotowano pomieszczenia dla strażników oraz areszt. Do ponownego uszkodzenia budowli doszło podczas wielkiego pożaru miasta w 1752 roku. Po jej odbudowie, na potrzeby lwóweckiego garnizonu, od lat 50. do 90. XVIII wieku w Baszcie Lubańskiej składowano proch. W międzyczasie zakończono remont pomieszczeń na wyższych kondygnacjach (pamiątką po nim są okrągłe okna). W związku z tym 19 X 1784 r. zorganizowano uroczystość, podczas której na nowym dachu osadzono gałkę z umieszczonym w środku pismem pamiątkowym, zawierającym m.in. zarys historii wieży bramnej oraz opis miasta z ówczesnego roku, autorstwa miejskiego syndyka i sekretarza tutejszego Magistratu, niejakiego Surlanda.

W drugiej połowie XIX stulecia utworzono tutaj Historyczne Muzeum Powiatu Lwóweckiego: *„Na pierwszej kondygnacji wieży urządzono ekspozycję wyposażenia izby chłopskiej. Wyższe kondygnacje zajęły między innymi bogate zbiory broni, narzędzi, naczyń i archiwalne księgi* – twierdził przed laty Zygmunt Jędrasiak. *Ponieważ przybywało eksponatów, a wieża nie mogła ich pomieścić lub zmagazynować, przeto władze powiatu i miasta postanowiły w roku 1901 przenieść* [je do nowego] *muzeum do kościoła pofranciszkańskiego"* – dodaje miejscowy regionalista.

Przez kolejne lata Basztę Lubańską wykorzystywano głównie jako punkt widokowy. Nowa misja pojawiła się we wrześniu 1925 r., kiedy przeniesiono tutaj schronisko młodzieżowe. Dotąd znajdowało się ono w renesansowej kamienicy położonej w środkowej części rynku, a opiekę nad nim sprawowało lokalne „Towarzystwo Opieki nad Ojczyzną" (niem. Vereins Heimatschutz). Po przeniesieniu mebli do wieży, na parterze ulokowano kuchnię, natomiast na wyższych piętrach – pocze-

kalnię oraz noclegownię. Odtąd miejsce to zwano Jugendherberge.

Pomijając szczegóły kolejnego remontu pomieszczeń z lat 1934-1935, warto skupić się na końcowym okresie II wojny światowej. Zdaniem miejscowych regionalistów w Baszcie Lubańskiej zmagazynowano część wrocławskich księgozbiorów. Z kolei Mariusz Olczak z Archiwum Akt Nowych jest przekonany, że dopiero *„W 1946 roku w jej wnętrzu zebrano ukryte przez Niemców na terenie powiatu cenne zbiory, w tym między innymi książki z Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu"*. Słowa warszawskiego historyka potwierdza relacja uczestnika tych wydarzeń Adolfa Möllera, ostatniego niemieckiego burmistrza Lwówka Śl.: *„Bardzo interesującą, lecz niewygodną pracę otrzymał od rosyjskiego komendanta nauczyciel szkoły średniej Zajonz. Kontynuował ją potem za zezwoleniem* [polskiego] *starosty, który dostrzegł ważność tego zadania. Chodziło o gromadzenie i katalogowanie wartościowych książek, map oraz przedmiotów artystycznych, które znajdowały się na terenie powiatu lwóweckiego. Duży nacisk położono na zbiory wrocławskiej Biblioteki Uniwersyteckiej, które trzymano w Baszcie Lubańskiej oraz na dzieła w Bibliotece Zakładu* [Opiekuńczego] *w Płakowicach* [ob. w granicach miasta – przyp. Sz.W.]. *Pan Zajonz wraz ze współpracownikami zebrał około 60.000 książek. Niektóre ważne dzieła musiano wydobywać z gruzów. Pozycje z wrocławskiej Biblioteki Uniwersyteckiej zabrano ciężarówkami z powrotem do Wrocławia. Niektóre bardzo wartościowe książki zbutwiały w ruinach budynków"*. Nie wiadomo skąd wzięły się w wieży woluminy z Biblioteki Uniwersyteckiej. Wydaje się, iż zwieziono je tutaj dopiero po wojnie, choć nie można wykluczyć, że zostały tu ulokowane w 1944 roku. Po opróżnieniu Baszty Lubańskiej z wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, budowla została zamknięta na dwie dekady. To, co stało się później, budzi szereg pytań...

Zdaniem Eugeniusza Braniewskiego, 5 II 1967 r. lwóweccy harcerze, pod kierownictwem Wojciecha Juskowiaka (1906-1993), rozpoczęli remont wieży Baszty Lubańskiej z przeznaczeniem jej na muzeum i klub. Miał on się zakończyć 21 lipca

Część dawnego klasztoru, gdzie później ulokowano salę gimnastyczną. Zdjęcie z przełomu lat 40. i 50. XX wieku.

tego samego roku. Z kolei 1 IX 1969 r. w pomieszczeniach wieży 63. Drużyna ZHP otworzyła Izbę Pamiątek Regionalnych. Nieco inaczej przedstawia to miejscowy historyk, Maciej Szczerepa:

– Parę lat temu, przeglądając materiały zgromadzone w archiwum nieistniejącego już Nadbobrzańskiego Hufca ZHP w Lwówku Śląskim, znalazłem kilka fotografii wykonanych wewnątrz Baszty Lubańskiej, na których widoczne były zebrane w niej eksponaty. Odnalazłem też trochę pożółkłych dokumentów. Dotyczyły 63. Drużyny Harcerskiej, która w tejże baszcie miała swoją siedzibę. W 1966 roku drużyna podjęła się remontu podupadłej i zagruzowanej Baszty Lubańskiej. Dzięki ogromnej pracy harcerzy, którzy przepracowali ponad 20 tysięcy godzin, pomocy władz miasta i innych drużyn – cel swój osiągnęli. Uroczyste oddanie baszty do użytku nastąpiło 23 lipca 1967 roku. Akurat obchodzono 750. rocznicę nadania praw miejskich Lwówkowi Śląskiemu, więc władze miasta uznały działanie harcerzy jako czyn młodzieży dla jej uczczenia. Ich społeczna praca została dostrzeżona przez różne instytucje. I tak: Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodowej we Wrocławiu na wniosek Komendy Hufca nadał 63. Drużynie Harcerskiej im. gen. Karola Świerczewskiego srebrną odznakę „Za czyny społeczne", a na wniosek Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków drużyna otrzymała złotą odznakę „Opiekuna Zabytków". Drużyna była gospodarzem Baszty Lubańskiej. Urządziła w niej salę kominkową i harcówkę. Część pomieszczeń zaadaptowano na kawiarenkę oraz muzeum, które służyły całej społeczności. Bardzo szybko muzeum zapełniło się ciekawymi eksponatami. Obejrzeć można było starą broń, książki, dawne przedmioty codziennego użytku, znaleziska archeologiczne, zbiór monet. Niestety, mimo poszukiwań nie udało się odnaleźć dokładnego spisu zgromadzonych przedmiotów. Wiele z tych eksponatów (głównie z darowizn ludzi) pochodziło z Lwówka Śląskiego i okolic. Niestety, w latach 70. XX wieku skarby zgromadzone w Baszcie Lubańskiej uległy niekontrolowanemu rozproszeniu. Jak „wieść gminna niesie", wiele eksponatów trafiło do prywatnych kolekcji w kraju, część do zagranicznych kolekcjonerów.

STAROSTA POWIATOWY
LWOWECKI

Lwowek Slaski, dnia 22 sierpnia 1946 r.

Ref.: Karno-Administr.
Nr: K/7-122/46.

Warta - wystawienie przy magazynach byłego muzeum we Lwowku.

Do
Ob. Komendanta Powiatowego M.O.

w/m.

Polecam z dniem dzisiejszym wyznaczyc sluzbe wartownicza przy obiektach bylego muzeum we Lwowku Sl., w ktorych sa zlozone rzeczy (mienie poniemieckie) przekazane przez wojskowe wladze sowieckie. W zwiazku z tym nalezy wyznaczyc az do odwolania jednego milicjanta w dzien i dwoch na noc, przy czym zaznaczam, ze sluzba wartownicza jest odpowiedzialna za calosc zlozonego w magazynach mienia.-

Starosta
/-/Stefan Medrzycki.

Za zgodnosc z oryginalem

Lwowek Slaski, dnia 14.IX.1946 r.

Kierownik Referatu
Karno-Administ.

Dokument z 22 VIII 1946 r. dot. wystawienia wartownika przy byłym muzeum. Ze zb. AP we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze.

Dzisiaj nikt już nie pamięta, w jaki spobób i dlaczego doszło do „zagubienia" najcenniejszych eksponatów. W rozmowie z jednym z byłych członków ZHP dowiedziałem się, że w tym okresie otrzymał on pobór do wojska. Po powrocie do miasta, na początku lat 70. ubiegłego stulecia, zastał opustoszałe regały, brak niewielkiej armaty i szeregu innych przedmiotów. Co ciekawe, nikt z dawnych mieszkańców Lwówka Śl., pamiętających tę tajemniczą historię, nie przypomina sobie o włamaniu do Izby Pamięci.

Kościół – wrocławskie skarby

Ponad 100 m od Baszty Lubańskiej znajduje się duży kościół parafialny, którego fragmenty murów sięgają XIII stulecia. Wzniesiony przez zakon rycerski joannitów przez kilkaset lat przechodził rozmaite koleje losu. Podobnie jak wieża bramna, świątynia doznała największych strat latem 1752 r. podczas pożaru miasta. Spłonął wówczas dach, zaś 7 tygodni później runęły nadwyrężone sklepienia. Mimo restauracji zakończonej dwie dekady później, obecne wnętrze kościoła oraz spora część zewnętrznych detali pochodzi z okresu XIX-wiecznej przebudowy. Ponieważ w pierwszej połowie XX w. zdecydowaną większość mieszkańców Lwówka Śl. stanowili ewangelicy, a miasto z racji braku większych ośrodków przemysłowych uznano za mało istotny cel dla potencjalnych nalotów, pod koniec wojny podjęto decyzję o ulokowaniu w nim wielu skrzyń z cennym wyposażeniem. O ich zawartości wypowiedział się m.in. Józef Gębczak w swej publikacji poświęconej losom ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie II wojny światowej: *„Duża składnica w miejscowym kościele katolickim. Zawierała rzeźby i malarstwo z wielu gotyckich kościołów wrocławskich. Nie poniosła strat i spokojnie została rozładowana po wojnie".*

Nie wiadomo, czy w świątyni nie zgromadzono jeszcze innych eksponatów.

Podczas kwerendy w Archiwum Państwowym udało mi się odnaleźć nader interesujący dokument, wysłany 22 XI 1945 r. do Wydziału Kultury i Sztuki we Wrocławiu. Podpisujący go Pełnomocnik Rządu RP na Obwód 32 Dolnego Śląska Stanisław Piekarowicz, informował o zakończonej pomyślnie akcji: *„Niniejszym zawiadamiam, że zostały już przewiezione i zabezpieczone eksponaty Instytutu Antropologicznego, Etnologicznego i Geologicznego we Wrocławiu oraz przybory naukowe z Instytutu Rolnego, wywiezione przez Niemców do Lwówka".* Nie wia-

Dolny rynek w Lwówku Śl. w okresie II wojny światowej.

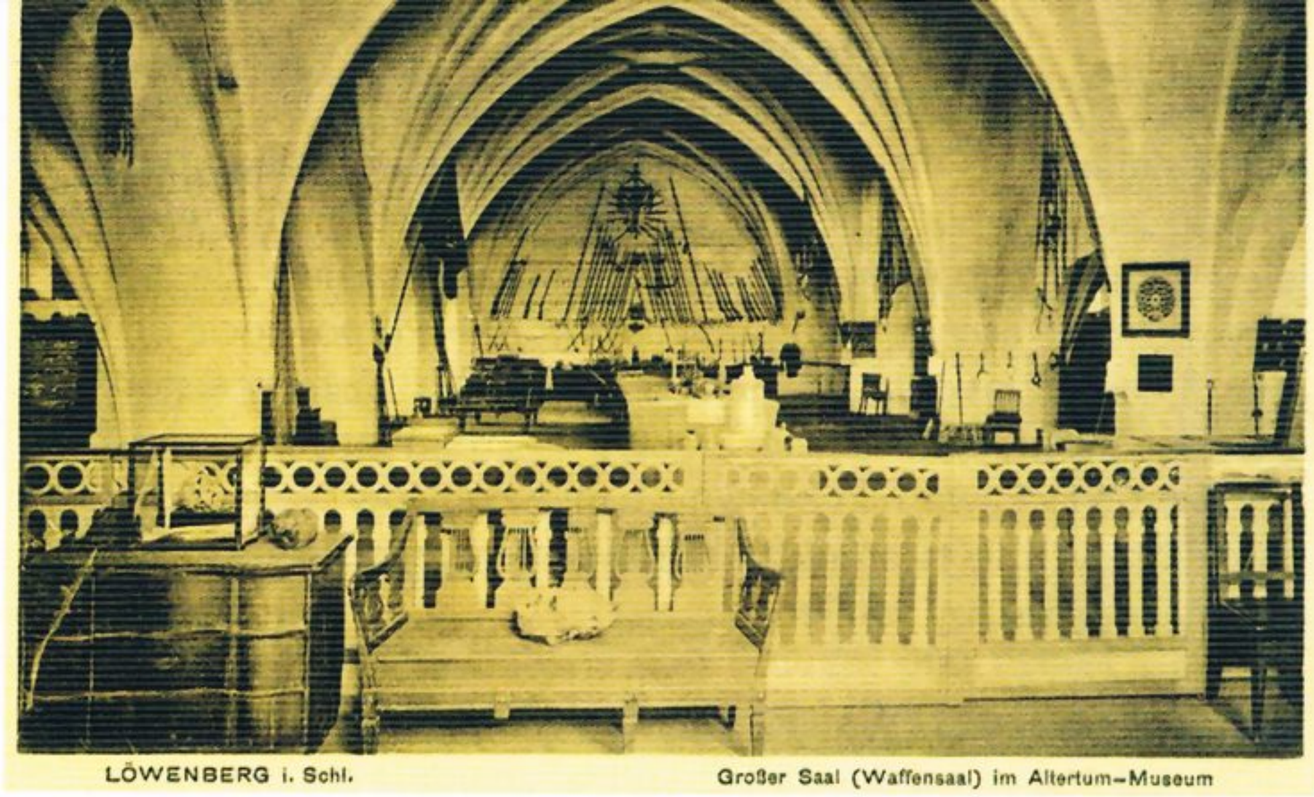

Górne pomieszczenie lwóweckiego Muzeum – około 1920 r.

domo, gdzie „przewieziono i zabezpieczono" owe eksponaty oraz kiedy dokładnie wróciły nad Odrę. Chyba nieprędko, skoro w „Wojewódzkim Biuletynie" za okres styczeń-marzec 1946 r. podano jedynie, że w tym czasie pieczę nad wspomnianymi zbiorami sprawował lwówecki referent z Urzędu Starostwa.

Józef Gębczak, polski historyk sztuki, który w czerwcu 1945 r. pod gruzami Urzędu Konserwatorskiego odnalazł i rozszyfrował „listę Grundmanna" – niemieckiego Konserwatora Zabytków Prowincji Dolnośląskiej – dodał w swym maszynopisie informację o obejrzeniu lwóweckiej składnicy przez Stefana Styczyńskiego jesienią 1946 roku. Wizytacja w kościele raczej nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, albowiem Gębczak nic więcej nie dodaje. Z całą pewnością skrzyń już nie było od wielu miesięcy. Po wojnie została zabrana stąd także spora część oryginalnego wyposażenia świątyni, czego pośrednio dowodzi skromny zapis poświęcony temu miejscu w „Przewodniku turystyczno-uzdrowiskowym po Dolnym Śląsku", autorstwa Józefa Sykulskiego.

Muzeum – wielki szaber

W XIII stuleciu w Lwówku wzniesiony został jeszcze jeden kościół. Opiekę nad nim sprawowali bracia z zakonu franciszkanów. W ich też rękach, choć z pewnymi przerwami, pozostał do obecnych czasów. Obok świątyni ok. 1285 r. wybudowano budynek klasztorny, który został rozbudowany w XV wieku. Po sekularyzacji dóbr zakonu w 1810 r. kompleks franciszkański stał się własnością państwa pruskiego. W części pomieszczeń dawnego klasztoru urządzono szkołę, natomiast kościół przeznaczono na… arsenał miejscowego garnizonu. Po jego likwidacji w 1888 r., świątynię postanowiono wykorzystać jako spichlerz i magazyn.

Impulsem do utworzenia w dawnej świątyni muzeum, były zarówno niewystarczająca kubatura Baszty Lubańskiej, jak i dokonane odkrycia. W 1885 r. nieopodal zabudowań południowej części wsi Niwnice, zwanej wówczas Cunzendorf unterm Walde, odnaleziono 7 siekierek z epoki brązu (do dziś przetrwała tylko jedna – w zb. Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu). Z kolei w lipcu 1899 r. na polach właściciela ziemskiego Bottge w Rakowicach Wielkich natrafiono na pierścienie i bransolety z brązu, stanowiące pamiątkę po tzw. kulturze łużyckiej. Postanowiono zatem natychmiast ruszyć do pracy, i w przeciągu kilku tygodni nawę główną oraz boczną przedzielono poziomo drewnianym stropem, tworząc tym samym dwie kondygnacje. 24 sierpnia o godzinie 11:00 dokonano uroczystego otwarcia Heimatmuseum. Jedną z ważniejszych

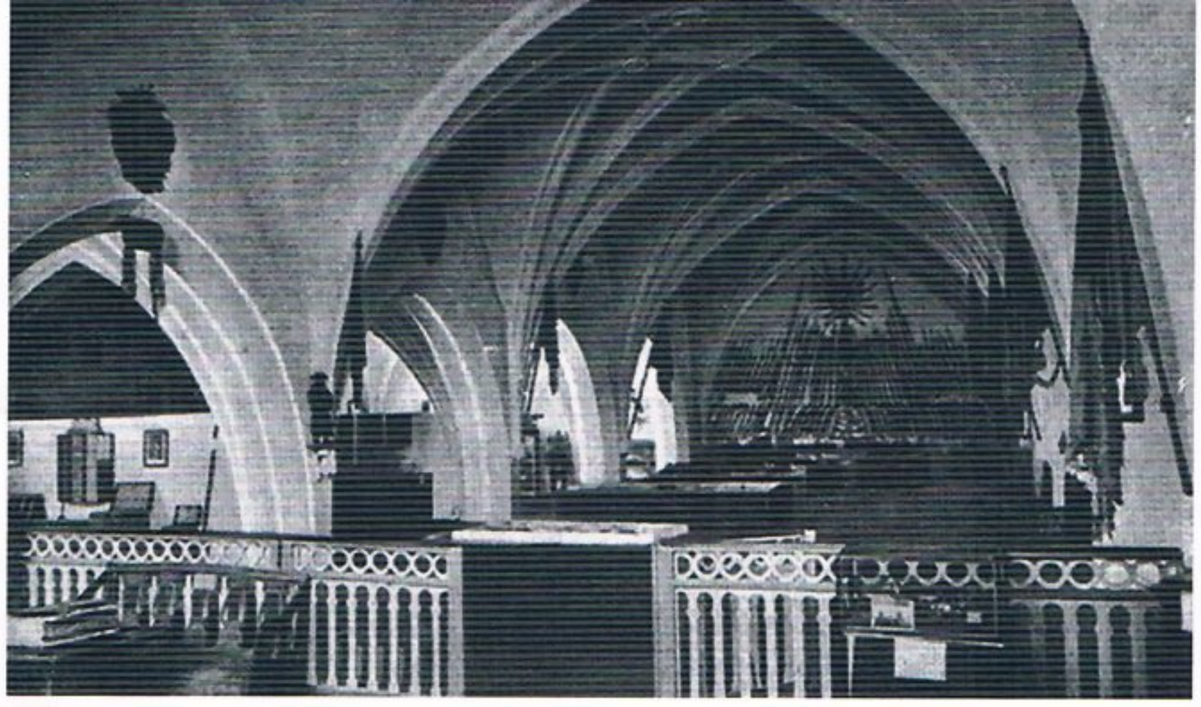

To samo pomieszczenie 20 lat później – ok. 1940 rok.

Izba Chłopska w lwóweckim Muzeum Powiatowym na przełomie lat 30. i 40. XX wieku.

postaci tego dnia był inicjator jego powstania, lwówecki aptekarz Zwirner.

W 1906 r. Muzeum uzupełniły kolejne eksponaty, wykopane na polach, 400 m od drugiego folwarku w Rakowicach Wielkich położonego od strony Lwówka Śl. Również tam znaleziono pięknie i bogato dekorowane bransolety oraz pierścienie, a ponadto dwie klamry (sprzączki): *„Podczas dalszych poszukiwań światło dzienne ujrzały dwa kolejne fragmenty owych klamer, jak i sporo płaskich urn, które się tam znajdowały, ponadto* [znaleziono] *liczne groby. Skarby te znajdowały się na dość sporej głębokości, choć już przy wielu okazjach były odkopywane i poprzez to zostały nieznacznie uszkodzone. Jak się później okazało, było to miejsce pochówku, które na szczęście położone było 40 metrów nad poziomem rzeki Bóbr. (…) Prawdopodobnie pochodzą one ze starej osady, która wznosiła się na owej wysokości"* – czytamy w przedwojennym artykule. W Rakowicach jeszcze wielokrotnie natrafiano na groby popielnicowe i bardzo stare naczynia, siekierki i ozdoby z brązu (np. w 1941 r.).

Starożytności zajmowały jedynie skromny fragment bogatych zbiorów: *„Pomieszczenia parteru zajęły eksponaty ciężkie* – twierdził Zygmunt Jędrasiak. *Stały tu między innymi: kareta Napoleona, którą przyjechał do Lwówka w sierpniu 1813 roku, i tu ją pozostawił odjeżdżając konno do Drezna. Stał także »pocztylion« poczty konnej, powozy, wóz strażacki oraz armaty pruskie i napoleońskie. Na pierwszym piętrze, w nawie głównej, urządzono bardzo bogatą ekspozycję broni białej i palnej oraz narzędzi tortur i mebli. W nawach bocznych eksponowano między innymi: ceramikę, motyle, pająki, ptaki, małe rokokowe organy i inne instrumenty, oraz stroje chłopskie i mieszczańskie. Odtworzono także izbę chłopską, przeniesioną z Wieży Lubańskiej, w której eksponowano piękną, ręcznie malowaną szafę sudecką, stół, krzesła, kredens i inne elementy wyposażenia izby. Z roku na rok przybywało eksponatów, które świad-*

czyły o bogatej historii regionu". Nad poprawnym funkcjonowaniem Muzeum czuwał w drugiej połowie lat 30. kustosz Josef Ennen, będący jednocześnie wykładowcą w miejscowej szkole.

Do dzisiaj najwięcej kontrowersji wzbudza „kareta Napoleona", która nie została ujęta w żadnym z zachowanych katalogów, ani też uwieczniona na zdjęciu. Wyjaśnienie owej zagadki może być zupełnie proste. Cesarz przybył do Lwówka Śl. 21 VIII 1813 r., nie w ozdobnej i złoconej karocy, lecz w skromnym dyliżansie pruskiej poczty zaprzężonej w sześć koni. Po wygraniu bitwy nad Bobrem, 23 sierpnia Bonaparte udał się w drogę powrotną „wierzchem", zabierając ze sobą gwardię przyboczną. Jest zatem zupełnie możliwe, że przez kilka dekad w jednym z miejskich magazynów trzymano dyliżans pocztowy, który później wstawiono do Muzeum. Zwłaszcza że źródła potwierdzają istnienie takiego rodzaju pojazdu konnego w zbiorach lwóweckiej placówki.

Sytuację zmieniło wkroczenie do miasta w połowie lutego 1945 r. oddziałów Armii Czerwonej: *„To był początek końca Muzeum. W pomieszczeniach przyległej szkoły rolniczej* [czytaj: dawnego klasztoru] *urządzili małe koszary, a Muzeum »pilnowało« dwóch krasnoarmiejców. Od nich to przyjeżdżający z centralnej Polski do Lwówka »szabrownicy« wyłudzali za wódkę i bimber, cymelia i eksponaty muzealne. Wieczorami żołnierze palili ogniska, urządzając pijackie hulanki. Na drewno poszły porąbane barbarzyńsko meble, powozy oraz kareta Napoleona i »pocztylion«. Do rozpalania ognisk służyły historyczne dokumenty i archiwalne księgi. Na koniec porąbali drewniany strop pierwszego piętra Muzeum. Jakby tego było mało, w Muzeum zebrali setki radioodbiorników, które na rozkaz radzieckiego komendanta miasta zarekwirowano niemieckim mieszkańcom, a później każdy* [Polak] *mógł za »ćwiartkę« dostać sprawny radioodbiornik, co na owe czasy było rarytasem. Kiedy wiosną 1946 roku Rosjanie opuścili obiekt, pozostały jedynie śmieci i popioły. Muzeum przestało istnieć"* – wspomina Zygmunt Jędrasiak, który przyjechał do Lwówka Śl. w 1945 roku.

Miejscowy regionalista opisał te wydarzenia kilka dekad po tragicznych wydarzeniach, dlatego jego opis siłą rzeczy, nie do końca jest zgodny z faktami. W rzeczywistości bowiem wiele eksponatów z dawnego Muzeum, które nie wzbudziły specjalnego zainteresowania Rosjan, przetrwało do 1947 roku. Widział je m.in. Józef Sykulski. W swym przewodniku po Dolnym Śląsku pisał, że *„w kościele tym znajduje się Muzeum Starożytności"*. Zapewne miał na myśli przedmioty z okresu „kultury łużyckiej" znalezione na polach w okolicach Lwówka w latach 1885-1941. Na pewno były i inne ciekawe eksponaty, czego dowodzi notatka Józefa Gębczaka: *„W Lwówku w innym*

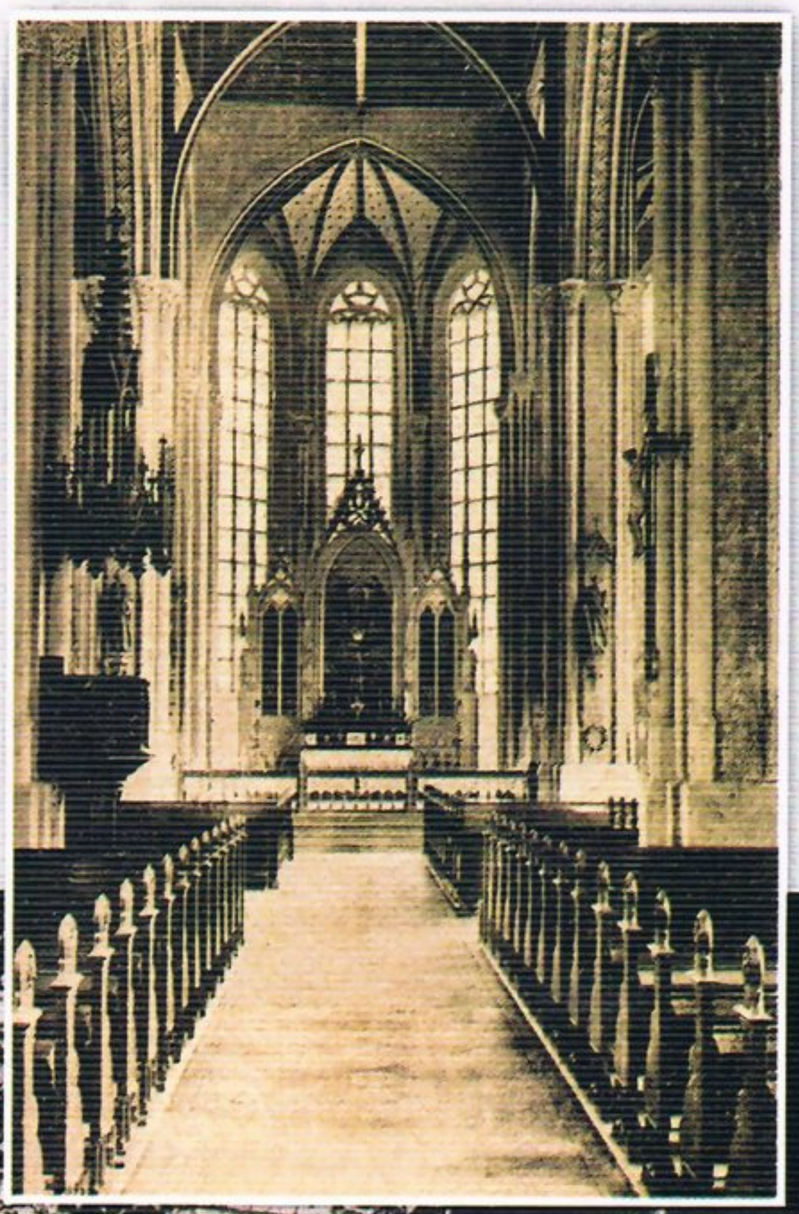

Przedwojenne wnętrze kościoła katolickiego w Lwówku Śl., gdzie pod koniec wojny mieściła się składnica dzieł z Wrocławia.

Lwówek Śl. latem 1944 r., z lewej Baszta Lubańska, w centralnej części kościół katolicki, z prawej świątynia ewangelicka.

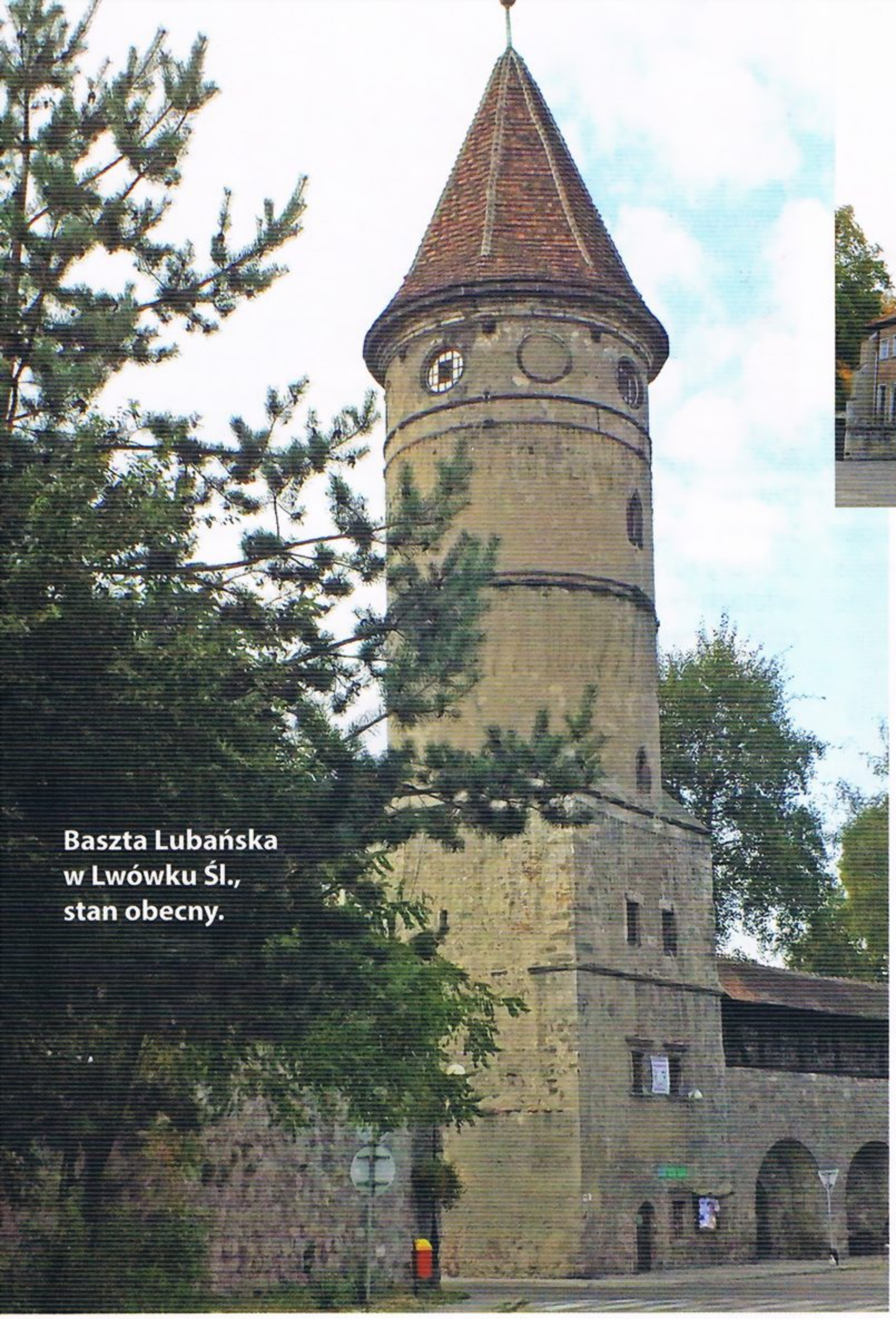

Baszta Lubańska w Lwówku Śl., stan obecny.

Klasztor i kościół należący do franciszkanów, tu przechowywano poniemieckie mienie po II wojnie.

kościele było urządzone muzeum regionalne, w którego zbiorach przeważały eksponaty należące do sztuki ludowej. Styczyński wizytował obydwa kościoły jesienią 1946 roku. Wobec zagrożenia zbiorów muzeum (w tym samym kościele był magazyn wojsk radzieckich), zdecydował się w styczniu 1947 roku na przewiezienie zbiorów do [jeleniogórskiej] *składnicy Paulinum".*

Kres funkcjonowania lwóweckiego Muzeum wynikał nie tylko z polsko-radzieckiego szabru w latach 1945-1946 oraz wywózki pozostałych eksponatów do składnicy rewindykacyjnej, gdzie słuch po nich zaginął. Dodatkowymi przyczynami były również: pogarszający się stan budynku oraz plan wykorzystania go, jako magazynu powojennych „skarbów". Latem 1949 r. pewien architekt zatrudniony w lwóweckim Starostwie Powiatowym odnalazł w Referacie Ogólno-Organizacyjnym odpis dokumentu z dnia 12 V 1946 r., w którym przeczytał wymowne zdanie: *„Muzeum wymaga zabezpieczenia w szczególności dachu, jak również całość przedstawia się w stanie bardzo krytycznym"*. Było to niezmiernie ważne, bowiem w budynku znajdowały się cenne ówcześnie przedmioty stanowiące niegdyś wyposażenie domów okolicznych mieszkańców. Stąd też 22 sierpnia starosta Stefan Mędrzycki przygotował pismo do Komendanta Powiatowego Milicji Obywatelskiej w Lwówku Śl.: *„Polecam z dniem dzisiejszym wyznaczyć służbę wartowniczą przy obiektach byłego muzeum we Lwówku Śl., w których są złożone rzeczy (mienie poniemieckie), przekazane przez wojskowe władze sowieckie. W związku z tym należy wyznaczyć aż do odwołania jednego milicjanta w dzień i dwóch na noc, przy czym zaznaczam, że służba wartownicza jest odpowiedzialna za całość złożonego w magazynach mienia"*. Polecenie wykonano, lecz wysłany milicjant – jak się wkrótce okazało – dość często przymykał oczy, zarówno w przenośni jak i dosłownie.

Po kilku dniach na inspekcję do poniemieckiego muzeum udała się czteroosobowa komisja w składzie: Adam Kopeć, Franciszek Kożuchowski, Piotr Woźniak i Jan Furman. To, co zobaczyli, postanowili uwiecznić w protokole: *„Komisja przybywszy na miejsce stwierdziła, że: wartownik – milicjant – siedział wewnątrz budynku, prawdopodobnie spał, gdyż wpuścił ją* [tj. komisję] *dopiero po chwili, mając zaspane oczy. Narzekał on, że jest zmęczony służbą, którą pełni bez przerwy po kilkanaście godzin. Na wprost drzwi głównych budynku Muzeum, obok żelaznego parkanu, leżał rozbity wieszak, a po przeciwnej stronie parkanu, już po stronie zewnętrznej, leżało rozbite w drobne kawałki lustro. Brakuje samochodu, przy czym bramy prowadzące do ogrodu, gdzie on stał, były odbite i pootwierane. Brakuje* [też] *silnika, który został wymontowany z drugiego wraku samochodu.* [Ponadto] *brakuje kilku maszyn do szycia (…)* [oraz] *plomby przy zewnętrznych drzwiach, prowadzących do sali gimnastycznej. W korytarzu budynku znaleziono fotele, koła rowerowe i inne rzeczy, najprawdopodobniej przygotowane do wyniesienia, których Komisja w tym miejscu nie zostawiła. Na parterze zastano stół postawiony pod drzwiami, z którego dokonano włamania przez górną część drzwi do wnętrza sali. Zauważono porozrzucane po korytarzu ramy motocyklowe, które Komisja zostawiła uporządkowane. Na piętrze brakuje chodników długości około 10 m. (…) Zastano* [tam] *stojącą obok drzwi drabinę, przy pomocy której dokonano włamania do wnętrza sali; w sali tej stwierdzono brak dużej lornetki. Zauważono, że haczyki, przy pomocy których były zaplombowane drzwi, były wyciągane i powtórnie wbijane (…)".*

Zdenerwowany taką sytuacją lwówecki starosta 30 sierpnia nakazał swym podwładnym wysłać pismo do Prokuratury Sądu Okręgowego w Jeleniej Górze, dodając w załączniku sprawozdanie komisji. Tłumacząc się z zastanej sytuacji, winą obarczył Komendanta MO. Tego samego dnia podobne do-

kumenty dostarczono do Kierownika Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lwówku Śl. Nie chcąc odpowiadać za przyszłe kradzieże, 4 września Stefan Mędrzycki postanowił pozbyć się balastu. Plan zakładał opróżnienie całego „magazynu", z jednoczesnym zatrzymaniem części przedmiotów dla swych pracowników w Starostwie. Na przeszkodzie stanął mu jednak naczelnik pewnego miejscowego urzędu, choć otrzymał jasną sugestię, co ma uczynić…

„Proszę o wyznaczenie upoważnionego przedstawiciela Obwodowego Urzędu Likwidacyjnego do komisyjnego przejęcia mienia poniemieckiego w byłym muzeum we Lwówku Śląskim. Zbiórka członków komisji w Starostwie Powiatowym dnia 5 września 1946 r., godzina 9-ta".

Plan jednak nie wypalił. Ponieważ na spotkaniu nie stawił się nikt ze wspomnianego urzędu. 5 września starosta szczegółowo wyjaśnił naczelnikowi, dlaczego powinien wziąć pod swoją opiekę zbiory przechowywane w dawnym muzeum: *„Mienie, które zostało przyjęte komisyjnie wobec przedstawiciela Obwodowego Urzędu Likwidacyjnego od wojskowych władz sowieckich, zostało prawnie przekazane Starostwu Powiatowemu na podstawie pisemnego zlecenia wyższych władz wojskowych sowieckich (…). Zaznaczam, że w tymże byłym muzeum znajdują się księgi i specjalne przyrządy po byłym niemieckim urzędzie katastralnym, które należy niezwłocznie przekazać Starostwu Powiatowemu (…). Ponadto są tam inne sprzęty, które są prawną własnością tutejszego Zarządu Miejskiego i innych instytucji państwowych"*. Na koniec starosta dodał, że z powodu „bezprawnego usuwania mienia" powiadomił Prokuraturę. Zagroził również, iż w przypadku braku natychmiastowego oddania mienia byłego Muzeum, o sprawie poinformuje Wojewodę.

Naczelnik Urzędu Likwidacyjnego M. Rucka postanowił „odbić piłkę" i przedstawił własną wizję, wg której to Stefan Mędrzycki bezprawnie domagał się przejęcia części poniemieckiego majątku ruchomego. Mało tego, winą za kradzież zbiorów obarczył właśnie Urząd Starostwa: *„Mienie to pozostaje* [przecież] *w zabezpieczeniu Starostwa już od kilkunastu dni i jak słuchy dochodzą, dziś już mocno uszczuplone sposobem szabru"*. Ponadto wyjaśnił, dlaczego nie może przeprowadzić oficjalnego usunięcia poniemieckich dóbr – ponieważ nie posiada *„tak dużego i bezpiecznego pomieszczenia"*.

Brak pełnej dokumentacji nie pozwala prześledzić szczegółowo dalszych losów zbiorów byłego Muzeum. Wiadomo jedynie, że kilka tygodni później zabrano stąd do Jeleniej Góry zachowane eksponaty muzealne.

Co stało się z mieniem poniemieckim dawnych mieszkańców?

Do czasu odnalezienia kolejnych dokumentów możemy jedynie spekulować. Zapewne pod koniec lat 40. budynek stał pusty, bowiem do opuszczonego i zdewastowanego kościoła wprowadziła się… Powiatowa Komenda Straży Pożarnej. Następnie funkcjonował tutaj magazyn materiałów budowlanych, a jeszcze później składnica maszyn rolniczych! W końcu średniowieczny zabytek zabito deskami. Dopiero w połowie lat 90. ubiegłego stulecia, po przejęciu obiektu przez franciszkanów ruszyły prace budowlane, które zakończyły się w 1998 roku. Od tego czasu klasztor i świątynia służą swym pierwotnym celom.

Na marginesie. Obecnie tradycję lwóweckiego muzealnictwa próbują podtrzymywać dwie placówki. Pierwsza z nich funkcjonuje od listopada 1994 r. na piętrze ratusza. Na zwiedzających czekają stałe ekspozycje związane z okresem napoleońskim, wykopaliskami prowadzonymi w mieście w ostatnich dekadach, ponadto szereg drobnych pamiątek odwołujących się do historii miasta. Istnieje również możliwość zwiedzenia Sali Ławy, Izby Tortur, Lochu Głodowego, czy Sali Ślubów. Drugie „muzeum" utworzono latem 2010 r. w piwnicach lwóweckiego browaru. Poza wielką kolekcją butelek z wielu dolnośląskich zakładów, można tu obejrzeć rozmaite urządzenia do wytwarzania i przechowywania piwa. Ponadto zwiedzający mają możliwość zapoznania się z procesem produkcyjnym, a także zwiedzić nieużytkowane już pomieszczenia produkcyjne i zakupić złocisty trunek.

Autor wyraża swą wdzięczność: p. Maciejowi Szczerepie, p. Tomaszowi Szocie, p. Eugeniuszowi Braniewskiemu oraz p. Irminie Wojnickiej, którzy pomogli w pozyskaniu szeregu cennych informacji.

ZDJĘCIA: ZB. SZYMONA WRZESIŃSKIEGO.

Literatura i źródła:
1. M. Olczak, „Lwówek Śląski i okolice. Przewodnik historyczny", Warszawa 2000
2. Z. Jędrasiak, R. Primke, „Kościół franciszkanów we Lwówku Śląskim", Lwówek Śl. Top-Biuro 1999
3. J. Gębczak, „Losy ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie drugiej wojny światowej", Muzeum Narodowe, Wrocław 2000
4. Wykorzystane cytaty z lat powojennych pochodzą z dokumentów przechowywanych w Archiwum Państwowym we Wrocławiu, Oddział w Jeleniej Górze (sygnatury w zb. Autora).

Szymon Wrzesiński
Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Hitlerjugend na Śląsku"; „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy"; „Napoleon nad Bobrem i Kwisą. Szlakiem bitew, skarbów i zabytków wojny 1813 roku"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku".

REKLAMA

Klęska odkrywców hiszpańskiej fregaty

MARCIN SZYMANIAK

Amerykanie, którzy odnaleźli gigantyczny skarb we wraku okrętu „Mercedes", ponoszą z tego powodu jedynie straty. Nie dość, że musieli zwrócić Hiszpanii całą zdobycz, to jeszcze zapłacą rządowi w Madrycie odszkodowanie.

Pod koniec września br. Sąd Federalny w USA nakazał firmie Odyssey Marine Exploration (OMEX) wypłacić Hiszpanii ponad milion dolarów z tytułu kosztów sądowych poniesionych w sporze o skarb z „Mercedes". To już kolejny cios dla odkrywców z Florydy, którzy przed czterema laty przegrali batalię o własność znaleziska.

Odyssey Marine Exploration jest jedną z czołowych na świecie firm prowadzących poszukiwania oceaniczne na dużych głębokościach. Odkrycie wraku „Mercedes" – fregaty zatopionej w 1804 r. podczas bitwy u Przylądka Świętej Marii – miało być najbardziej dochodowym przedsięwzięciem w jej historii. W 2007 r. Odyssey zorganizowała niezwykle kosztowną wyprawę w rejon, gdzie spodziewano się odnaleźć wrak, około 185 km od Cieśniny Gibraltarskiej. Nikt z Amerykanów nie przypuszczał, że łup będzie aż tak sowity. Nikt również – nawet w najczarniejszych snach – nie spodziewał się, że cały ich trud pójdzie na marne…

Zasadzka na konwój

Zatopienie „Nuestra Señora de las Mercedes" było efektem skomplikowanej gry polityczno-militarnej, jaką prowadziły na przełomie wieków XVIII i XIX państwa europejskie. Hiszpania była wówczas sojusznikiem napoleońskiej Francji. W tajnym traktacie z Paryżem Madryt zobowiązał się, że wkrótce przystąpi do wojny z zaprzysięgłym wrogiem Napoleona – Wielką Brytanią. Wywiad brytyjski dowiedział się jednak o tym układzie i Londyn postanowił zadać wyprzedzający cios. Wybrano czuły cel – konwój morski, którym zwożono do Hiszpanii bogactwa z jej kolonii w Ameryce Południowej. Brytyjczycy wiedzieli, że srebrem, które przypłynie do Europy w kolejnym konwoju, Madryt zamierza sfinansować działania wojenne przeciw Londynowi.

Agenci Jego Królewskiej Mości przekazali flocie informację, że hiszpański konwój wyruszy z Montevideo i skieruje się do Kadyksu. Tak też się stało.

9 sierpnia 1804 r. brygadier Don José de Bustamante y Guerra kazał podnieść kotwicę i cztery obładowane srebrem, złotem i innymi towarami fregaty wypłynęły na ocean. Bustamante y Guerra niczego się nie obawiał, gdyż Hiszpania nie prowadziła wojny. Ku Kadyksowi ruszyły jednak również silnie uzbrojone żaglowce brytyjskie – „Infatigable", „Lively", „Medusa" i „Amphion". Na ich czele stał admirał Graham Moore.

Rankiem 5 października hiszpańscy marynarze dostrzegli wybrzeże Portugalii i zaczęli już myśleć o portowych tawernach, słodkich kobietach i miękkiej pościeli. O 7:00 rano rozległy się jednak dźwięki dzwonków alarmowych. Dostrzeżono okręty brytyjskie, które najwyraźniej nie miały dobrych zamiarów. Bustamante y Guerra kazał ustawić swoją flotyllę w szyku bojowym – to samo natychmiast zrobił Graham Moore. Obydwie flotylle miały po około 150 armat, brytyjski sprzęt był jednak nowocześniejszy, a artylerzyści znacznie lepiej wyszkoleni.

Moore wysłał jednego ze swych oficerów, by nakłonić Hiszpanów do poddania się. Oficer podpłynął w łodzi do „Medei", flagowego okrętu Hiszpanów, i przekazał propozycję swego dowódcy. Bustamante odmówił kapitulacji.

Moore rozkazał więc oddać ostrzegawczą salwę ponad masztami „Medei". Huknęły działa i kule przeleciały ze świstem nad głowami Hiszpanów. Ci natychmiast odpowiedzieli ogniem, celując już w okręty przeciwnika. Zaczęła się mordercza wymiana salw, obie flotylle zniknęły w kłębach dymu. Słychać było jedynie huk wystrzałów, okrzyki rozkazów i jęki rannych.

Nagle powietrzem wstrząsnął potężny grzmot, zagłuszający wszystkie odgłosy bitwy. Jedna z brytyjskich kul trafiła w magazyn amunicji „Mercedes". Wywołała eksplozję, która rozerwała okręt na strzępy. Oniemiali ze zgrozy hiszpańscy marynarze,

Ostatnia bitwa „Mercedes" na obrazie Francisa Sartoriusa, XIX w.

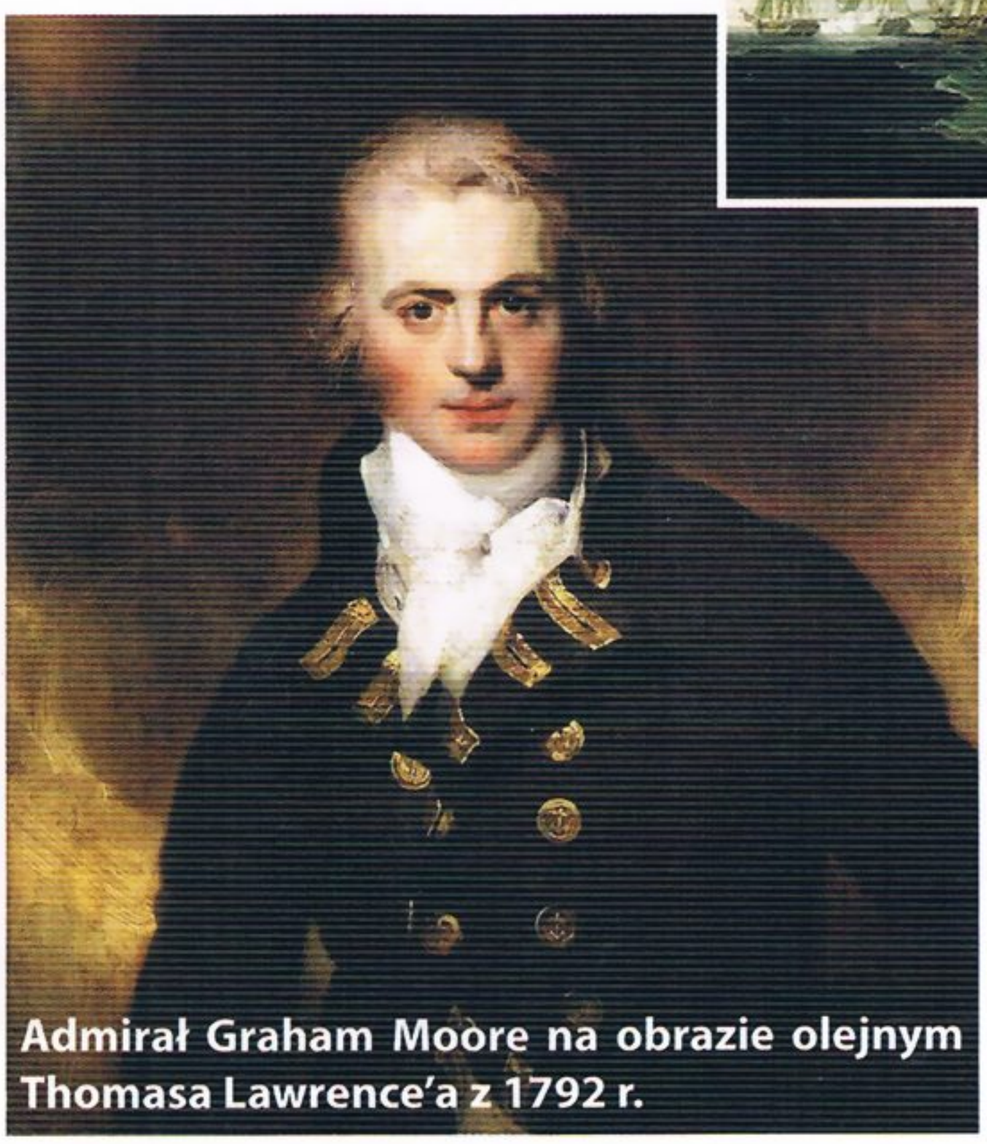

Admirał Graham Moore na obrazie olejnym Thomasa Lawrence'a z 1792 r.

Don José de Bustamante y Guerra, głównodowodzący floty hiszpańskiej. Wizerunek z epoki.

z trzech pozostałych fregat, bezradnie patrzyli na płonące szczątki okrętu i unoszące się na wodzie zwłoki ich towarzyszy.

Tragedia „Mercedes" miała dla hiszpańskich załóg druzgocący efekt psychologiczny. Po kilkunastominutowej wymianie ognia i nieudanej próbie ucieczki, „Santa Clara" i „Medea" poddały się. „Famie" udało się wymknąć, ale Moore wysłał za nią w pościg szybką „Lively", i po kilku godzinach również i ten żaglowiec wpadł w ręce napastników.

Bitwa zakończyła się pełnym sukcesem brytyjskiej floty. Zdobyte jednostki odprowadzono najpierw do Gibraltaru, a następnie do angielskiego Gosport. Zwycięzcy rozładowali je i przemianowali. Odtąd służyły jako fregaty Jego Królewskiej Mości. W ręce brytyjskiego rządu wpadł też ogromny łup z ładowni trzech okrętów. Kilkadziesiąt ton złota i srebra, które Madryt przeznaczył na wojnę z Londynem, miało posłużyć Londynowi… do sfinansowania wojny z Madrytem.

Zaznaczone na mapie miejsce odnalezienia wraku.

Monety zdradziły odkrywców

W efekcie eksplozji na „Mercedes" zginęło 238 ludzi, a cała zawartość ładowni zatonęła. Na głębokości około 900 m osiadły skrzynie ze srebrnymi i złotymi monetami, sztaby złota, ładunek miedzi i cyny, bele wełny. Skarb rozbudzał wyobraźnię, ale przez dwa wieki nikt nawet nie śmiał marzyć o jego wydostaniu na powierzchnię. Nie znano sprzętu, z pomocą którego można byłoby tego dokonać.

Przyszedł i na to czas.

Na początku XXI w. hiszpańską fregatą poważnie zainteresowała się Odyssey Marine Exploration. Firma kierowana przez Grega Stemma miała już wielkie doświadczenie i sukcesy w poszukiwaniu skarbów na dużych głębokościach. W 2003 r. wydobyła ponad 50 tys. monet i 14 tys. przedmiotów z wraku statku „Republic", znajdującego się na głębokości ponad 500 metrów. Z drugiej strony OMEX była krytykowana przez archeologów i innych badaczy, którzy zarzucali jej chciwość i komercjalizację dziedzictwa historycznego.

Zalegające na dnie morskim monety z zatopionej fregaty.

W 2007 r. firma rozpoczęła operację pod kryptonimem „Czarny Łabędź". Jak później ujawniła, na poszukiwania u wybrzeży Półwyspu Iberyjskiego wydała blisko 3 miliony dolarów. Statki odkrywców z Florydy zlokalizowały miejsce, w którym przed 203 laty rozegrał się morski dramat. Gdy znaleziono pierwsze monety, zapanowało gorączkowe podniecenie. Do akcji wprowadzono roboty głębinowe najnowszej generacji – szczególnie zasłużył się wielki, ośmiotonowy „Zeus". Pokłady statków Odyssey coraz bardziej pęczniały od srebra, a Greg Stemm i właściciele firmy zacierali ręce. Wiedzieli już, że inwestycja się zwróciła i prawdopodobnie przyniesie wielkie zyski. Wkrótce mieli też zdać sobie sprawę, że dokonali najbardziej lukratywnego odkrycia w historii poszukiwań oceanicznych na dużych głębokościach.

Zdobycz była niesamowita: 17 ton srebra!

Całość przetransportowano na Florydę i zmagazynowano w pancernych sejfach w Sarasocie. – *Jeśli chodzi o epokę kolonialną, znalezisko jest bez precedensu. Nie znam niczego porównywalnego* – mówił „Businessweek" Nick Bruyer, ekspert numizmatyk, któremu pokazano część skarbu.

Polityka informacyjna, jaką obrała Odyssey, była mówiąc oględnie nieco pokrętna. Przedstawiciele firmy uchylali rąbka tajemnicy swojego odkrycia tak, aby za dużo nie powiedzieć, jakby obawiali się ujawnić zbyt wiele. Zaznaczano w oświadczeniu, że większość monet pochodzi z jednego okrętu, ale znajdują się tam również kosztowności z innych jednostek zatopionych w epoce kolonialnej. Nazwy jakiegokolwiek statku nie chciano podać, podkreślając, że stanie się to faktem po dokładnym zbadaniu znalezisk. Menedżerowie OMEX zaczęli następnie sugerować, iż skarb pochodzi z angielskiego statku kupieckiego „Merchant Royal", który zatonął 23 IX 1641 roku. Gdy udostępniono zdjęcia monet, umieszczone na nich napisy były zamazane, by uniknąć identyfikacji. Po zbadaniu zdjęć eksperci orzekli jednak, że krawędzie monet są charakterystyczne dla połowy XVIII wieku. Nie ma więc mowy, że Odyssey odkryła wrak „Merchant Royal" albo innej jednostki z tego okresu.

Niepodważalna własność Hiszpanii

Zgodnie z prawem odkrywcy złożyli w sądzie w USA wniosek o uznanie ich za właścicieli znaleziska. Zaraz potem wyszło na jaw, dlaczego ich informacje na temat skarbu są tak niejasne i pokrętne. Oto na scenę wkroczył konkurent; rząd Hiszpanii przedstawił w sądzie wniosek przeciwny, stwierdzając, że kosztowności pochodzą z wraku statku „Mercedes", będącego własnością państwa hiszpańskiego. – *Odyssey potajemnie odnalazła miejsce zatopienia okrętu i przez dwa albo*

Centrum dowodzenia akcją wydobywczą.

Ośmiotonowy „Zeus", robot głębinowy najnowszej generacji przeznaczony do eksploracji morskiego dna.

trzy tygodnie przez okrągłą dobę wydobywała monety, by je stamtąd wywieźć. To jest szaber, a nie archeologia – powiedział James Goold, adwokat reprezentujący rząd hiszpański.

Twarde prawo, ale prawo

Sąd nakazał OMEX ujawnienie szczegółów na temat jej znaleziska. Firma podała, że odkrycia dokonano w odległości około 290 km od wybrzeża Portugalii. A więc wykluczyłoby to zarówno „Merchant Royal", który zatonął bardziej na północ, jak i „Mercedes" – ta poszła na dno około 56 km od wybrzeża. Znaleziska, które udostępniła sądowi Odyssey, wskazywały jednak zdecydowanie na „Mercedes". Zarówno monety, jak i sztabki miedzi okazały się charakterystyczne dla hiszpańskich kolonii z XVIII wieku.

Właściciele Odyssey bronili się wszelkimi sposobami. Gdy tożsamość okrętu udowodniono już ponad wszelką wątpliwość, prawnicy firmy stwierdzili, że większość ładunku nie była własnością państwa hiszpańskiego… tylko prywatnych kupców. Wówczas do sporu włączyli się potomkowie handlarzy, którzy przewozili towary w transatlantyckich konwojach do Hiszpanii. Uznali, że to im należy się skarb lub przynajmniej jego część.

Przez cały czas trwania „prawniczej wojny o skarb" władze hiszpańskie bacznie przyglądały się działaniom OMEX w pobliżu Gibraltaru, tam bowiem Amerykanie poszukiwali już kolejnego wraku. W lipcu 2007 r. Gwardia Cywilna zatrzymała ich statek „Ocean Alert" i skierowała go do Algeciras na przeszukanie. W październiku br. zmuszono do zacumowania w Algeciras kolejną jednostkę – „Odyssey Explorer". Jej kapitan Sterling Vorus trafił na jeden dzień do aresztu, po tym, jak próbował przeciwstawić się przeszukaniu magazynów statku. W obu przypadkach Hiszpanie i Amerykanie podawali odmienne okoliczności wydarzeń. Ci pierwsi twierdzili, że statki zatrzymano na hiszpańskich wodach terytorialnych, drudzy – że na wodach międzynarodowych, a więc nielegalnie ich osaczono.

Greg Stemm (po lewej) i Tom Detweiler (po prawej) z OMEX podczas wstępnej weryfikacji wydobytych skarbów.

W czerwcu 2009 r. Hiszpania odniosła zwycięstwo. Sąd w Tampie na Florydzie stwierdził, że skarby odnalezione przez Odyssey Marine Exploration pochodzą z wraku „Nuestra Señora de las Mercedes", będącego własnością państwa hiszpańskiego. Odkrywcom nakazano zwrot całej zdobyczy prawowitemu właścicielowi. *„Niepodważalna prawda jest w tym przypadku taka, że »Mercedes« była morskim statkiem Hiszpanii, i że wrak tego statku, jego ładunek oraz jakiekolwiek szczątki ludzkie pozostają naturalnym i prawnym dziedzictwem Hiszpanii"* – podkreślił sędzia w uzasadnieniu. Jak zaznaczył, zgodnie z międzynarodowym prawem morskim cały ładunek zatopionego okrętu wojennego należy do państwa – właściciela jednostki.

Poszukiwacze z Florydy wpadli w przygnębienie. Próbowali jeszcze wykorzystywać każdą okazję, by odwrócić bieg wypadków na korzyść firmy. Gdy portal Wikileaks opublikował tajne depesze dyplomatyczne rządu USA, Odyssey znalazła w nich informacje na swój temat. Jak obwieściła, władze w Waszyngtonie prowadziły sekretne negocjacje z Madrytem w sprawie skarbu z „Mercedes". W zamian za jego wydanie, Waszyngton miał obiecać Madrytowi wsparcie w sporze prawnym o drogocenny obraz Camille'a Pissarra, toczonym przez władze hiszpańskie z pewną rodziną z USA. – *Jest oczywiste, że względy polityczne stanęły w tym przypadku ponad prawem* – mówiła wiceprezes Odyssey Melinda MacConnel. Rząd w Madrycie stanowczo zaprzeczył tym rewelacjom. Władze USA odmówiły komentarza.

Apelacje Odyssey do sądów wyższej instancji nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Kolejni amerykańscy sędziowie orzekali na korzyść Hiszpanii. Podtrzymując poprzednie orzeczenia, Sąd Federalny powołał się również na podpisany w 1902 r. traktat o przyjaźni Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią.

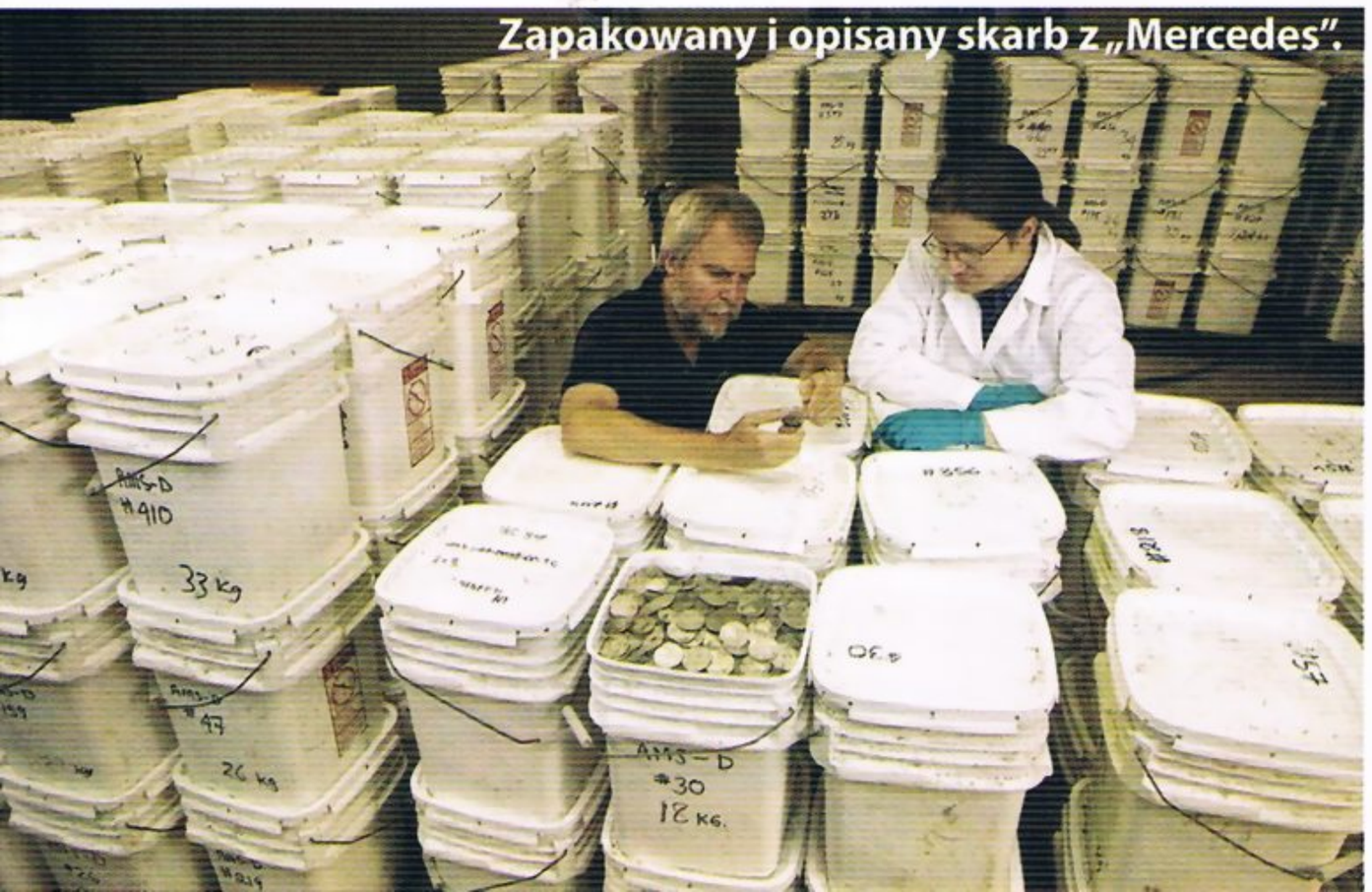

Zapakowany i opisany skarb z „Mercedes".

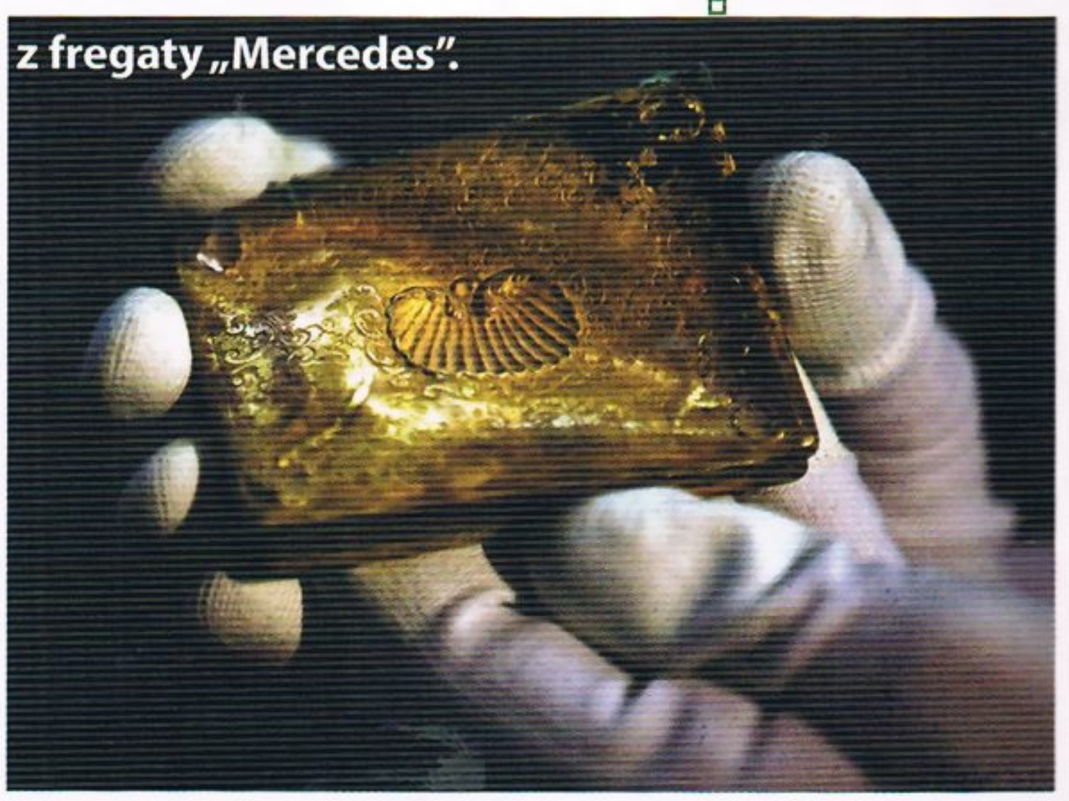

„Niskie instynkty i pożądania", czyli żądza pieniądza

Greg Stemm chyba do końca życia zapamięta datę 16 lutego 2012 roku. Tego dnia na wojskowe lotnisko na Florydzie przywieziono pod silną eskortą drogocenny ładunek: 17 ton srebrnych i złotych monet z wraku „Mercedes". Odyssey żegnała się ze zdobyczą, której wartość oszacowano na 600 milionów dolarów!

Monety, zapakowane w setki plastikowych worków, załadowano do dwóch hiszpańskich samolotów wojskowych C130 Hercules. Przetransportowały one skarb z powrotem za Atlantyk, do bazy wojskowej w Torrejon. Tam przeładowano worki do specjalnych samochodów pancernych. Konwój ze skarbem wyruszył do Madrytu, eskortowany przez policyjne helikoptery i dziesiątki funkcjonariuszy w samochodach i na motocyklach. Hiszpański rząd triumfował.

Madryt postanowił jednak dodatkowo pognębić przeciwnika. Wniósł do sądu w USA kolejną sprawę, żądając pokrycia przez Odyssey kosztów batalii prawnej o skarb z „Mercedes" w wysokości ponad 3 milionów dolarów. Reprezentujący Hiszpanię prawnicy podkreślili, że odkrywcy od początku działali w złej wierze, gdyż dobrze wiedzieli, jaki okręt odnaleźli, ale celowo zatajali jego tożsamość i ukrywali dowody. Przeciągali też na wszelkie możliwe sposoby batalię przed amerykańskimi sądami, choć byli świadomi, że prawo stoi po stronie Madrytu.

Ten proces OMEX również przegrała. Zasądzając 30 września br. na rzecz Hiszpanów odszkodowanie w wysokości nieco ponad 1 miliona dolarów, sędzia Steven Merryday zaznaczył, że Odyssey chciała zawłaszczyć bogactwo „o wartości przekraczającej ludzką wyobraźnię". – *Spór o 600 milionów dolarów – gdzie zwycięzca bierze wszystko – niesie pokusę, by przekroczyć wszelkie granice, dać upust niskim instynktom, pobudzić wszelkie pożądania* – stwierdził sędzia w uzasadnieniu. Według niego *„Odyssey oszukiwała i mataczyła"* w sprawie swojego odkrycia. – *Przychodzenie w tej sytuacji do sądu i zaprzeczanie faktom, jest ohydnym nadużyciem popełnianym w złej wierze* – podkreślił Merryday.

Nie wiadomo, czy firma z Florydy będzie odwoływać się od tego orzeczenia.

Wiceprezes Melinda MacConnel uniknęła kary, choć Hiszpanie zaskarżyli również ją osobiście. Sąd uznał, że wysoka kara dla firmy będzie dla niej wystarczającą nauczką.

OMEX, przedsiębiorstwo warte około 240 milionów dolarów, zapewne przetrwa klęskę w sporze o skarb z hiszpańskiego żaglowca. Straty wizerunkowe jakie poniosło, są jednak trudne do przecenienia. Do firmy przylgnęła łatka krętaczy gotowych na wszystko, byle tylko się obłowić. Ta opinia z pewnością będzie miała negatywny wpływ na jej operacje w przyszłości. Szefowie firmy próbują ratować jej wizerunek, tłumacząc, że cały spór był efektem niejasnych uregulowań prawnych dotyczących morskich wraków. – *Pracujemy na obszarach geograficznych i prawnych, gdzie brakuje odpowiednich precedensów (...), a brak precedensu może prowadzić do sprzecznych orzeczeń sądowych* – powiedział prezes Stemm, cytowany przez „Courthouse News Service". – *Współdziałamy jednak owocnie z różnymi rządami na świecie i nasze sukcesy pokazały, że ten przypadek jest tylko zaburzeniem, które nie wpłynie negatywnie na strategię firmy* – zaznaczył.

PYTANIE: Jak nazywał się 8-tonowy robot biorący udział w wydobyciu „Mercedes"?

ODPOWIEDŹ: SMS POD NR 7368 O TREŚCI: ODKRYWCA.
(po kropce, bez spacji wpisać odpowiedź na pytanie).

KONKURS SMS-owy

10 nagród książkowych. Ogólna wartość nagród – 409 zł.

Aby zagrać o nagrodę od 10 XI 2013 r. do 30 XI 2013 r. wyślij SMS-em odpowiedź na pytanie konkursowe, wpisując w treści: ODKRYWCA.odpowiedź na pytanie. Należy ją wpisać bezpośrednio po kropce, nie używając spacji po treści kodu, pod numer 7368 za 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach GSM).

Nagroda zostanie przekazana zwycięzcy Konkursu przesyłką poleconą po opublikowaniu listy zwycięzców. Pełny regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl

Wykorzystane w artykule zdjęcia i infografika – źródła: www.spainillustrated.blogspot.com, www.en.wikipedia.org, www.shipwreck.net, www.thehistoryblog.com, www.mannaismayaadventure.com, www.latimesblogs.latimes.com, www.abc.es,www.huffingtonpost.com

Marcin Szymaniak
Dziennikarz; przez kilkanaście lat pracował w „Rzeczpospolitej" i „Życiu Warszawy", obecnie autor niezależny; publikował m.in. w „Focus Historia", „Focus Śledczy", „National Geographic Traveler".

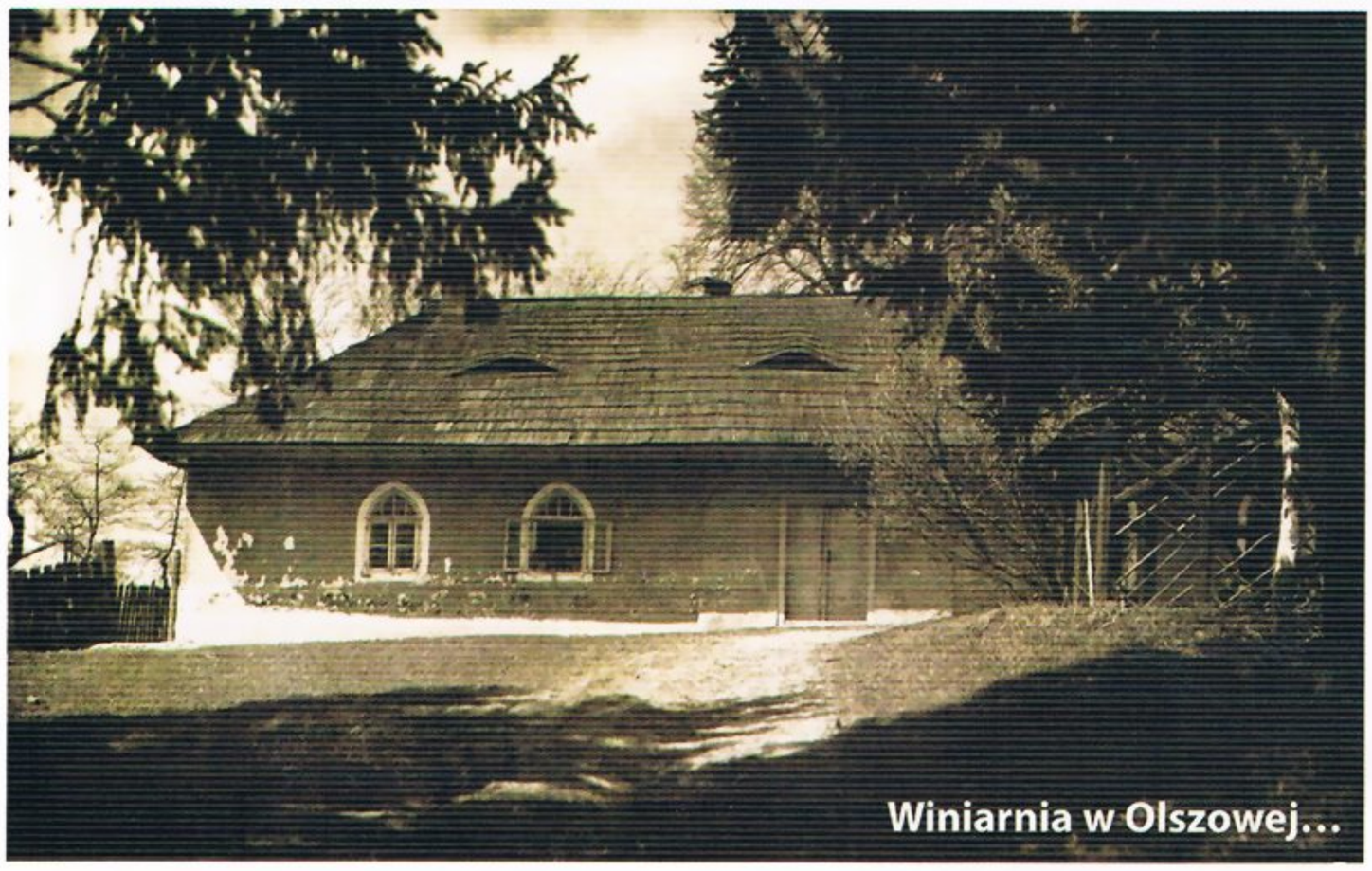

Winiarnia w Olszowej…

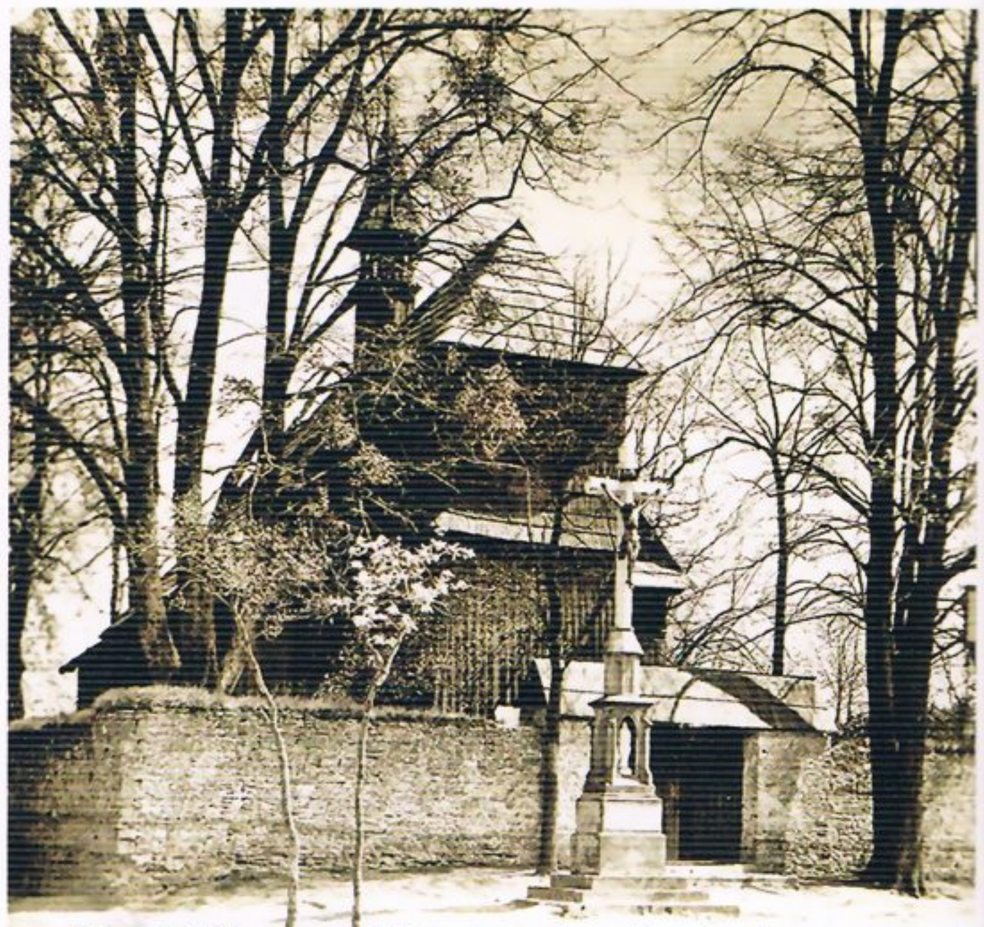

… i kościół na archiwalnych zdjęciach.

OLSZOWA – do niedawna ściśle tajna

DARIUSZ PIETRUCHA

Stoi całkowicie opuszczona w lesie. Jedynie od strony wąskiej, wiejskiej drogi widać dwa budynki koszarowe i zachodzący rdzą napis „Wojsko Polskie". Można je po prostu przeoczyć. Przez las, w którym jest położona, przebiega obecnie trasa A-4. Kierowcy samochodów pędzą w stronę Wrocławia czy Krakowa nie zdając sobie sprawy z tego, co kryją mijane przez nich drzewa, które szybko znikają za szybami aut. A jeszcze do niedawna znajdowała się tam ukryta jednostka wojskowa i gotowe do strzału rakiety typu S-75M „Wołchow".

Miejscowość Olszowa (powiat Strzelce Opolskie) obok której, w lesie, położona jest opuszczona obecnie jednostka wojskowa, jest bardzo stara. Pozornie niczym nie różni się od wielu innych, które możemy spotkać na Opolszczyźnie. Dawno temu została założona przez niemieckich osadników na mokradłach i bagnach. Wzmiankowano o niej już w 1223 roku. Była także wymieniona w 1302 r. w dokumencie papieża Bonifacego VIII. Władze kościelne na kilkaset lat ustaliły, że mieszkańcy Olszowej będą płacić daninę na rzecz pobliskiego klasztoru w Jemielnicy. Nazwa miejscowości prawdopodobnie pochodzi od olchy (śląska olsza), bogato porastającej pobliskie mokradła. Mniej więcej od 1900 r. miejscowość nazywano Olchowa, ale w 1936 r. jej nazwę zmieniono na Erlenbusch O.S. Stało się to w ramach powszechnej akcji germanizacji nazw Opolszczyzny realizowanej przez władze nazistowskie. Należy również pamiętać, że Olszowa wraz z pobliską miejscowością Klucze od wielu lat stanowiły jedną parafię. Niektórzy nawet lokalizację polskiej jednostki wojskowej wiążą właśnie z miejscowością Klucze, czy wręcz z Zimną Wódką (zawsze mi się podobała ta nazwa), choć tak naprawdę o wiele bliżej jest Olszowa.

Z historią miejscowości związane są takie nazwiska śląskich właścicieli ziemskich, jak: von Schweinichen, Colonna, Larisch, Nofe, de Raczek, a także von Gaschin – budowniczych klasztoru na niedaleko położonej Górze św. Anny. W 1825 r. hrabia Andreas Renard von Gaschin (właściciel Olszowej od 1823 r.) wybudował w Olszowej stadninę i zajął się hodowlą koni wyścigowych. To właśnie tutaj z czasem powstała śląska rasa koni. Dzięki temu stadnina z Olszowej stała się ceniona i znana w całej Europie. To jeszcze nie wszystko. Hrabia zmeliorował podmokłe grunty wokół Olszowej i założył na nich winnice, w których produkowano znane olszowskie wino. Do tego w Olszowej i w pobliskich Kluczach powstały wapienniki. W XIX w. tereny wokół miejscowości były słabo zagospodarowane. Zapewne przyczyn należy upatrywać w niezwykle podmokłym terenie i pewnie dlatego łączność ze światem utrzymywano za pomocą zwykłej, polnej drogi. Drogi pewnie malowniczej, ale mało wygodnej. Dopiero w okresie 20-lecia międzywojennego polny trakt zamieniono na drogę wykładaną kamieniem, a w 1926 r. miejscowość została podłączona do trakcji elektrycznej.

Ród von Gaschin rządził miejscowością do lat 80. XIX w., choć ich spadkobiercy byli właścicielami tutejszego majątku aż do 1945 roku. Co warte podkreślenia, założona przez Gaschinów stadnina koni upadła dopiero w 1998 roku. Znamię nowoczesności… Obecnie mocno zniszczone, zabytkowe budynki olszowskiej stadniny odbudowywane są przez prywatnego inwestora, który podobno zamierza urządzić w nich hotel i restaurację oferujące przyszłym turystom mnóstwo różnych atrakcji. Czas pokaże.

Okoliczne tereny mają swoją krwawą historię związaną z III Powstaniem Śląskim w 1921 r., gdy w Ol-

Kościół Matki Boskiej Śnieżnej.

szowej stacjonowały oddziały powstańczej I Dywizji Górnośląskiej dowodzonej przez mjr. Jana Ludygę-Laskowskiego. Kilkunastu mieszkańców miejscowości zginęło na różnych frontach Wielkiej Wojny, a jeszcze więcej na drugowojennych polach bitew. Oczywiście większość z nich w niemieckich mundurach. Typowe dla całej Opolszczyzny i Śląska.

Na miejscowym cmentarzu znajduje się również zbiorowa mogiła Powstańców Śląskich. W tym rejonie na krótko przed wybuchem Kampanii Wrześniowej koncentrowały się jednostki niemieckiej Grupy Armii „Południe" (dow. gen. płk Gerd von Rundstedt), która uderzyła w kierunku polskiej części Górnego Śląska. Podczas wojny okolice Olszowej były dosłownie naszpikowane niemieckimi bateriami przeciwlotniczymi, a to z powodu bliskości ważnych zakładów chemicznych w Zdzieszowicach. Zazwyczaj z frontu wschodniego przychodziły zawiadomienia o śmierci bądź zaginięciu kolejnych mieszkańców Olszowej. Wiele rodzin opłakiwało swoich bliskich, jednakże najgorsze miało dopiero nadejść.

Wojny czas

W 1940 r. Niemcy utworzyli w Olszowej obóz pracy przymusowej. Mieszkający w drewnianych barakach robotnicy mieli pracować przy budowie autostrady Wrocław-Katowice (niem. Reichsautobahn 29 – RAB 29)[1]. Takich obozów na terenie Śląska Opolskiego powstało wtedy 16. Początkowo trafili tutaj Polacy z ziem wcielonych do III Rzeszy, później kierowano tam Żydów z gett w Będzinie, Sosnowcu i Czeladzi. Warunki pracy były bardzo ciężkie, a dyscyplina w obozie niezwykle ostra. Więźniów, którzy nie nadawali się do pracy (praktycznie umierających) odsyłano do rodzimych gett, przywożąc na ich miejsce nowe ofiary. W ten sposób, podobnie jak w obozach w Blachowni Śląskiej (niem. Blechhammer), ukrywano faktyczne rozmiary obozowej śmiertelności. Obóz istniał mniej więcej do połowy 1942 roku. W momencie, gdy odgórną decyzją wstrzymano prace nad budową autostrady, został zlikwidowany. Więźniowie z Olszowej bez wątpienia trafili do innych obozów pracy. To tragiczny epizod w historii miejscowości, którego nie da się pominąć.

Odnawiane budynki starej stadniny koni w Olszowej...

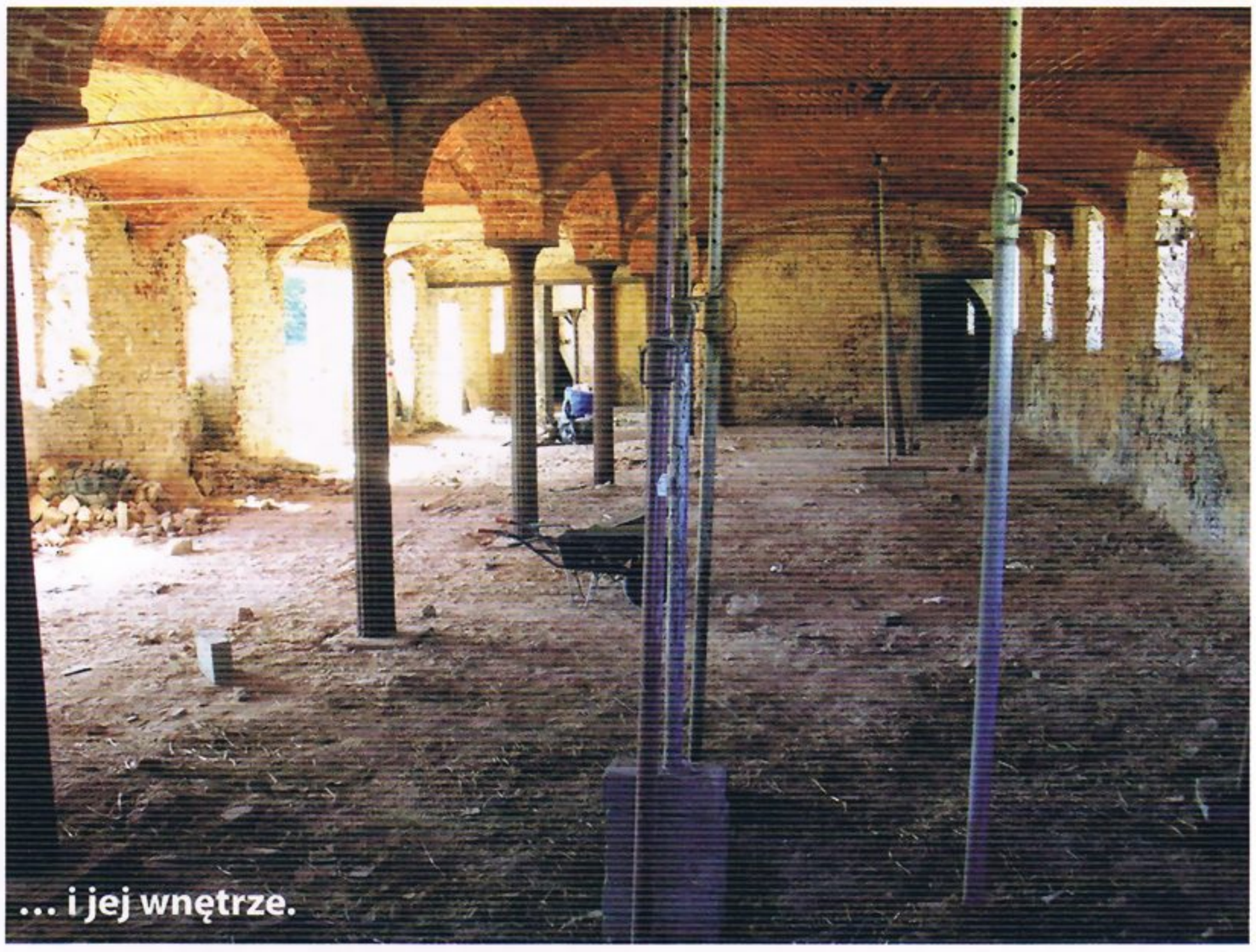

... i jej wnętrze.

23 stycznia 1945 r. w rejon miejscowości Gajków (niem. Margareth) i Kamieniec Wrocławski (niem. Steine) dotarły oddziały sowieckiej 52. Armii Ogólnowojskowej, dowodzonej przez gen. płk. Konstantina Korotiejewa, osiągając w ten sposób linię Odry. Do niedawna wspierała ją osławiona 3. Armia Pancerna Gwardii dowodzona przez gen. płk. Pawieła Siemionowicza Rybałko. Jednak 21 stycznia marszałek Iwan Koniew wydał rozkaz, by Rybałko zawrócił z kierunku wrocławskiego, i dokonując zwrotu o 90 stopni uderzył w kierunku na Opole (niem. Oppeln), poruszając się wschodnim brzegiem rzeki przed frontem nacierającej sowieckiej 5. Armii Gwardii dowodzonej gen. płk. Aleksieja Żadowa. Ten osławiony „manewr górnośląski" marszałka Koniewa mocno zaskoczył Niemców, a mieszkańcom Zabrza (niem. Hindenburg), Bytomia (niem. Beuthen O.S.) i Gliwic (niem. Gleiwitz) nie dał czasu na ewakuację. Ponadto zmusił niemieckie jednostki wchodzące w skład VIII Korpusu Armijnego (dow. gen. artylerii Walter Hartmann) do błyskawicznego odwrotu za Odrę (niem. Oder) i zwinięcia przygotowanej wokół Lublińca (niem. Lublinitz) pozycji obronnej. Rozkaz zmiany kierunku uderzenia dotarł do 3. Armii Pancernej Gwardii w nocy 21 stycznia o godz. 3:00. Koniew zażądał również, żeby Rybałko do dnia 22 stycznia opanował rejon Opola (niem. Oppeln), odciął miasto od dróg prowadzących na wschód i południowy-wschód, i zaczekał tam na nadejście pozostałych sił, szukając jednocześnie sposobu przebicia się na drugi brzeg rzeki. Celem tego rajdu miało być zamknięcie drogi na zachód wycofującej się z terenu Górnego Śląska niemieckiej armii.

W ten sposób sowiecka 3. Armia Pancerna Gwardii rozpoczęła swój niesławny rajd przez Opolszczyznę, stając się powodem wielu nieszczęść, a także zbrodni. Aby przeprowadzić szybkie uderzenie, które wyszło z rejonu Sycowa (niem. Gross Wartenberg), w ramach podległej Rybałko armii pancernej stworzono dwa „oddziały wydzielone", które stanowiły szpicę uderzenia. Pierwszy z nich opierał się na 55., drugi na 51. Brygadzie Pancernej Gwardii wzmocnionej pułkiem ze 199. Brygady Artylerii, 439. Dywizjonem Artylerii Rakietowej Gwardii i pododdziałami wojsk specjalnych. Dowódcą tego drugiego „oddziału wydzielonego" został płk Iwan Jakubowski, który po wojnie spisał swoje wspomnienia.

W najbliższej okolicy znajdowały się jedynie oddziały miejscowego Volkssturmu, uzbrojone w swój fanatyzm oddziały Hitlerjugend, a także pododdziały pospiesznie ściągniętej

Rakiety przeciwlotnicze „Dźwina"...

... i „Wołchow".

Schemat rozmieszczenia obiektów jednostki przeciwlotniczej.

z Węgier: 208. Dywizji Piechoty[2], do tego 318. batalion zapasowy, 4. batalion szturmowy z 4. Armii Pancernej, pododdziały 408. Dywizji Rezerwowej i elementy 269. Dywizji Piechoty. Niemieccy żołnierze, pomimo przewagi Sowietów, opóźniali ich natarcie broniąc kolejnych miejscowości, minując szosy, zwalając drzewa na drogi i stawiając pola minowe. Odwrót niemieckich wojsk osłaniały silne ariergardy osłonowe.

Szybkie pojawienie się Sowietów w tym rejonie wywołało panikę wśród ludności cywilnej. Z takich miejscowości jak: Borkowice (niem. Borkenhain), Niemodlin (niem. Falkenberg), Skarbiszów (niem. Karbischau) czy Karczów (niem. Schönwitz) pospiesznie ewakuowali się mieszkańcy często doganiani na zamarzniętych drogach przez sowieckie szpice pancerne, co zazwyczaj kończyło się zbrodnią. Niemcy, aby wzmocnić swój opór, a także umożliwić ludności cywilnej ucieczkę, ściągnęli w ten rejon Grupę Bojową z estońskiej 20. Ochotniczej Dywizji Grenadierów SS. Znalazły się tutaj również rozbite pododdziały wycofującego się z terenu Górnego Śląska XXXXVIII Korpusu Pancernego i górnośląskie jednostki Volkssturmu.

Brama do części koszarowej jednostki.

20 lub 21 stycznia 1945 r. w Opolu, w sztabie Grupy Armii „A", odbyło się spotkanie głównodowodzącego gen. płk. Schrörnera, ministrów: Speera i Dorpmüllera, gdzie zdecydowano o sabotowaniu wytycznych Hitlera dotyczących całkowitego zniszczenia terenów, z których wycofywała się niemiecka armia. Prawdopodobnie dzięki tej rozmowie ocalały zakłady chemiczne w Zdzieszowicach. Zgodnie z założeniami Niemcy wycofując się nie niszczyli wszystkiego, a jedynie to, co mogło ułatwić Sowietom posuwanie się w głąb Opolszczyzny. Z drugiej strony nie bardzo mieli czas na planowe niszczenia.

W rejonie Strzelec Opolskich (niem. Gross Strehlitz) swoje boje toczył również 1. Samodzielny Korpus Kawalerii Gwardii, którego 1. Dywizja Kawalerii Gwardii kierowała się w stronę miasta tocząc po drodze boje z niemiecką 100. Dywizją Strzelców Górskich dopiero co przerzuconą z rejonu Karpat. Strzelce Opolskie zostały zdobyte 21 I 1945 r. przez rosyjski 31. Samodzielny Korpus Pancerny Gwardii. Z tego rejonu Rosjanie posuwali się w kierunku na Toszek (niem. Tost) i Tarnowskie Góry (niem. Tarnowitz). Przemieszczali się wzdłuż ówczesnej drogi nr 5 prowadzącej z Wrocławia (niem. Breslau) poprzez Opole do Bytomia, zajmując miejscowości Góra Św. Anny (niem. Annaberg), Żyrowa (niem. Buchenhöh), Górażdże (niem. Steinfurt O.S.), Karłubiec (niem. Karlhorst) oraz Gogolin, szybko zbliżając się w stronę Gliwic. 22 stycznia 2. Dywizja Kawalerii Gwardii zdobyła miejscowość Zalesie Śląskie (niem. Gross Walden). Podobnie jak to było w przypadku miejscowości Kielcze czy Strzelec Opolskich, tak i w Zalesiu Śląskim znajdowała się większość mieszkańców, gdyż nie wydano im wcześniej rozkazu ewakuacji. Zaraz potem sowiecka 2. Dywizja Kawalerii Gwardii zdobyła miejscowości Ujazd (niem. Kreisau), a 23 stycznia Leśnicę (niem. Bergstadt) oraz Górę Św. Anny. W tych dniach w sowieckie ręce wpadła również Olszowa (wówczas jeszcze Erlenbusch O.S.), której większość mieszkańców pozostała w swoich domach. Sowieci dokonali w Olszowej wielu zniszczeń i przestępstw wojennych. Kilka tygodni po wkroczeniu Rosjan, wszyscy mężczyźni z Olszowej (za wyjątkiem starców i dzieci) zostali wywiezieni do ZSRR. Tylko nielicznym udało się stamtąd powrócić. Doceniali swoje szczęście i w podzięce wybudowali w miejscowości kaplicę.

Pozostałości po wojskowych obiektach – stary budynek stojący dzisiaj na terenie jednostki.

Leśna baza

Spaloną szkołę odbudowano w 1948 roku. W 1957 r. Olszowa miała już własny wodociąg. Na przełomie lat 50. i 60. dużo się zmieniło, gdyż w pobliskim lesie powstała jednostka wojskowa. Prawdopodobnie w momencie utworzenia, była to jednostka przeciwlotnicza mająca na swoim wyposażeniu tradycyjne działa przeciwlotnicze. Funkcjonowała do roku 1996. Według relacji okolicznych mieszkańców została ostatecznie opuszczona w 1998 roku.

Olszowska baza jednostki Wojska Polskiego powstała od podstaw. Wcześniej w tym miejscu nic nie było. W 2001 r. w pobliżu miejscowości uruchomiono trasę A4, a niedaleko znajduje się węzeł drogowy autostrady. W 2007 r. rozpoczął się drugi już remont (pierwszy był w 1988 r.) olszowskiego barokowego kościoła, za co proboszcz ks. Józef Żyłka, duszpasterz polskich hodowców gołębi, otrzymał złotą odznakę „Za opiekę nad zabytkami", przyznaną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Kościół faktycznie prezentuje się pięknie. Może pochwalić się późnogotycką rzeźbą w prezbiterium, kamienną kropielnicą z XVI w., barokowym ołtarzem ze współczesnym wizerunkiem Matki Boskiej Śnieżnej, dwoma barokowymi ołtarzami bocznymi, pochodzącą z XIX w. klasycystyczną amboną i ławami z XVIII w. – prawdziwa skarbnica historii. W 2009 r. Olszowa została dość mocno dotknięta powodzią, podobnie jak pobliska Zimna Wódka. Teren jednostki wojskowej też musiał być wtedy zalany. W ostatnim czasie w miejscowości swój ośrodek zbudowała i nadal rozbudowuje francuska firma logistyczna, lokując tam i w pobliskim Starym Ujeździe swoje centrum dystrybucyjne obsługujące cały obszar Polski, a także Europy centralnej. Dla wielu mieszkańców Olszowej jest to miejsce pracy. W miejscowości znajduje się zagroda państwa Teresy i Joachima Sobota, która w kategorii „Najpiękniejsza zagroda wiejska" zdobyła pierwsze miejsce w konkursie „Piękna Wieś Opolska 2013".

Olszowa tylko na pozór jest miejscowością niczym nie wyróżniającą się na tle przepięknego krajobrazu opolskich wsi i miasteczek. Jedna z jej tajemnic tkwiła w lesie, ukryta przed oczami wszystkich ciekawskich.

Jadąc ze Starego Ujazdu w stronę Olszowej, po prawej stronie mijamy gęsty zazwyczaj liściasty las. Jeśli jedziemy zbyt szybko, miniemy go błyskawicznie, nie zauważając nawet charakterystycznej bramy prowadzącej na teren dawnej jednostki wojskowej. Jeśli jednak pojedziemy sposobem spacerowym (moim ulubionym, ale niekoniecznie lubianym przez innych użytkowników dróg), to zauważymy ją bez problemu.

Teren zabudowany. Koniec. Kropka. Brama do dawnej jednostki jest zamknięta, a jej obszar dozorowany. Z drogi doskonale widać dwa duże budynki koszarowe. To dawna strefa „A". Możemy jednak spokojnie stanąć przed bramą, by przyjrzeć się części dawnej jednostki. Budynki nie wyglądają najlepiej, a czasy swojej świetności mają już dawno za sobą. Podobno są z nimi związane pewne plany, ale jakoś nie chce mi się wierzyć, aby doszły do skutku. Czas na wyjaśnienie, czym była ulokowana w lesie nieopodal Olszowej i opuszczona obecnie jednostka wojskowa.

Jedna z wielu wież strażniczych.

Kryptonim „Taras"

W 1962 r. w Polsce rozpoczęto formowanie dywizjonów mających wejść w skład 13. Dywizji Artylerii Obrony Powietrznej Kraju (OPK) im. Powstańców Śląskich, z siedzibą w Bytomiu, jako elementu Wojsk Obrony Powietrznej Kraju (WOPK). WOPK miały także w swoim składzie jednostki lotnicze, jak i radiotechniczne. Jak zawsze jednostki obrony przeciwlotniczej miały się zająć obroną miejsc uważanych za szczególnie ważne ze względów strategicznych. Górny Śląsk był w tym momencie priorytetem, który należało dobrze chronić. Na świecie na dobre panowała wysoka temperatura „zimnej wojny", a globalny konflikt wcale nie był fantazją, a raczej przeraźliwym widmem wiszącym nad światem. Pobliskie Zdzieszowice (zakłady chemiczne), jak i zachodnie rejony górnośląskiej aglomeracji przemysłowej wymagały silnej obrony przeciwlotniczej. Poniemieckie koszary w Bytomiu do dzisiaj są siedzibą wojsk przeciwlotniczych, choć po wielu reorganizacjach nie jest już to dywizja, a jedynie dywizjon. W leśnej jednostce koło Olszowej znalazł się 12. Dywizjon Rakietowy OPK wyposażony początkowo w „Dźwiny", a później w „Wołchowy".

Od 1964 r. dywizjon wchodził w system dyżurów bojowych wojsk OPK. Jednostka wojskowa koło Olszowej miała numer J.W. 1049 (podobno kryptonim „Taras"). W drugiej połowie lat 60. jej dowódcą był mjr Zbigniew Olejnik, jego zastępcą ds. politycznych – mjr Jan Puzio. Wkrótce mjr. Olejnika na stanowisku dowódcy zastąpił mjr Józef Dyrlaga. W tym okresie w jednostce służył ppor. Jan Lipka, którego żona, Regina Pisarek, była wówczas dość znaną piosenkarką. Poczta jednostki znajdowała się w Zimnej Wódce, gdyż w pobliskiej Olszowej poczty nie było. Zapewne dlatego wiele osób kojarzy J.W. 1049 z Zimną Wódką. Wartym podkreślenia jest fakt, iż w latach 60. w jednostce w Olszowej swoje umiejętności doskonaliła kadra i obsługa 22. dywizjonu ra-

Ruiny stacji naprowadzania...

... i jej schemat.

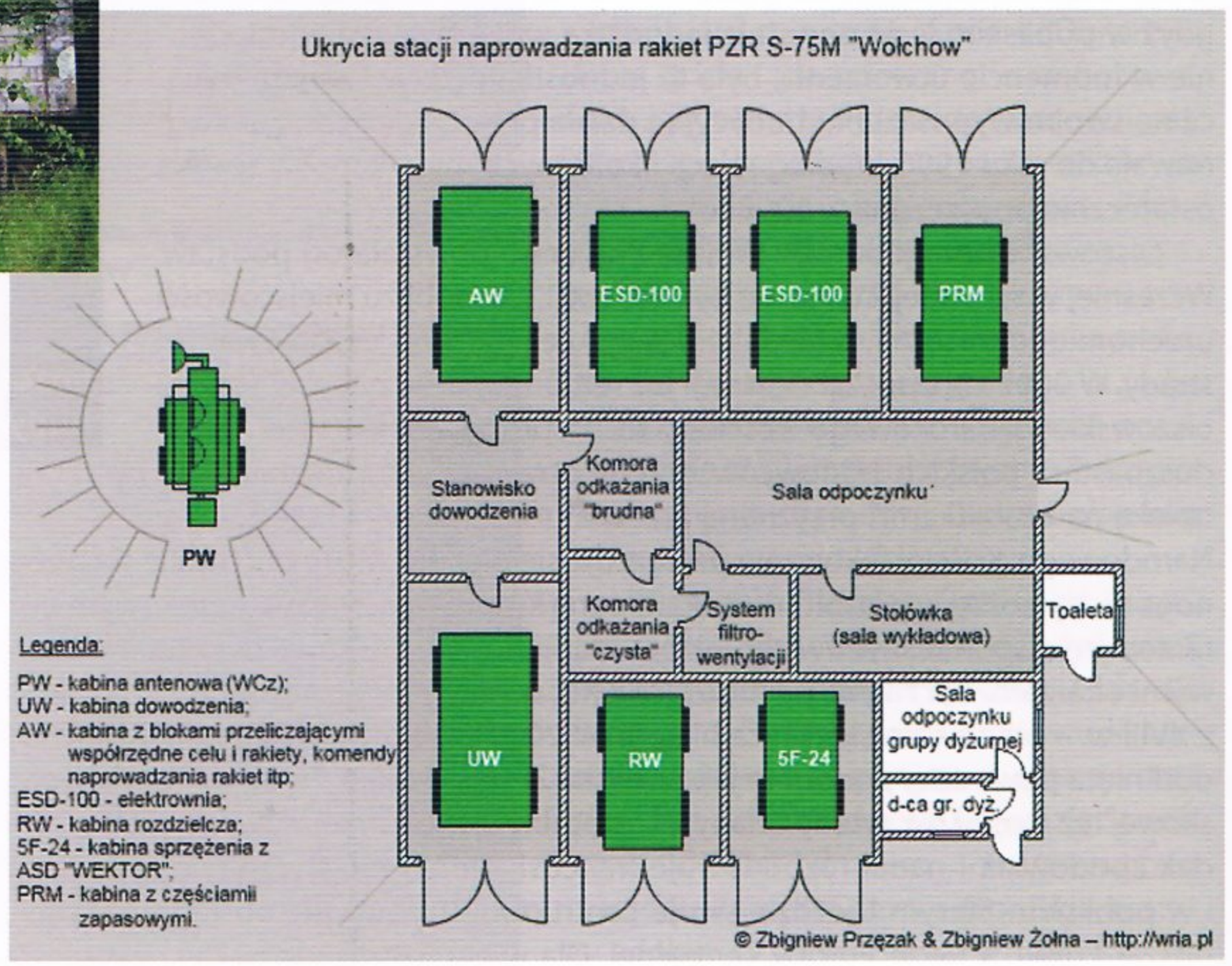

kietowego (sformowanego na podstawie rozkazu organizacyjnego dowódcy WOPK z 12 I 1963 r.), która najpierw szkoliła się w specjalistycznym ośrodku szkoleniowym wojsk rakietowych w Bemowie Piskim (CSS WOPK) i na poligonie na Helu. Wkrótce jednostka przeciwlotnicza w Bytomiu została przeformowana z dywizji w 1. Brygadę Obrony Powietrznej Kraju (BOPK)[4].

W bytomskich koszarach znajdował się sztab brygady, której podlegały cztery dywizjony. Jeden z nich był w Gliwicach, drugi w Oświęcimiu. Każda brygada składała się ze sztabu, dywizjonu dowodzenia oraz dywizjonów ogniowych i technicznych. Owe dywizjony rakietowe były początkowe wyposażone w zestawy „Dźwina".

Wysoka temperatura „zimnej wojny"

Produkowano je w ZSRR. Były efektem wcześniejszych prac radzieckich konstruktorów, którzy opierali się na niemieckiej konstrukcji rakiet Hs-117 „Schmetterling", a także „Wasserfall". Jako pierwsze powstały rakiety PZR S-25 „Berkut" (SA-1 „Guild" wg nazewnictwa stosowanego przez NATO), a później dwustopniowa rakieta SA-75 „Dwina" (SA-2 „Guideline" wg NATO), w Polsce nazywane „Dźwina". W 1957 r. zestawy SA-75 weszły na wyposażenie radzieckich wojsk przeciwlotniczych. Rakieta SA-75 miała 10,6 m długości, średnicę kadłuba wynoszącą 50 cm, rozpiętość stateczników 2,5 m, masę 2287 kg, prędkość maksymalną 3 Ma, zasięg 30 km, górna granica strefy jej ognia wynosiła 20-22 km, a po modernizacji 25 km. Jako SA-75M zestawy „Dźwina" eksportowano do krajów Układu Warszawskiego, a jako SA-75MK do krajów spoza Układu. W 1959 r. zestawy „Dźwina" pojawiły się w Chińskiej Republice Ludowej. To nimi w październiku 1959 r. Chińczycy zestrzelili samolot rozpoznawczy typu Martin RB-57D lecący z Tajwanu, który naruszył obszar powietrzny ChRL. Do jego zestrzelenia użyto trzech rakiet SA-75, ale cały incydent utrzymano w ścisłej tajemnicy. Natomiast w maju 1960 r. w rejonie Świedrłowska tymi rakietami zestrzelono samolot rozpoznawczy typu Lockheed U-2. Mniej znanym faktem jest zestrzelenie podczas tej operacji własnego samolotu myśliwskiego typu Mig-19, co odbiło się szerokim echem w całym świecie. Amerykanie byli wyraźnie zdziwieni możliwościami bojowymi zestawów „Dźwina". Tymczasem w październiku 1962 r. zestrzelono kolejny amerykański samolot U-2 – za pomocą rakiet SA-75. Pilot mjr Rudolf Anderson zginął. Działo się to podczas „kryzysu kubańskiego", czyli w narastającej atmosferze nieuchronnego konfliktu militarnego.

W 1965 r. do Wietnamu skierowano dwa pułki wyposażone w owe rakiety, które zestrzeliły sporo amerykańskich samolotów (źródła radzieckie i amerykańskie podają zupełnie różne od siebie liczby). Z czasem było ich w Wietnamie coraz więcej. Wkrótce Amerykanie stworzyli broń i urządzenia, które mogły przeciwdziałać rakietom SA-75, więc ich bojowa skuteczność znacznie spadła. Smutnym epizodem tych walk jest fakt, że wiele rakiet SA-75, które zostały wystrzelone podczas walk w Wietnamie, z powodu nie przechwycenia celu i braku samolikwidacji spadało na zamieszkane tereny, powodując spore straty w ludności cywilnej.

„Wołchow" w Polsce

W Polsce zestawy rakietowe SA-75 „Dźwina" wprowadzono na uzbrojenie WOPL OK na podstawie Dyrektywy Nr 009/MON Ministra Obrony Narodowej z dnia 12 III 1959 roku. Właściwie krótko potem pojawiły się na Śląsku. Swoje pierwsze strzelania polscy wojskowi przeprowadzili w 1960 r. Jednakże nad konstrukcją „Dźwiny" ciągle prowadzono prace modernizacyjne, które doprowadziły do powstania zestawu PZR S-75M „Wołchow" z dwustopniową rakietą W-755. Jej zasięg szacowano nawet do 50 km, a górna granica strefy ognia wynosiła 30 km. W 1961 r. owe zestawy weszły na uzbrojenie radzieckich wojsk. Jednocześnie tworzono kolejne odmiany zestawu S-75 „Wołchow", próbując w nich zamienić paliwo płynne na paliwo stałe. W 1964 r. zestawy „Wołchow" pojawiły się w Polsce. Jako pierwszy otrzymało je Centrum Szkolenia Specjalistów Artylerii i Radiotechniki w Bemowie Piskim. Później poszczególne dywizjony przeciwlotnicze zostały wyposażone w zestawy „Wołchow" (owe dywizjony potocznie nazywano „dużymi"), a część w zestawy „Newa" (te z kolei nazywano „małymi" dywizjonami). Dywizjony techniczne służyły do zaopatrywania w rakiety dywizjony ogniowe. Rakiety do zestawów „Wołchow" wymaga-

ły skomplikowanego procesu elaboracji ze względu na płynne paliwo TG-02 i utleniacz AK-20K do silnika marszowego. Rakiety z silnikiem marszowym na paliwo ciekłe, miały szereg mankamentów. Należały do nich: mały okres eksploatacji (ze względu na agresywne komponenty paliwa), a także niezmiernie uciążliwe procedury podczas przygotowania rakiet w potoku technologicznym. Koniecznym było oprzyrządowanie do dystrybucji i przechowywania paliwa i utleniacza. Należy również wspomnieć, że dywizjony ogniowe nie posiadały zbyt dużego zapasu tych drogich w użyciu rakiet.

Stacja naprowadzania.

Jednostka wojskowa w Olszowej została wybudowana według standardu, w oparciu o który powstały inne bazy polskich wojsk przeciwlotniczych. Każdy dywizjon rakietowy posiadał obiekty w postaci umocnień inżynieryjnych na sprzęt bojowy i nowo wybudowane obiekty typu koszarowego, budynki sztabowe, kuchnię oraz kotłownię. Budynki koszarowe widać z drogi, natomiast resztę można zobaczyć podczas długiego spaceru po lesie. Większość dawnej jednostki jest obecnie całkowicie dostępna, pomijając ogrodzoną i dozorowaną część koszarową. Kiedyś cały jej teren był ogrodzony drutem kolczastym i oznaczony odpowiednimi tablicami. Teraz wystarczy pojechać nieco dalej wzdłuż ściany lasu i zatrzymać się przy wyłożonej brukiem, a w dalszej części żelbetowymi płytami dość szerokiej drodze prowadzącej prosto w las, w stronę dawnych stanowisk ogniowych. Widać ślady po bramie wjazdowej, a także po polowych stanowiskach wartowniczych. Las jest przepiękny, więc spacer po nim to prawdziwa przyjemność. Jest tylko jeden minus. Jeszcze nigdzie nie oblazła mnie taka armia kleszczy, jak w lesie koło Olszowej. Co ciekawe, te niezmiernie uciążliwe pajęczaki grupują się wokół dawnych wyrzutni. Mam nadzieję, że nic nie planują… Po drodze miniemy zamieszkały stary budynek, który prawdopodobnie kiedyś stanowił rodzaj wartowni, bądź pełnił inną funkcję gospodarczą.

Standardowy wygląd baz dywizjonów przeciwlotniczych zakładał, że wszystkie obiekty zajmowały ogółem około 492 tys. m kw. powierzchni. Sprzęt baterii radiotechnicznej i startowej wymuszał charakterystyczny i rozpoznawalny w świecie układ dróg dojazdowych do wyrzutni, który w lesie koło Olszowej jest doskonale widoczny do dzisiaj. Każdy dywizjon rakietowy posiadał dwa zapasowe stanowiska ogniowe, które zazwyczaj znajdowały się w odległości około 12-15 km od miejsca stałej dyslokacji dywizjonu. W praktyce były to tylko pozbawione jakiejkolwiek infrastruktury miejsca wytypowane na mapach, choć zdarzały się takie, które były doskonale wyposażone, a wiedzy o ich istnieniu nie posiadali nawet dowódcy dywizjonów. Niestety nie wiem, gdzie znajdowały się tego typu stanowiska przynależne do głównej bazy dywizjonu rakietowego koło Olszowej. Co więcej, dywizjony rakietowe zostały wyposażone w zestawy stanowisk pozornych, czyli drewnianych szkieletów podstawowych elementów sprzętu bojowego dywizjonu, na które nakładano siatki maskujące. Stanowiska pozorne zawsze planowano rozwijać w odległości od 2 do 5 km od faktycznych stanowisk ogniowych dywizjonu. Dywizjon z Olszowej zapewne także posiadał swoje stanowiska pozorne. Na terenie głównej bazy dywizjonu stanowiska i drogi były utwardzone żelbetonowymi płytami typu „Jumbo", które w Olszowej ocalały do dzisiaj. Należy jednak pamiętać, że w wypadku wojny każdy dywizjon opuszczał swoje dotychczasowe miejsce stacjonowania i udawał się na określone w planach stanowisko zapasowe. Cała stała infrastruktura jednostki musiała być opuszczona.

Magazyn rakiet.

Idąc dalej drogą w las wyłożoną solidnymi płytami, będziemy skręcać w lewo, aż dojdziemy do wałów ziemnych, które prawdopodobnie są pozostałością po stanowiskach do uzbro-

W numerze wrześniowym (9/176) z 2013 roku zadaniem konkursowym dla naszych Czytelników było rozwiązanie krzyżówki. Należało przesłać hasło powstałe z ponumerowanych pól krzyżówki.

Hasło z numeru wrześniowego to:

„Czerwona orkiestra".

Wśród bardzo dużej ilości prawidłowych odpowiedzi, najszybszymi okazali się:

- Dominika Stachyra
- Jacek Grzanka
- Krzysztof Płuciennik
- Mieczysław Koczy
- Zbigniew Bykowski
- Tomasz Chwietkiewicz
- Zdzisław Równicki
- Piotr Jankowski
- Robert Krause
- Małgorzata Warycha

Nagrodzeni otrzymali bardzo ciekawe pozycje książkowe.

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursie. Jak zawsze zapraszamy do udziału w następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie, nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

jenia rakiet. To dawna strefa „B", najbardziej strzeżona część jednostki. Po drodze będziemy mijać charakterystyczne drewniane wieże strażnicze, których jest tu naprawdę dużo. Widać, że część z nich na swoje potrzeby zaadaptowali myśliwi. Sam wlazłem na stado dzików, więc się nie dziwię. Po chwili dojdziemy do najważniejszej części dawnej jednostki – do stanowisk ogniowych oraz zrujnowanych zabudowań stacji naprowadzania. To właśnie tutaj rozciąga się „kleszczowe" królestwo. Kiedyś wokół stacji w sześciu ziemnych stanowiskach ulokowano gotowe do wystrzału rakiety. W samym budynku stacji znajdowały się stołówka i pomieszczenia do odpoczynku dla załogi, a także sala dowodzenia oraz „brudna" i „czysta" komora odkażania. Oprócz tego były tam miejsca, w których parkowano kabinę antenową, dowodzenia i rozdzielczą, a także wnętrza z częściami zapasowymi oraz elektrownią (agregaty polowe). Tego typu schrony były praktycznie identyczne w całej Polsce. Mieściły w sobie sześć pomieszczeń garażowych chronionych zwykłymi drzwiami z blachy, po których dzisiaj nie ma już śladu. W pierwszym pomieszczeniu znajdowała się kabina systemu dowodzenia „Wektor", w drugim pomieszczeniu, przy kabinie „U" siedział oficer naprowadzania, a także operatorzy ręcznego śledzenia, technik kabiny, żołnierz z baterii startowej i dowódca dywizjonu przy ruchomym wskaźniku stacji radiolokacyjnej. Wszystko to było połączone setkami metrów różnej grubości kabli i przewodów. Kabiny były mobilne po podłączeniu ich do samochodu typu „KRaz". Ze schronu biegły koncentrycznie przepusty kablowe do 6-ciu wyrzutni, które lokowano w odległości ok. 70-100 m. W części hermetycznej schronu było kilka pomieszczeń mieszkalnych i magazynowych oraz stanowisko dowodzenia dywizjonu ze zwykłym pleksiglasowym planszetem sytuacji powietrznej i centralką telefoniczną. Spotkałem się również z informacją, że w każdym garażu znajdował się drewniany pieniek z wbitą siekierą. Pewnie spytacie, po jaką chorobę. Otóż w razie pożaru należało siekierą odrąbać kable, a nie wyszarpywać ich z wtyczek. Natomiast kabiny należało wypchnąć na zewnątrz, choć właściwie wydaje się to niemożliwe. Jak zamierzano to zrobić, pozostaje tajemnicą dowódców naszej armii.

Schron naprowadzania był budowlą naziemną i nie miał żadnych pomieszczeń pod ziemią. W odległości ok. 200-300 m od niego, na specjalnie usypanej górce, znajdowały się stanowiska stacji radiolokacyjnych P-17 i wysokościomierza PRW-13, które zawsze stały na otwartym terenie, i były połączone przepustami kablowymi z głównym schronem stacji. Oprócz tego, w pobliżu schronu znajdowało się kilka prymitywnych schronów dla obsługi wyrzutni (najczęściej trzy). Te z Olszowej są bardzo prymitywnymi przysypanymi ziemią stanowiskami. Obecnie wszystkie pomieszczenia schronu stacji naprowadzania w lesie koło Olszowej są dostępne, ale popadają w stan coraz większej ruiny. Szkoda, bo niszczone w takim tempie za niedługo nie pozostawią po sobie śladu. Poruszając się po zabudowaniach stacji trzeba być niezmiernie ostrożnym, bo cóż tam nie leży... A do tego nie brakuje wnęk w podłogach, załamań, wystających drutów i wielu innych pułapek, towarzyszących zazwyczaj tego typu obiektom.

W każdej baterii zestawu „Wołchow" jednostka ognia składała się z 12 sztuk rakiet. W ciągu jednej minuty obsługa była w stanie wystrzelić dwie rakiety. Oprócz samych wyrzutni zestaw składał się ze stacji naprowadzania rakiet SNR-75 W, radiolokacyjnej stacji wstępnego poszukiwania P-18 i wysokościomierza PRW-13. Wszystkie te urządzenia znajdowały się w jednostce koło Olszowej. Rakiety transportowano na miejsce wystrzelenia za pomocą ciężarówek wyposażonych w przyczepy MMZ. Wyładowywano je za pomocą zaprojektowanych i produkowanych w Polsce dźwigów samobieżnych ŻSH-6,3. Montażu rakiet w ładunki dokonywano na specjalnych wózkach montażowych TST-115Je. W rejonach stałej dyslokacji baterii technicznej budowano magazyny do przechowywania gotowych rakiet, stanowiska do zbrojenia rakiet, stanowisko neutralizacji rakiet po zlaniu paliwa i utleniacza, a także stanowisko dowodzenia i ukrycia. W odległości mniej więcej kilometra od stanowisk bojowych znajduje się równie zrujnowany magazyn rakiet.

Sen o potędze...

W latach 90. zaczął się proces rozwiązywania dywizjonów, zwłaszcza „dużych", a pozostałe przenoszono w inne miejsca po przezbrojeniu ich w zmodernizowaną, mobilną wersję zestawów rakietowych „Newa". W ten sposób zrezygnowano ze stacjonarnej obrony strefowej. Rozpoczął się proces powolnego upadku jednostki w Olszowej, która w swoim kształcie była już niepotrzebna. Zmieniły się także priorytety polityczne, co miało niebagatelny wpływ na decyzję o jej likwidacji, a także na całą reorganizację polskich wojsk przeciwlotniczych. Na początku lat 90. dowódcą J.W. 1049 był kpt. Mizia. Oprócz niego służyli w niej wtedy kpt. Malinowski i sierż. Kęsicki.

Teren byłej jednostki wojskowej wykupiła krakowska firma, która ogłosiła, że ma zamiar zbudować tam centrum konferencyjne i wypoczynkowe wyposażone w basen, salon odnowy biologicznej, spa, budynek hotelu dysponujący 245 miejscami noclegowymi i parkingiem na 100 samochodów. W tym celu powstała nawet firma. Dla mieszkańców Olszowej byłaby to wielka szansa na przyszłość. Nic dziwnego, że radni gminy wyrazili zgodę na zmianę planów zagospodarowania przestrzennego tak, by mógł powstać planowany ośrodek. Mieszkańcy Olszowej jednak wątpią, czy planowana inwestycja kiedykolwiek dojdzie do skutku. Jak na razie mają rację. Obiekt byłej jednostki wojskowej, choć dozorowany wieje pustką i nic się tam nie dzieje. Podobno ciągle trwa faza projektowa. Oby nie chodziło tylko o to, o co w wielu tego typu przypadkach. O „wyciągnięcie" unijnych pieniędzy i nic więcej. A sama Olszowa... trochę Wam o niej opowiedziałem, ale to nie wszystko. Jest takie miejsce, które wręcz poraża swoją historią. Ale o nim, jeśli pozwolicie, opowiem Wam przyszłym razem. Cdn.

Przypisy:

[1] Później stosowano również nazwy Reichsautobahnlager, Judenlager, Judenlager-Arbeitslager i w końcu Zwangsarbeitslager (ZAL).

[2] Właściwie była to jedynie Grupa Bojowa „Krafft" (niem. Kampfgruppe „Krafft").

[3] Czasami podaje się 1649 rok.

[4] 3. BOPK stacjonowała w Warszawie, 4. BOPK w Gdyni, a 26. BOPK w Gryficach.

ZDJĘCIA: AUTOR, INTERNET: WWW.DOLNY-SLASK.ORG.PL, WWW.COMMONS.WIKIMEDIA.ORG, WWW.INFOWSPARCIE.NET/WRIA/

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

WYJĄTKOWA OFERTA

Serdecznie zachęcamy Państwa do prenumeraty „ODKRYWCY"!

- 12 wydań w cenie **147 zł**
(2 egz. gratis – płacisz za 10, a otrzymujesz 12 egz.)
- 6 wydań w cenie **73,50 zł**
(1 egz. gratis – płacisz za 5, a otrzymujesz 6 egz.)

Uwaga – cena zawiera 5% podatek VAT

Prenumerata zagraniczna jest droższa o koszty wysyłki i wynosi:

- półroczna, list zwykły – 107,50 zł
list priorytetowy – 137,50 zł
- roczna jest dwa razy droższa.

Uwaga – cena zawiera 5% podatek VAT

Dodatkowo,

- Dla WSZYSTKICH prenumeratorów oryginalny, unikatowy kalendarz „Odkrywcy" na rok 2014
- Dla pierwszych 10 prenumeratorów, którzy wykupią ROCZNĄ prenumeratę w grudniu br. mamy prezent – pendrive z kolekcji „Odkrywcy". Decyduje kolejność wpłat.

PRENUMERATA TO GWARANCJA:
- ❑ stałej, niższej ceny,
- ❑ dostawy do domu,
- ❑ dodatków i upominków.

PRENUMERATĘ ZAMAWIAMY:

PROSTO

dokonując wpłaty (wzór obok)

WYGODNIE

wysyłając sms o treści PREN na numer: 0501 675 126
My oddzwonimy i przyjmiemy zamówienie (koszt smsa wg Twojej taryfy)

dzwoniąc do działu prenumeraty pod numer 71 329 71 71

wysyłając faks z zamówieniem pod numer 71 328 83 71

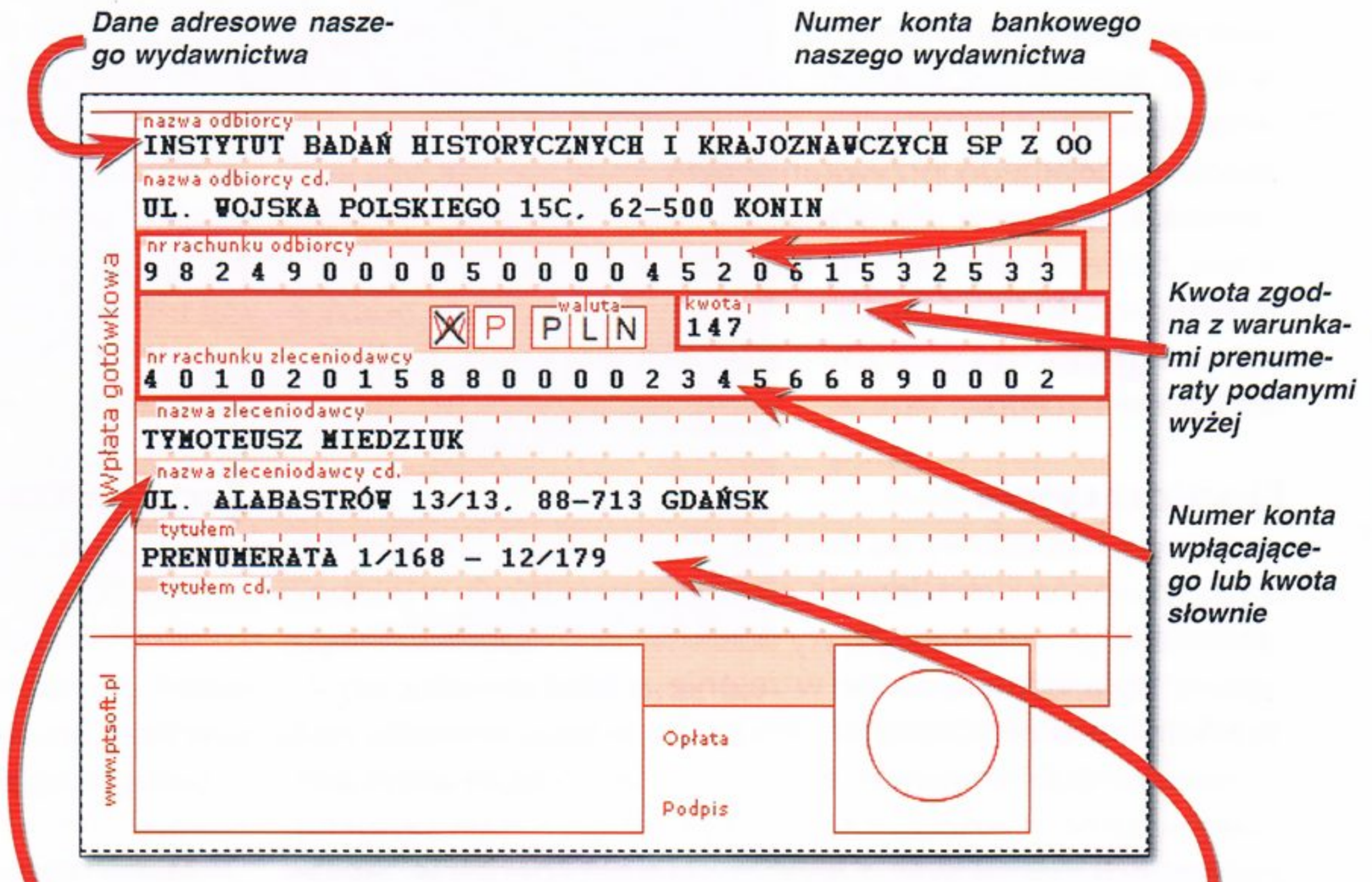

NOWOCZEŚNIE

zamawiając i opłacając bezpośrednio w wydawnictwie przez internet pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

zamawiając przez e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

DZIAŁ PRENUMERATY WYDAWNICTWA IBHiK

ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław
tel. 71 329 71 71
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

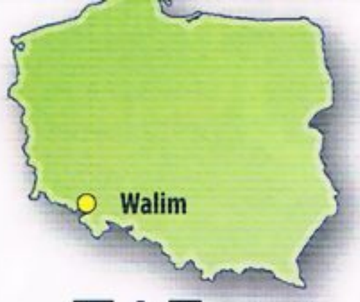

14-15 IX br. VI Zjazd Eksploratorów Walim 2013

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA
SKARBY · WOJNA · HISTORIA

W strugach „olbrzymiego" deszczu...

PIOTR MASZKOWSKI

To już szósty Zjazd Eksploratorów organizowany przez Sowiogórską Grupę Poszukiwawczą oraz Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu. Jak co roku na uczestników czekały atrakcje, z których chyba największą była możliwość zwiedzenia niedostępnego do niedawna odcinka podziemi kompleksu Soboń, do którego udało się dotrzeć na początku br.

Pogoda nie przeszkodziła w poszukiwaniach na zboczach Małej Sowy i testach aplikacji mobilnej.

Szyb prowadzący do podziemi Sobonia został zadaszony.

Każdy z dotychczasowych zjazdów na swój sposób zaskakiwał programem, umożliwiając uczestniczenie w akcjach eksploracyjnych przy kompleksach „Riese" – do tej pory zarezerwowanych dla nielicznych poszukiwaczy. Nie inaczej było i tym razem, choć tradycyjnie już, realizacja atrakcyjnego harmonogramu, ze względu na niesprzyjającą aurę, stanęła pod znakiem zapytania. Wszystko za sprawą deszczu, który praktycznie nieprzerwanie padał. Jednak już podczas oficjalnego przywitania było jasne, że pogoda ma niewielkie znaczenie dla uczestników, którzy zjechali w Góry Sowie z całej Polski. Minutą ciszy uczczono pamięć niedawno zmarłego Wojtka Stojaka, a chwilę później nastąpił podział uczestników na trzy grupy. Każdy mógł więc znaleźć dla siebie coś interesującego…

Eksploracyjnie

Masyw Małej Sowy od dawna wzbudza emocje wśród badaczy sowiogórskich tajemnic, z których część lokuje w jej zboczach kolejny, nadal nieodkryty obiekt „Riese". Hipotezom tego typu sprzyja odnajdywanie w rejonie artefaktów mogących świadczyć o prowadzonych tam pracach budowlanych. Jest to również dość dziewiczy eksploracyjnie teren, niezbyt popularny wśród poszukiwaczy. Dlatego też góra stała się areną pionierskich poszukiwań z wykorzystaniem specjalnie zaprojektowanej do tego celu aplikacji mobilnej. Kilkadziesiąt osób wyposażonych w detektory metalu przeczesywało wytyczone przez organizatorów sektory, każde zaś znalezisko oznaczane było przy pomocy smartfona wyposażonego w odbiornik GPS i przesyłane on-line na serwer, a następnie korelowane na wirtualnej mapie Małej Sowy. W efekcie udało się odnaleźć i oznaczyć na mapie kilkanaście ciekawych znalezisk.

Ekstremalnie

Dotarcie na początku br. do niedostępnego od końca wojny odcinka kompleksu Soboń, było efektem m.in. badań i odwiertów prowadzonych podczas dwóch poprzednich Zjazdów Eksploratorów. Podczas bieżącej edycji kilkudziesięciu uczestników otrzymało szansę na niecodzienne zwiedzanie tajemniczego korytarza. Chętnych na ten ekstremalny punkt programu nie brakowało, mimo znacznego stopnia trudności. Każdy śmiałek musiał bowiem opuścić się na linie, by choć na chwilę poczuć niezwykły klimat sztolni, którą do tej pory widzieli nieliczni. Stanowisko zjazdowe zostało oczywiście przygotowane profesjonalnie, gwarantując maksimum bezpieczeństwa i… minimum suchej przestrzeni, dzięki prowizorycznemu zadaszeniu chroniącemu przed deszczem oczekujących na swoją kolejkę. Każdy z powracających na powierzchnię oczarowany był klimatem swoistej kapsuły czasu, znajdującej się kilkadziesiąt metrów pod ziemią. Wkrótce szyb, niestety, zostanie trwale zaczopowany, była to więc praktycznie ostatnia okazja, by zobaczyć tę część podziemi Sobonia.

Turystycznie

Dla mniej zaawansowanych uczestników i rodzin z dziećmi została przygotowana zupełnie inna opcja. Zwiedzanie zamku Grodno, zapory na Jeziorze Bystrzyckim oraz pałacu w Jedlince. Zwieńczeniem pełnego wrażeń dnia, były prelekcje nt. kompleksów „Riese".

Drugi dzień Zjazdu upłynął pod znakiem mistrzostw w eksploracji, słynnej już loterii fantowej i oficjalnego pożegnania.

Mimo fatalnej pogody VI Zjazd Eksploratorów należy uznać za udany, choć z pewnością byłby o wiele przyjemniejszy, gdyby nie ciągle padający deszcz. Tego jednak nie da się do końca przewidzieć, dlatego na przyszły rok życzymy organizatorom lepszej aury, bo pomysłów na atrakcje zapewne nie zabraknie.

Organizatorzy pragną podziękować za udzieloną pomoc i wsparcie:
Zajazdowi „Hubert", Gminie Walim i Pałacowi Jedlinka,
Firmom: Maxam Polska, Talcomp Systemy Bezpieczeństwa, PGNiG S.A. w Warszawie, Unimark, Besel S.A., Regatta Polska Sp. z o.o.
a także patronom medialnym: miesięcznikowi „Odkrywca" i magazynowi „Wiedza i Życie – Inne Oblicza Historii".

ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI

MIEDNOJE – policyjny znak pamięci

Wyspa Stołbna na jeziorze Seliger, Monastyr Niłowa Pustelnia. Rok 2010. Kolekcja: OS Rodzina Policyjna 1939 r.

GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

Polski Cmentarz Wojenny w Miednoje położony jest ok. 30 km od Tweru, w pobliżu drogi do Petersburga, w miejscu, gdzie w sierpniu 1991 r. odnaleziono „doły śmierci" ze szczątkami Polaków zamordowanych wiosną 1940 r. w Kalininie (obecnie Twer). Zbrodni dokonano na mocy decyzji Biura Politycznego Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików Związku Radzieckiego z dnia 5 III 1940 roku.

Na obszarze o łącznej powierzchni 1,7 ha zlokalizowano 25 masowych grobów. Spoczywają w nich szczątki ponad 6 300 polskich jeńców wojennych z Obozu Specjalnego NKWD[1] w Ostaszkowie, którzy po 17 IX 1939 r. znaleźli się w niewoli sowieckiej.

Obóz w Ostaszkowie był największym obozem specjalnym podległym Zarządowi ds. Jeńców Wojennych NKWD. Był umiejscowiony na wyspie Stołbnyj na jeziorze Seliger w zabudowaniach poklasztornych Monasteru Niłowa Pustelnia – w odległości 11 km od Ostaszkowa – na północny-zachód od Tweru, przy linii kolejowej: Wielkie Łuki-Bołogoje, ok. 300 km od Moskwy. Komendantem obozu był mjr NKWD Paweł Borysowiec.

Od momentu utworzenia obozu, jesienią 1939 r., osadzono w nim 8 397 jeńców; w kwietniu 1940 r. (w czasie likwidacji) obóz liczył ok. 6 570 osób, w tym 400 oficerów.

Trafili tu – oprócz kilku tysięcy funkcjonariuszy Policji II RP[2] – żołnierze i oficerowie Korpusu Ochrony Pogranicza, Żandarmerii Wojskowej, funkcjonariusze Straży Granicznej i Straży Więziennej, a także uznani przez sowietów za szczególnie niebezpiecznych oficerowie polskiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. W ostaszkowskim obozie było również osadzonych kilkudziesięciu księży katolickich, prawników, junaków, osadników wojskowych i ziemian pochodzących ze wschodnich rubieży Rzeczypospolitej.

Akcja „rozładowania obozu", co w rzeczywistości oznaczało likwidację więzionych w nim jeńców, rozpoczęła się 4 IV i trwała do 19 V 1940 r. Odbyło się to na podstawie sporządzonych w Moskwie 65 list śmierci, na których znalazły się nazwiska 6 316 jeńców. Likwidacji uniknęło 127 osób, które trafiły do innych obozów. Obóz rozwiązano definitywnie w lipcu 1940 roku.

Jeńców z obozu ostaszkowskiego mordowano w budynku siedziby Obwodowego Zarządu NKWD w Kalininie. Kulisy i przebieg tej zbrodni ujawnił w obszernej relacji, złożonej wiosną 1991 r., ówczesny szef kalinińskiego NKWD – gen. mjr Dmitrij Tokariew. Z jego zeznań wynika, że bezpośrednich wykonawców mordu przysłano z Moskwy. Na czele grupy egzekucyjnej, która była kamuflowana jako oddział administracyjno-gospodarczy, stali funkcjonariusze NKWD: st. mjr Nikołaj Siniegubow, mjr Wasilij Błochin i kombryg. Michaił Kriwienko. Błochin nie tylko dowodził akcją mordowania polskich jeńców, ale pełnił również funkcję kata – najczęściej ofiary mordował osobiście.

Masowe groby – „doły śmierci" – po zakończeniu prac badawczo-ekshumacyjnych w lesie w rejonie wioski Miednoje. Rok 1995. Kolekcja: OS Rodzina Policyjna 1939 r.

Ze stacji kolejowej jeńcy byli przewożeni do siedziby NKWD w Kalininie. Z cel aresztu, wieczorem, prowadzono ich do tzw. „czerwonej świetlicy", gdzie raz jeszcze sprawdzano dane osobowe, a następnie do wygłuszonej wojłokiem celi aresztanckiej mieszczącej się w piwnicy budynku, w której dokonywano zabójstwa. Mordy trwały od zmierzchu do świtu. Funkcjonariusze NKWD swym ofiarom strzelali w potylicę używając do tego broni krótkiej produkcji niemieckiej – pistoletów „Walther". O świcie ciała ofiar ładowano na samochody ciężarowe i wywożono do wcześniej przygotowanych „dołów śmierci" w rejonie wsi Miednoje, na terenie leśnym należącym do NKWD. Miejsce to odizolowano na ponad 50 lat, jedynie właściciele posesji zbudowanych na „dołach śmierci" – „zasłużeni towarzysze" z NKWD – mogli przebywać na tym terenie.

W 1991 r. w ramach prowadzonego przez Naczelną Prokuraturę Wojskową Związku Radzieckiego śledztwa, w spra-

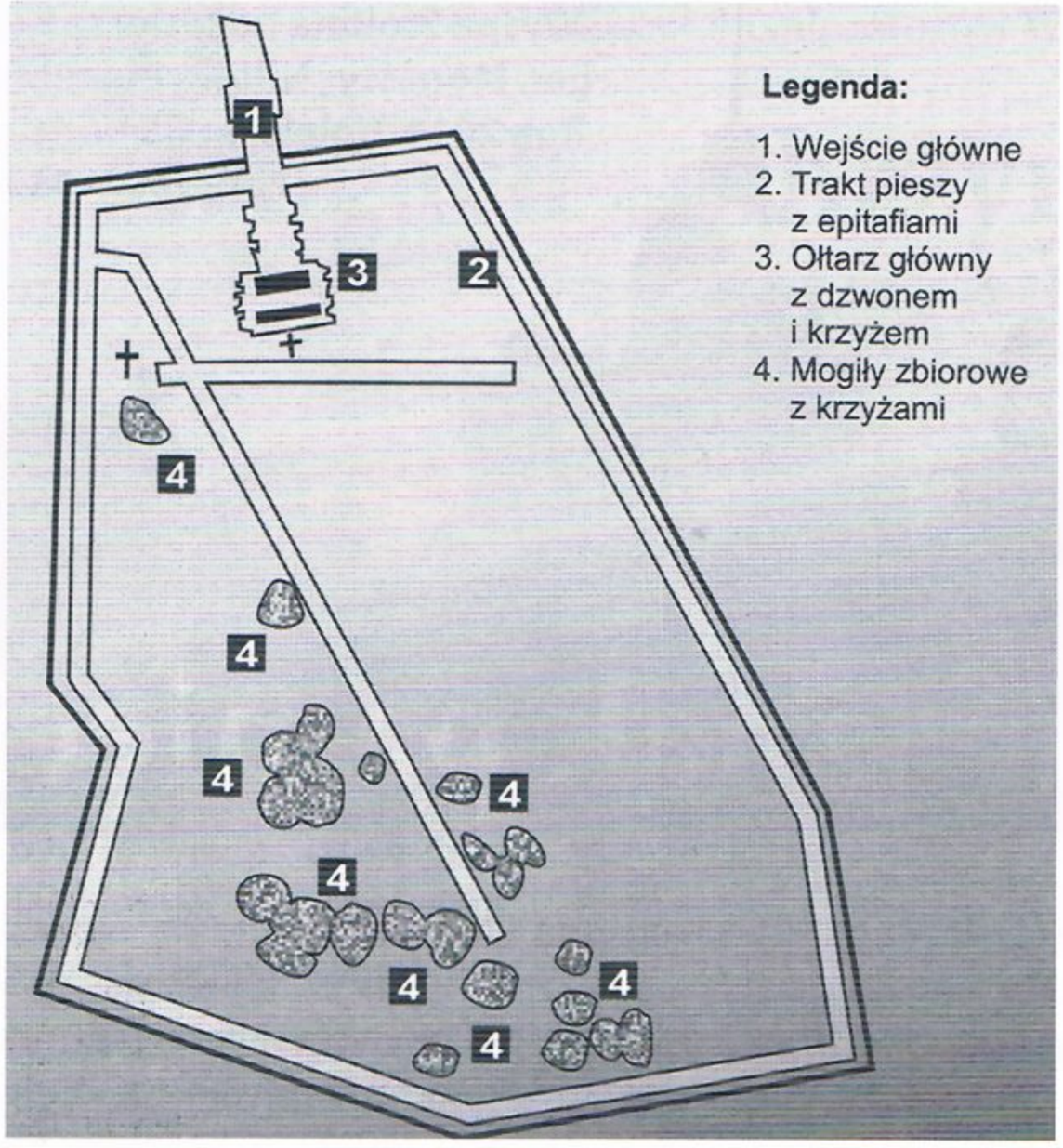

Szkic Polskiego Cmentarza Wojennego w Miednoje. Rok 2010. Źródło: ROPWiM.

wie ustalenia losu polskich jeńców wojennych, którzy w latach 1939-1940 trafili do sowieckiej niewoli i byli osadzeni w trzech Obozach Specjalnych NKWD: Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, na wskazanych terenach przeprowadzono prace badawczo-ekshumacyjne. Prowadzone w Miednoje, w latach 1991-1993 prace zaowocowały odnalezieniem masowych grobów ze szczątkami zamordowanych polskich jeńców wojennych. Dalsze badania, sondaże i prace ekshumacyjne prowadzone w latach 1994-1995, przez specjalistów Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (ROPWiM), pozwoliły na odkrycie i precyzyjne zlokalizowanie znajdujących się na wskazanym terenie wszystkich masowych grobów. W grobach odnaleziono szczątki ponad 6 tys. polskich jeńców wojennych z ostaszkowskiego Obozu Specjalnego NKWD.

Główna brama wejściowa na Polski Cmentarz Wojenny w Miednoje, w tle widoczny ołtarz. Rok 2010. Źródło: ROPWiM.

Prace ekshumacyjne przyniosły też wiele bardzo cennego materiału dowodowego w postaci rzeczy osobistych, odnalezionych przy szczątkach ofiar, w tym dokumentów i zapisków mówiących o ostatnich chwilach życia polskich jeńców wojennych. Wszystkie te przedmioty, po konserwacji, wzbogaciły ekspozycję Muzeum Katyńskiego będącego filią Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie oraz Izby Pamięci przy Zarządzie Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Rodzina Policyjna 1939 r. z siedzibą w Katowicach.

Przełomowy dla budowy Polskiego Cmentarza Wojennego w Miednoje był rok 1995. Wówczas to, 25 marca w Smoleńsku, w ramach uzgodnień polsko-rosyjskich, podpisano dokument o budowie Polskich Cmentarzy Wojennych w Miednoje i Katyniu. Elementem tegoż porozumienia była opracowana przez polskich geodetów mapa z wyrysowanymi granicami przyszłego Polskiego Cmentarza Wojennego na obszarze leśnym w rejonie Miednoje.

11 VI 1995 r. został uroczyście wmurowany akt erekcyjny i kamień węgielny pod budowę tej największej nekropoli katyńskiej.

W oparciu o wyniki prac sondażowo-ekshumacyjnych opracowano obszerną dokumentację specjalistyczną, na podstawie której ROPWiM rozpisała otwarty międzynarodowy konkurs na projekt zagospodarowania przestrzennego terenu

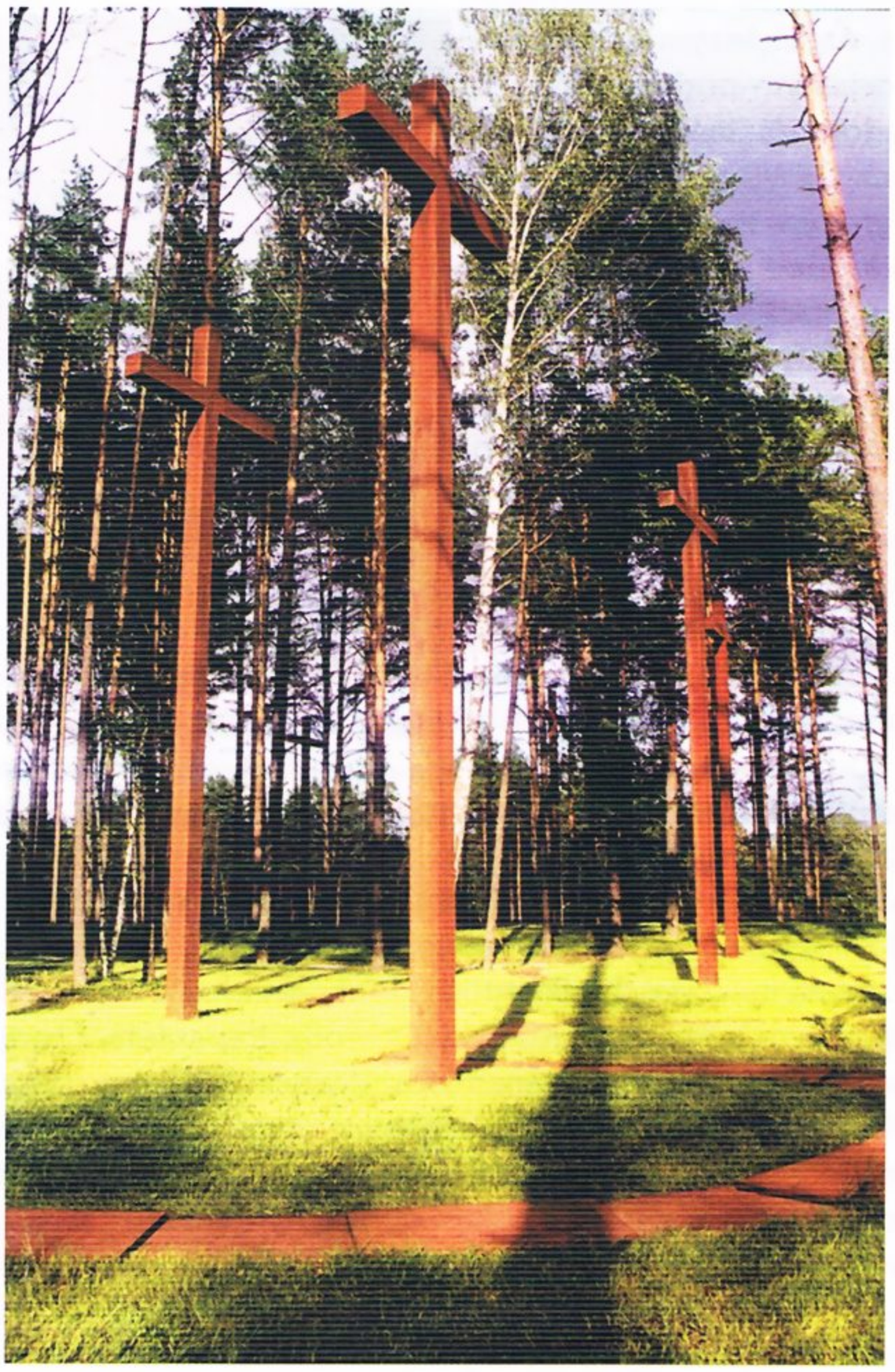

Krzyże 8-metrowe ustawione na masowych grobach na Polskim Cmentarzu Wojennym w Miednoje. Rok 2010. Źródło: ROPWiM.

Aleja na terenie Polskiego Cmentarza Wojennego w Miednoje z widocznymi imiennymi tabliczkami epitafijnymi. Rok 2010. Źródło: ROPWiM.

przyszłego Polskiego Cmentarza Wojennego. Jury konkursu, w skład którego weszli m.in. przedstawiciele Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Rodzina Policyjna 1939 r. oraz Federacji Rodzin Katyńskich, w październiku 1996 r. wybrało projekt autorstwa: Zdzisława-Pideki[3] i Andrzeja Sołygi[4]. Jego realizacja stała się możliwa po opracowaniu specjalistycznej dokumentacji uwzględniającej m.in. oczekiwania rodzin ofiar zbrodni, specyfikę terenu a przede wszystkim – po negocjacjach – uzgodnienia z przedstawicielami władz w Moskwie oraz Twerze. W wyniku niemal dwuletnich starań ówczesnego Rządu RP i ROPWiM polski inwestor otrzymał od władz rosyjskich zatwierdzoną dokumentację projektu, prawo dysponowania terenem oraz pozwolenie na budowę cmentarza.

Prace rozpoczęły się wiosną 1999 r. i trwały prawie rok. Na miejscu wykonywano prace ziemne, budowlane i montażowe, natomiast odlewy elementów rzeźbiarskich jak krzyże, tablice epitafijne itp. wykonano w Krakowie. Wszystkie elementy rzeźbiarskie zostały wykonane z żeliwa.

Centralnym elementem Polskiego Cmentarza Wojennego – podobnie jak w Katyniu i Charkowie – jest ołtarz stanowiący rodzaj otwartej kaplicy, na którą składają się: ściana z nazwiskami zamordowanych polskich jeńców wojennych, 9-metrowy centralny krzyż i podziemny dzwon – wszystko to usytuowane jest na wprost głównej bramy wejściowej na teren nekropoli. Przy głównej bramie umieszczono dwa obeliski z godłem RP. Za ołtarzem znajduje się 25 masowych grobów, na których postawiono wysokie, 8-metrowe stalowe krzyże.

Wokół cmentarza biegnie aleja, wzdłuż której ustawiono tabliczki epitafijne z danymi ofiar. Cmentarz jest ogrodzony, posiada infrastrukturę techniczną umożliwiającą właściwe użytkowanie obiektu. Został wybudowany dzięki staraniom i ze środków budżetowych ROPWiM. 28 VIII 2000 r. przekazany rosyjskiej Dyrekcji Kompleksu Upamiętniającego Miednoje, która na co dzień administruje i sprawuje opiekę nad tą polską nekropolią wojenną.

2 września 2000 r. Polski Cmentarz Wojenny w Miednoje został otwarty i poświęcony.

Funkcjonariusze Policji II RP zamordowani w Kalininie wiosną 1940 r. przez NKWD doczekali się wreszcie godnego pochówku. Polski Cmentarz Wojenny w Miednoje jest przejmującym znakiem policyjnej pamięci…

Przypisy:

[1] NKWD, Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR – centralny organ państwowy (ministerstwo) wchodzący w skład Rady Komisarzy Ludowych – rządu ZSRR. Pod tą nazwą istniał w latach 1917-1946. Zakres jego działalności zmieniał się na przestrzeni lat, początkowo NKWD zajmował się sprawami administracyjno-porządkowymi. Od 1934 rola komisariatu wzrosła po reorganizacji polegającej na wcieleniu do jego struktur OGPU i mianowania jego szefa Gienricha Jagody ludowym komisarzem spraw wewnętrznych (szefem NKWD), co było jednym z elementów przygotowań Stalina do Wielkiej Czystki lat 1936-1939. NKWD skupiło więc cały aparat represji policyjnych ZSRR – od milicji kryminalnej poprzez wywiad (INO) i kontrwywiad, wojska ochrony pogranicza, administracyjne sądownictwo doraźne (trójki NKWD), po system obozów koncentracyjnych i pracy przymusowej Gułagu. Komisariat nadzorował również lokalne instytucje rządowe. W 1946 przemianowany na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR. Na terenie całego kraju NKWD działał zarówno bezpośrednio, jak i przez komisariaty spraw wewnętrznych poszczególnych republik, będące jego filiami.

[2] W okresie międzywojennym na terytorium Polski funkcjonowały dwie formacje policyjne: Policja Państwowa (1919-1939) i Policja Województwa Śląskiego (1922-1939) działająca na terenie ówczesnego Województwa Śląskiego.

[3] Zdzisław Pidek (1954-2006) – polski rzeźbiarz, profesor ASP w Gdańsku. Brał udział w wielu wystawach i konkursach uzyskując liczne nagrody i wyróżnienia, m.in.: 1995 Międzynarodowy Konkurs na koncepcje Polskich Cmentarzy Wojennych w Katyniu, Miednoje i Charkowie. W 1997 Międzynarodowy Konkurs na upamiętnienie terenu byłego hitlerowskiego obozu zagłady Żydów w Bełżcu. W 2004 wraz Andrzejem Sołygą i Marcinem Roszczykiem otrzymali Nagrodę Specjalną za założenie pomnikowe na terenie byłego hitlerowskiego Obozu Zagłady w Bełżcu.

[4] Andrzej Sołyga – polski rzeźbiarz, pedagog. W latach 1981-2003 pracował w warszawskiej ASP. Członek Związku Polskich Artystów Plastyków.

Literatura:

1. G. Grześkowiak, „Grób Policjanta Polskiego. Geneza-Przesłanie-Symbolika", Katowice 2008
2. G. Jakubowski (pod red.), „Miednoje. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego" (Tom 1), Warszawa 2006
3. P. Majer, A. Misiuk (pod red.), „Losy polskich policjantów po 1 września 1939", Szczytno 1994
4. P. Majer, A. Misiuk (pod red.), „Ostaszków, Twer, Miednoje. Zbrodnia przypomniana", Szczytno 2000
5. M. Kania (pod red.), „Policjanci II RP – wierni do końca. Księga Pamiątkowa w dwudziestą rocznicę powstania Grobu Policjanta Polskiego w Katowicach 1993-2013", Katowice 2013
6. A. Misiuk (pod red.), „Lista Ostaszkowska. Studia i materiały", Szczytno 1993

Grzegorz Grześkowiak

Pasjonat historii Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska i Policji Województwa Śląskiego II RP. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Podziemia Gór Izerskich

Na tropie radonu

TOMASZ RZECZYCKI

Kopalnie cyny w północnej części Gór Izerskich kryją jeszcze niejedną tajemnicę. W czasie II wojny światowej Niemcy poszukiwali w nich śladów radioaktywności, prowadząc badania niemal do ostatnich dni przed wkroczeniem Armii Czerwonej. W czasach PRL porzuconymi wyrobiskami interesowała się Terenowa Obrona Przeciwlotnicza. W XXI w. pojawił się zupełnie inny pomysł ich wykorzystania…

Na zboczach Gór Izerskich opadających ku Pogórzu Izerskiemu rozciąga się, na linii zachód-wschód, złoże polimetaliczne. Przebiega ono od czeskiej miejscowości Nové Město pod Smrkem, przez Czerniawę-Zdrój (dzielnica Świeradowa-Zdroju), Krobicę, poniżej wioski Kotlina, potem przez Gierczyn aż po Przecznicę. Złoże liczy 35 km długości, jego miąższość wynosi od zaledwie 80 cm do 2 metrów. Przekładając to na język potoczny, możemy w pewnym uproszczeniu powiedzieć, że złoże przypomina na mapie wąską wstążeczkę. Jakby tego było mało, zapada się w kierunku północnym pod kątem od 60 do 80 stopni.

Zdążyć przed Armią Czerwoną

Co to oznaczało dla dawnych górników? Konieczność głębienia szybów, a później poziomych wyrobisk eksploatacyjnych, czasem o „skośnym" przekroju przypominającym niekiedy romb. Wykonywano też sztolnie odwadniające. Dawne sztolnie posiadają w przekroju poprzecznym wąski, wydłużony w osi pionowej kształt – rzec można, że „wrzecionowaty". Górnicy dbali, aby strop był jak najbardziej wąski. Omawiane złoże wypełnia łupek kwarcytowo-serycytowy zawierający m.in. śladowe ilości manganu i tytanu. Jednak metalami eksploatowanymi w złożu były przede wszystkim cyna oraz kobalt. Eksploatację rud cyny w rejonie Gierczyna i Krobicy rozpoczęto w XVI wieku. Tak przynajmniej wynika z dokumentów. Z biegiem lat powstało tu kilkadziesiąt małych kopalń. Największe efekty osiągnięto w XVI w. i mimo wielokrotnych prób wznawiania wydobycia, trwających z przerwami do połowy XIX w., nigdy nie osiągnięto już dawnej świetności.

W 1939 r., u progu II wojny światowej, Niemcy przystąpili do prac na dawno porzuconym złożu, odwadniając tam dwie stare kopalnie – „Hundsrücken" („Psi Grzbiet" koło Kotliny) i „Reichertrost" („Wielkie Pocieszenie" między Kotliną a Gierczynem). Przypuszczalnie powodem było zwiększone zapotrzebowanie na surowce strategiczne w obliczu przygotowań wojennych. Jak wynika z zeznań kierującego pracami dr. Putzera, początkowo celem odwodnienia dawnych kopalń była ocena radioaktywności wód kopalnianych. Nieprzypadkowo zainteresowano się tym obszarem, wszak w pobliskim Świeradowie-Zdroju i okolicach znajdują się wody radoczynne, czyli zawierające radioaktywny gaz radon. Czy Niemcy liczyli na to, że z izerskich złóż pozyskają uran potrzebny do skonstruowania broni o wielkiej sile zniszczenia? Wiadomo, że prace w dawnych kopalniach cyny prowadzono niemal do marca 1945 r., z czego wynika, jak wielkie przywiązywano do nich znaczenie.

Po wojnie ta część Gór Izerskich znalazła się w granicach Polski. Już od 1948 r. rozpoczęto rewizję starych złóż w Gierczynie i Przecznicy. W ciągu kilku lat przeprowadzono wstępne prace rozpoznawcze we wspomnianych, nieczynnych już kopalniach „Wielkie Pocieszenie" i „Psi Grzbiet" oraz w kopalni „Gierczyn", jak i w leżącej między Gierczynem a Przecznicą kopalni „Fryderyk Wilhelm". Ponadto w znajdujących się w Przecznicy kopalniach „Anna-Maria", „Trzech Braci" i „Susette".

Pismo do Batalionu TOPL

Początkowo celem było poszukiwanie miejsc występowania okruszcowania uranowego. Wynik mógł rozczarować, ale nie do końca. Nie stwierdzono co prawda mineralizacji uranowej, która bezpośrednio związana byłaby ze skałami, jednak w powietrzu znajdującym się w wyrobiskach, jak również w wodach wypływających ze sztolni, zauważono znaczną kumulację radonu. Mineralizacja uranowa w złożu Gierczyn została w 1950 r. uznana za nieperspektywiczną i nienadającą się do rozpoczęcia eksploatacji przemysłowej. Chociaż w gierczyńskiej rudzie zawartość uranu była mniejsza od 0,03%, czyli minimalnej wymaganej ilości, aby daną mineralizację zaliczyć jako punkt okruszcowania, to mimo wszystko został on formalnie udokumentowany. Dlaczego? Wynikało to ze specyfiki nagromadzenia minerałów kruszcowych w Gierczynie. Stwierdzono silne koncentracje radonu, które nie były współzależne ze znaną tam mineralizacją uranową. Uznano więc, że można spodziewać się istnienia nieznanych ciał rudnych zawierających w sobie uran, a występujących w pobliżu złoża rud cyny. Przypuszczano więc, że radon mógł przedostawać się do istniejących wyrobisk podziemnych gdzieś z głębi górotworu.

Informacje o prowadzonych pracach zamieściła regionalna prasa. W pierwszej połowie października 1957 r. wrocławskie „Słowo Polskie" w swym dolnośląskim wydaniu zapowiadało, że 1 I 1958 r. ma ruszyć eksploatacja w jedynej w kraju kopalni cyny w Gierczynie. Miała to być niewielka kopalnia obliczona na 4-5 letnią działalność, dająca 8400 ton cyny rocznie.

„Złoża cyny są tu bardzo nieregularne i nie układają się ani w pokłady, ani w żyły. Poza tym ruda cyny występuje w bardzo twardej skale i bardzo często układa się niemal pionowo. Zakłady górnicze w Gierczynie zatrudnią zaledwie sto kilkadziesiąt osób" – donosiła prasa. Płonne to były nadzieje. Kopalnia nie została uruchomiona, poprzestano jedynie na pracach rozpoznawczych.

Kilka lat później podziemia w Gierczynie brane były pod uwagę ze względów strategicznych. Może o tym świadczyć pismo Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego we Wrocławiu

z 16 I 1962 r. do Dowództwa Batalionu Specjalistycznego TOPL w Jeleniej Górze, podległego Dolnośląskiej Jednostce KBW. Otóż do Prezydium WRN we Wrocławiu, jakiś czas wcześniej, przyszło pismo informujące, że w obiektach podziemnych po byłych zakładach produkcyjnych z czasu II wojny światowej znajdują się zapasy materiałów wybuchowych i maszyny. Dokonano inwentaryzacji, m.in. w Baworowej, Leśnej, Kowarach, Miedziance i Gierczynie. W Gierczynie, w nieczynnej kopalni cyny, stwierdzono 1220 m chodników, 460 m wcinki, 320 m szybików, 70 m szybików wydobywczych, jak również urządzenia kolejki wąskotorowej i urządzenia odwadniające. Czy decydenci obawiali się, że materiały wybuchowe pozostawione w sudeckich podziemiach mogą wpaść w niepowołane ręce? Być może myślą przewodnią była chęć naprawienia wcześniejszej niegospodarności, czyli pozostawienie w sztolniach i kopalniach nieużytecznych w danym miejscu, lecz przydatnych w gospodarce narodowej materiałów i urządzeń.

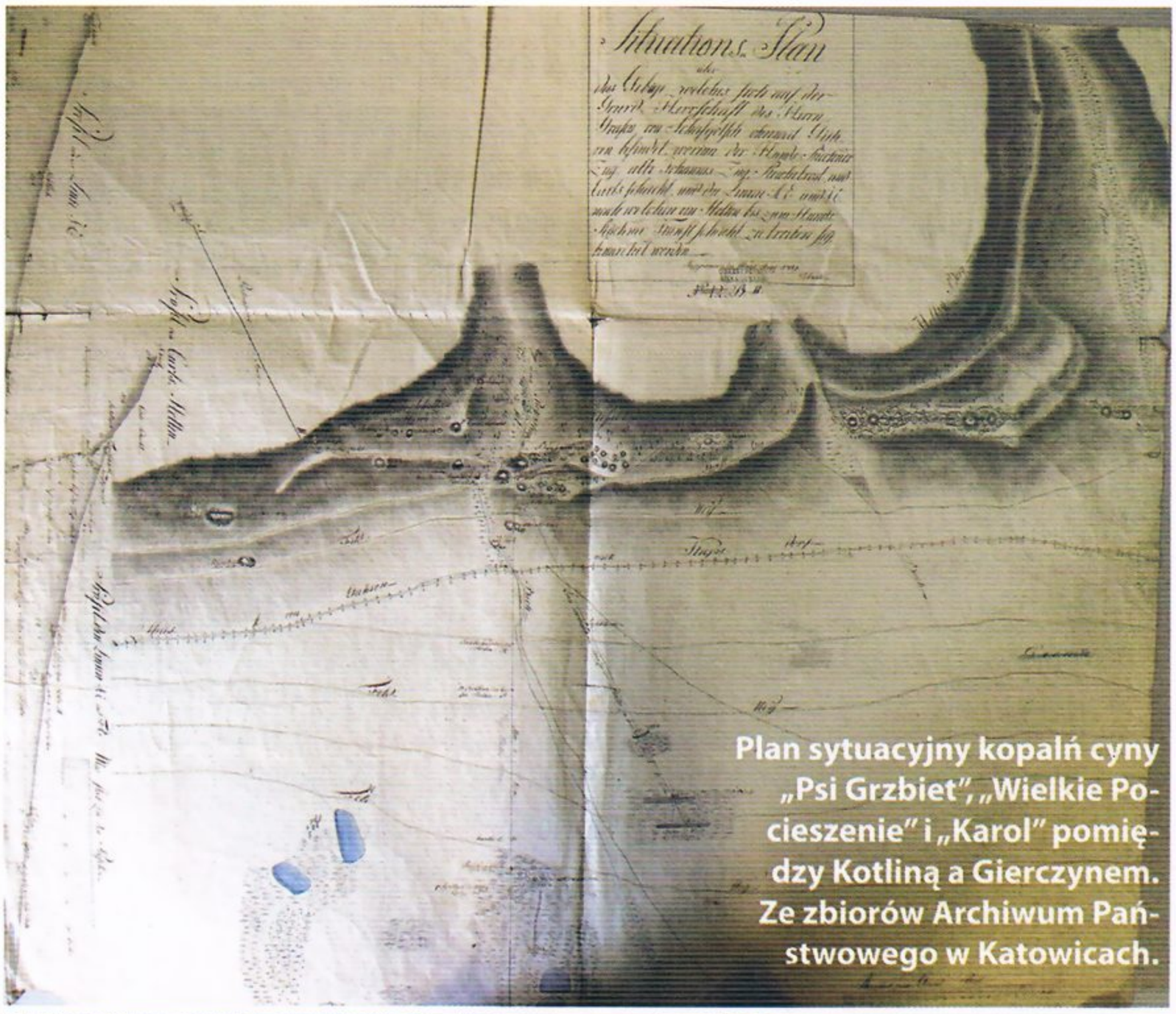

Plan sytuacyjny kopalń cyny „Psi Grzbiet", „Wielkie Pocieszenie" i „Karol" pomiędzy Kotliną a Gierczynem. Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Katowicach.

Bezpłatna kopalnia cyny w Krobicy

Na kilkadziesiąt lat dawne kopalnie cyny w Górach Izerskich poszły w zapomnienie. Ale o samym złożu cyny nie zapomnieli polscy naukowcy. W latach 1965-1974 kolejne badania geologiczne prowadził na tym terenie Oddział Dolnośląski Państwowego Instytutu Geologicznego. W 1979 r. zrodziła się koncepcja wybudowania dużej kopalni cyny. Eksploatacja miała być prowadzona na głębokości do 600 m, a planowane wydobycie szacowano od 0,5 do 2 milionów ton rudy rocznie. Pomysł nie doczekał się urzeczywistnienia. Pomimo tego różne badania geologiczne, mające na celu rozpoznanie złoża rud cyny, prowadzono do początku lat 90. XX wieku.

Fragment ścieżki turystycznej „Śladami dawnego górnictwa kruszców" w Górach Izerskich.

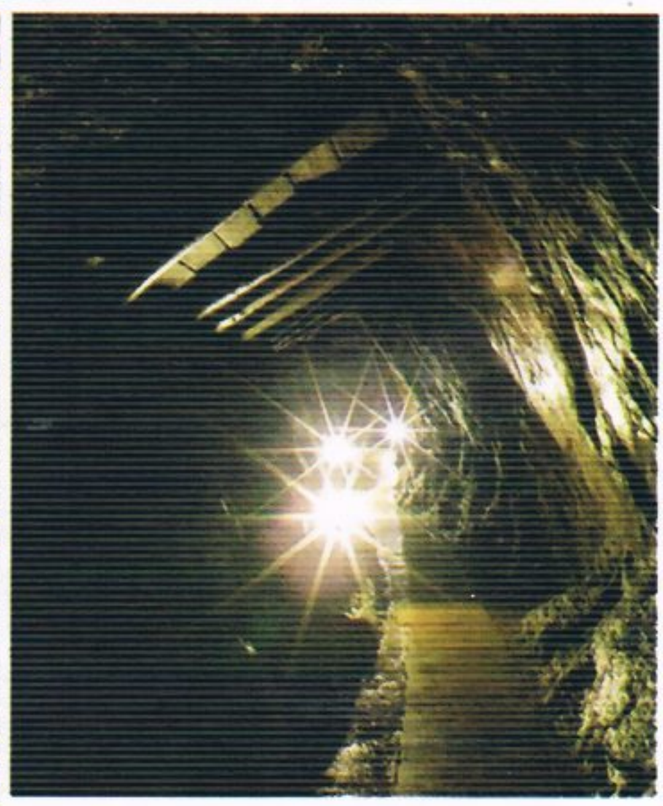

Pochyły chodnik eksploatacyjny w sztolni św. Jan w Krobicy. To efekt prowadzenia wydobycia zgodnego z przebiegiem złoża.

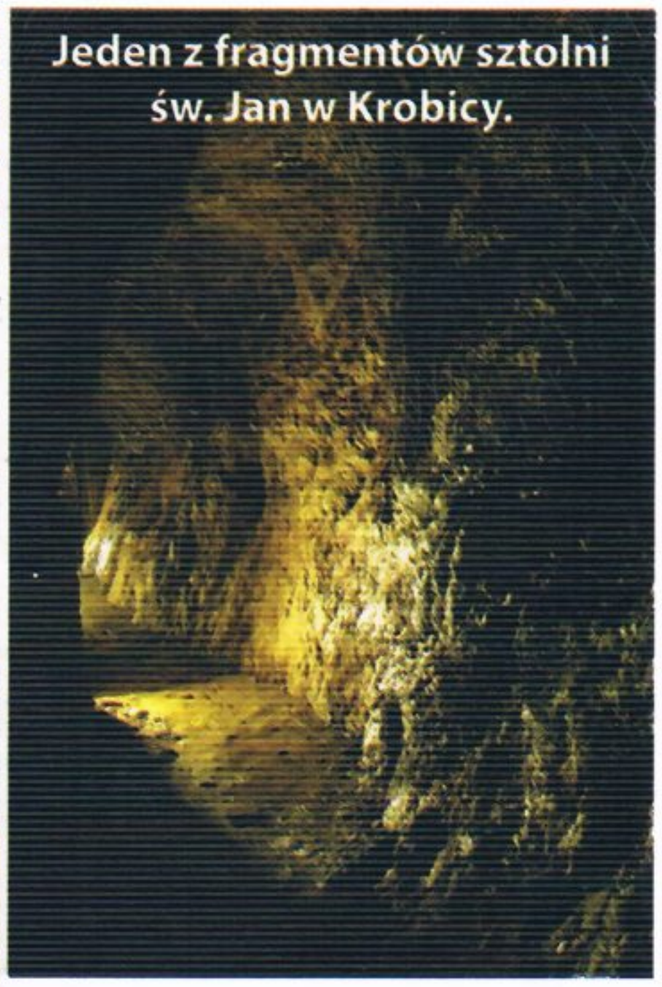

Jeden z fragmentów sztolni św. Jan w Krobicy.

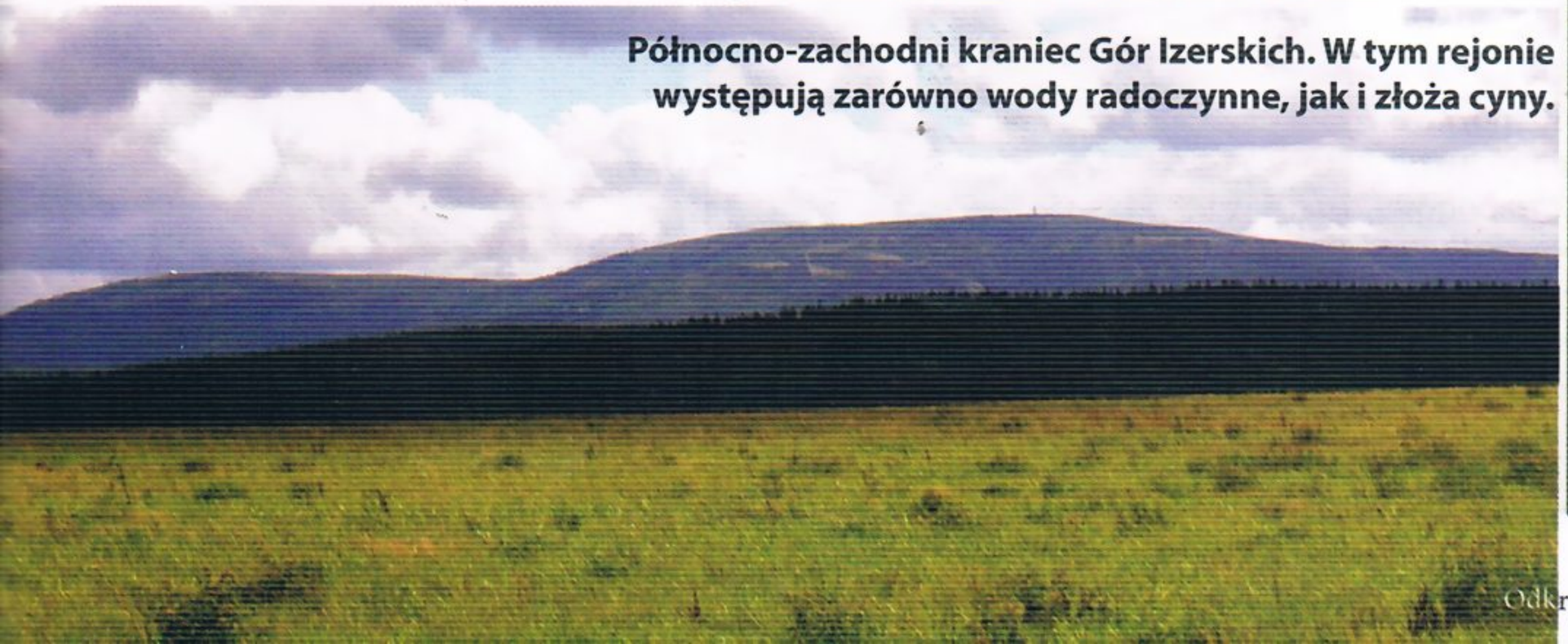

Północno-zachodni kraniec Gór Izerskich. W tym rejonie występują zarówno wody radoczynne, jak i złoża cyny.

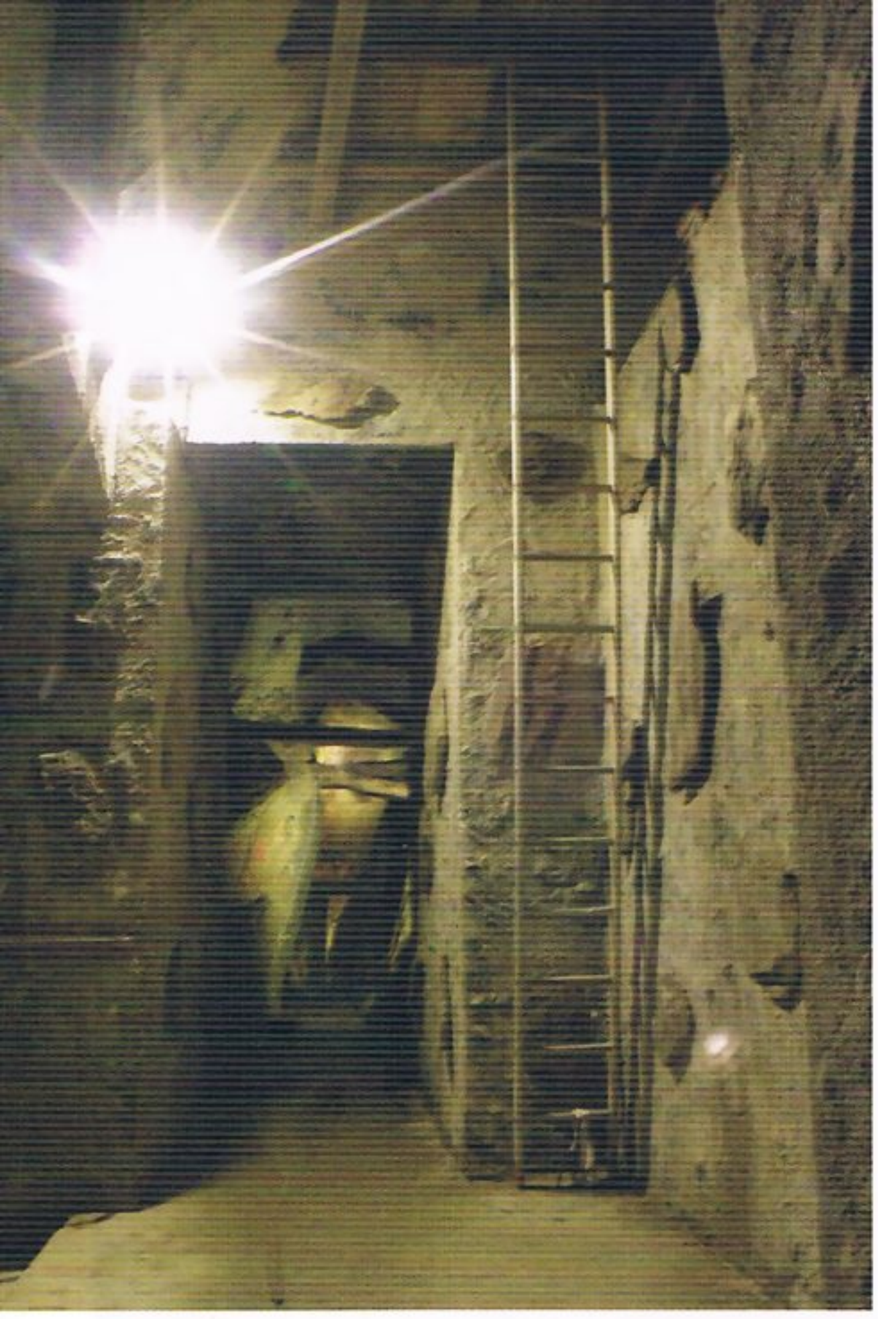

Drabinka ewakuacyjna prowadząca do rury wentylacyjnej z poziomu sztolni św. Jan.

W 1995 r. badania stanowisk dawnego górnictwa w tym rejonie rozpoczął Maciej Madziarz z Instytutu Górnictwa Politechniki Wrocławskiej. Ich efektem stało się kompleksowe rozpoznanie i zabezpieczenie szeregu historycznych wyrobisk górniczych między Krobicą a Przecznicą, przebadanie ich i utworzenie chronionych prawem stanowisk archeologicznych, i co najważniejsze – otwarcie w 2013 r. podziemnej trasy turystycznej, jednak w zupełnie innej kopalni niż te, o których była mowa powyżej.

Pomysł wykorzystania tych obiektów do celów turystycznych zrodził się w 2008 r. po IV Konferencji „Dziedzictwo i historia górnictwa oraz wykorzystanie pozostałości dawnych robót górniczych", zorganizowanej w Złotnikach Lubańskich. Właśnie wtedy M. Madziarz zaprezentował referat na temat stanu i możliwości wykorzystania pozostałości dawnych robót górniczych z okolic Gierczyna i Przecznicy. Sprawą zainteresowały się władze samorządowe gminy Mirsk, podejmując wszelkie możliwe działania w celu pozyskania funduszy, m.in. na rekultywację terenów pogórniczych. Konkretne prace rozpoczęły się 23 IX 2010 r. od przekazania placu budowy. Początkowo miały one charakter ratowniczych badań archeologicznych. Projekt nosił nazwę *„Rekultywacja obszarów zdegradowanych działalnością górniczą na terenie Gminy Mirsk z utworzeniem ścieżki turystycznej »Śladami dawnego górnictwa kruszców«"*.

Formalnie trasa podziemna „Kopalnia św. Jan" w Krobicy jest częścią ścieżki turystyczno-dydaktycznej „Śladami dawnego górnictwa kruszców" (Krobica-Gierczyn-Przecznica). „Kopalnia św. Jan", to nazwa współczesna, wywodząca się od dawnej kopalni „St. Johannes" działającej w tym miejscu. W skład udostępnionej turystom kopalni weszły: sztolnia św. Jan, sztolnia św. Leopold oraz łączący je pochyły szyb św. Jan. Pierwotnie szyb ten stanowił wyrobisko eksploatacyjne. Drążony był zgodnie z upadem złoża, stąd jego znaczne odchylenie od pionu. Natomiast sztolnia św. Jan została pierwotnie wydrążona w celu odwadniania złoża. Łączna długość wyrobisk udostępnionych zwiedzającym wynosi ok. 350 metrów. Położona wyżej sztolnia św. Jan pochodzi z XVI w., natomiast znajdująca się ok. 10 m niżej sztolnia św. Leopold – z XVIII wieku. Brak jest jakichkolwiek śladów prac poszukiwawczych rud uranu, jak również rud cyny, jakie przeprowadzano w tej okolicy w czasach PRL. Stan wyrobisk odpowiada rysunkom z połowy XIX wieku. Nie znaczy to, że poszukiwań uranu tu nie prowadzono. Być może ograniczono się tylko do rozpoznania szybu św. Jan, który, jak wynika z opowieści okolicznych mieszkańców, był częściowo drożny jeszcze w latach 80. XX wieku. W każdym razie geolog Erast Konstantynowicz, który w 1957 r. opisał stan rozpoznania łupków cynonośnych w Górach Izerskich, wspominał tylko o kopalniach w rejonie Przecznicy i Gierczyna, nic nie wspominając o kopalni koło Krobicy.

W ramach prac przy budowie trasy odkopano wylot sztolni św. Leopold oraz całkowicie zasypany szyb św. Jan. Obniżono nieco spąg w obu sztolniach, w celu zwiększenia ich wysokości, tak, aby swobodnie mogli poruszać się nimi turyści. Prócz tego przeprowadzono w wyrobiskach niezbędne przebudowy i prace zabezpieczające, a także wykonano drenaż odprowadzający wodę do pobliskiego strumienia podziemnym kolektorem. Przy wlocie sztolni św. Leopold zbudowany został przedsionek wejściowo-ekspozycyjny. Frontowa ściana przedsionka przypomina wyglądem mur oporowy wykonany z kamieni zabezpieczonych metalową siatką, czyli tzw. „gabiony". Na środku ściany znajduje się brama wejściowa. W przedsionku umieszczono reprodukcje historycznych map górniczych oraz oryginalnych rysunków technicznych maszyn i urządzeń górniczych kopalń rejonu Krobica-Gierczyn-Przecznica – ze zbiorów działu kartografii Archiwum Państwowego w Katowicach oraz z Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Wśród nich rary-

Odcinek sztolni św. Leopold w obudowie drewnianej...

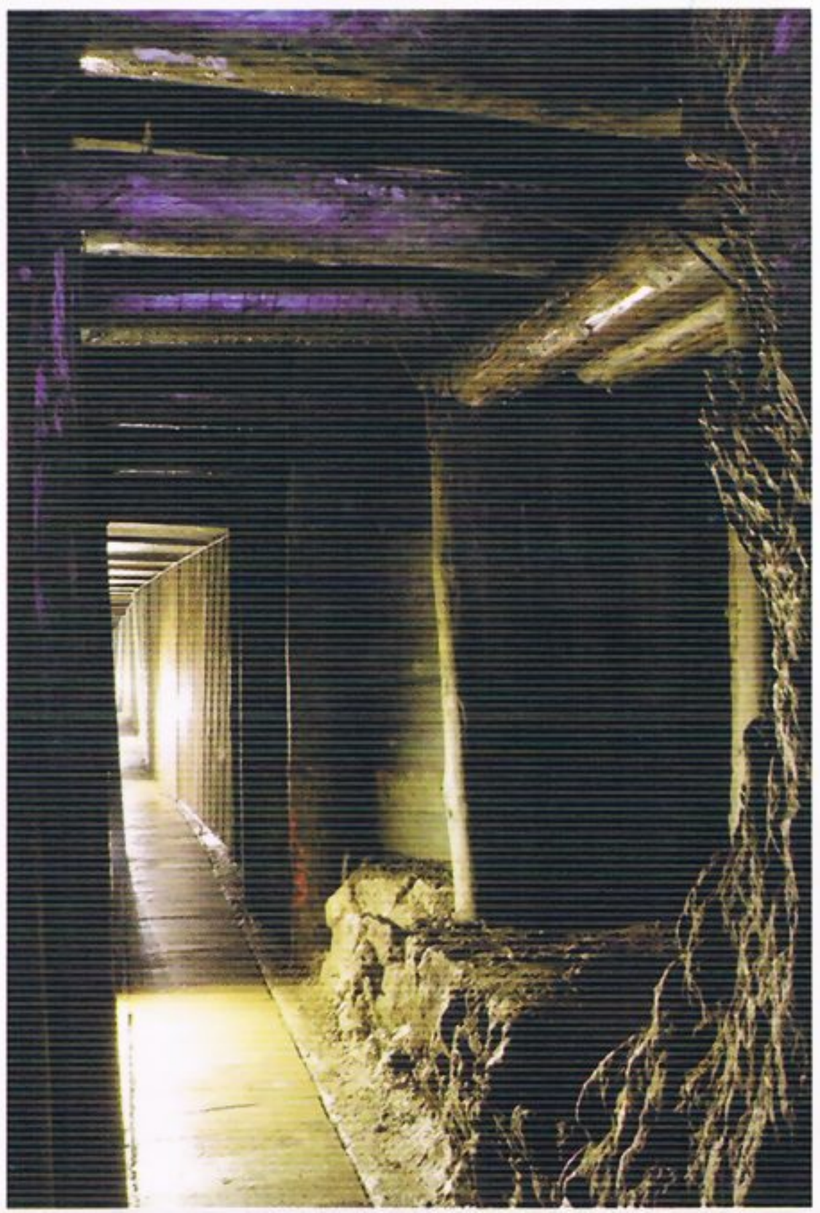

... i fragment sztolni w obudowie metalowej.

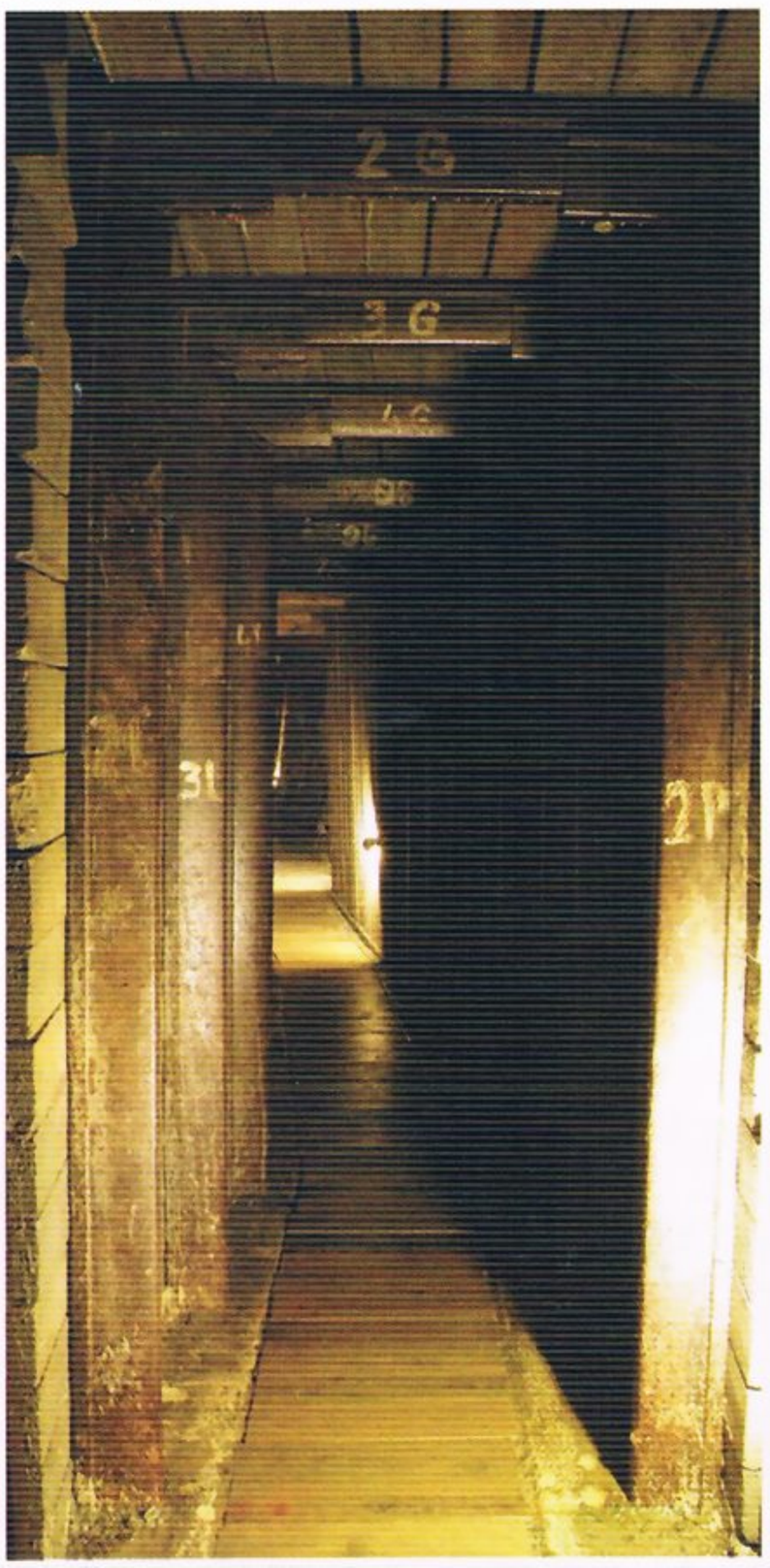

tasem jest plan wyrobisk „Grund- und Profil--Riss des Leopold-Stolln zu Krobsdorf, die von dem Fiscus in dem Jahren 1810 bis 1814 ausgeführten Versuchsarbeiten zur Gewinnung von Zinnerzendarstellend 1854" – czyli zespołu sztolni Rungego (św. Jan) i św. Leopold, pochodzący z roku 1854. Jest to jedyny znany i dostępny plan, co nie wyklucza, iż takowe mogą znajdować się w archiwach niemieckich we Freibergu czy w Bochum.

Początkowy odcinek dolnej sztolni św. Leopold, znajdujący się tuż za przedsionkiem wejściowym i biegnący płytko pod ziemią, zabezpieczono obudową torkretową, czyli wykonaną z betonu natryskowego, zbrojoną dodatkowo siatką stalową. W dalszej części dolnej sztolni zastosowano obudowę podporową drewnianą oraz na niewielkim odcinku stalową podporową. Zastosowano je w strefach zaburzeń geologicznych – uskoków, jak również w miejscu, gdzie sztolnia przebiega pod asfaltową drogą dojazdową łączącą Krobicę z Kotliną. Natomiast drewnianą obudowę osłonową założono tam, gdzie występowało zagrożenie odspajaniem się drobnych odłamków skalnych ze stropu lub ociosów wyrobisk. W górnej sztolni św. Jan oraz w szybie łączącym obie sztolnie zastoso-

Przedsionek wejściowo-ekspozycyjny do sztolni św. Leopold w Krobicy.

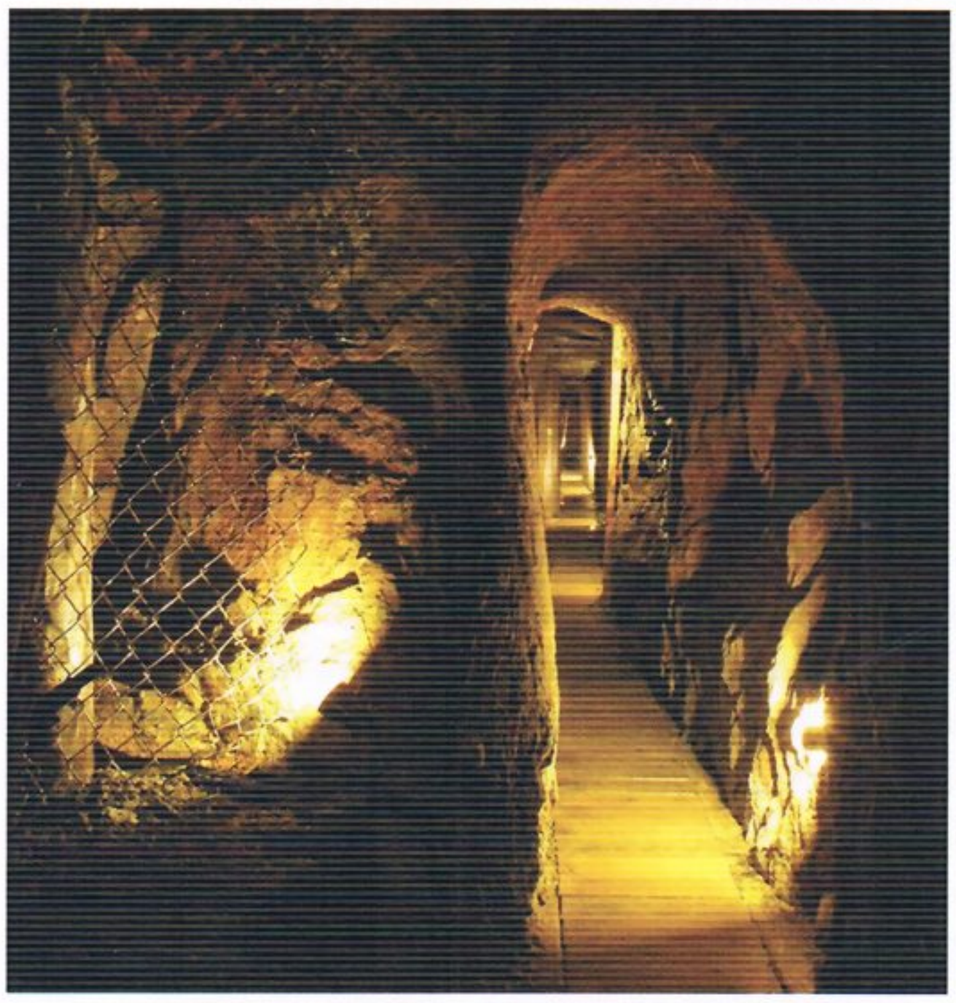

Boczna odnoga sztolni św. Leopold.

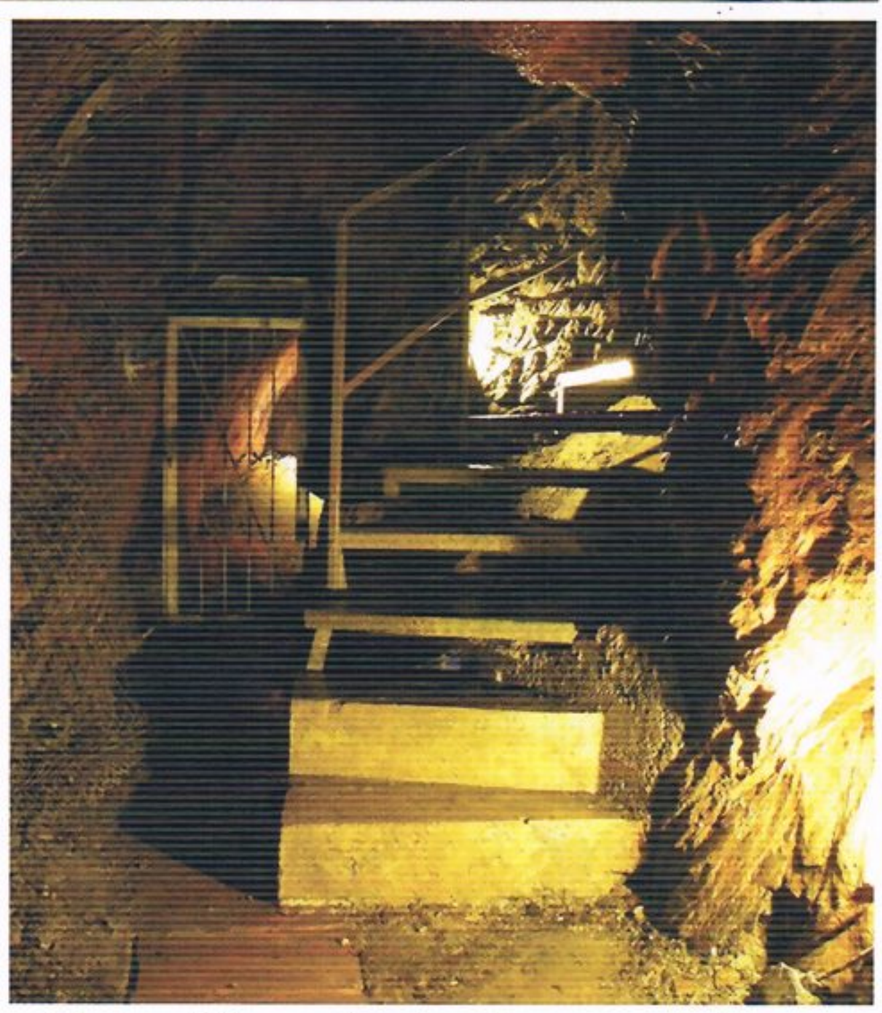

Podszybie szybu św. Jan na poziomie sztolni św. Leopold.

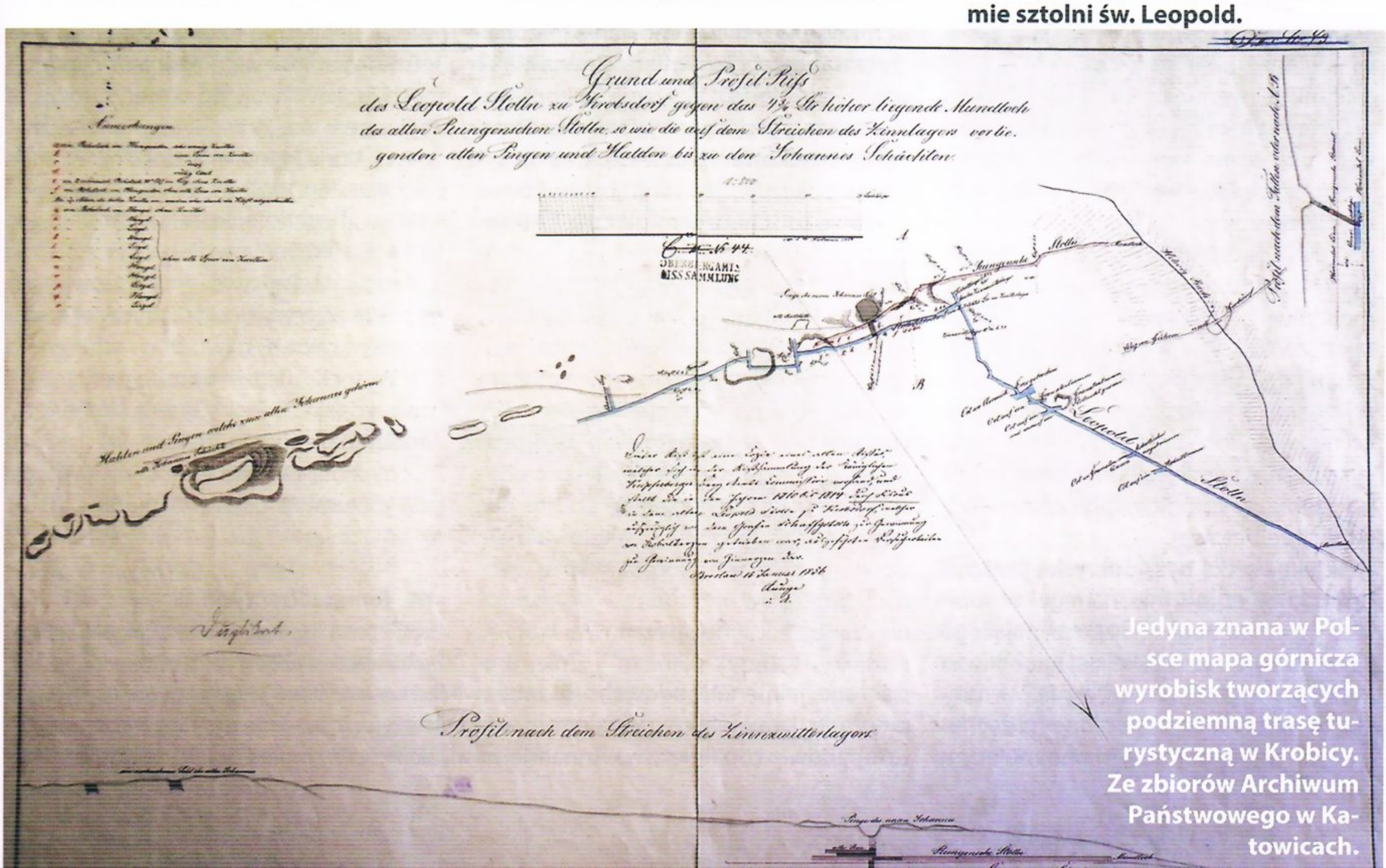

Jedyna znana w Polsce mapa górnicza wyrobisk tworzących podziemną trasę turystyczną w Krobicy. Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Katowicach.

wano głównie kotwy wzmacniające górotwór, miejscami wraz ze specjalną, górniczą metalową siatką zabezpieczającą. Łącznie obudowę metalową zastosowano na odcinku 28,5 m, natomiast drewnianą na 52 metrach.

W sumie trasa podziemna liczy około 350 m, z czego sztolnia św. Leopold – 230 m, szyb św. Jan – 10 m, a sztolnia św. Jan – 105 metrów. W najniższym punkcie wysokość trasy zwiedzania wynosi 160 cm, a w najwęższym miejscu – 60. Poza tym sztolnie mają wysokość do 180 cm i szerokość dochodzącą do 1 metra.

O ile obydwie sztolnie są bardzo wąskie, o tyle kontrastuje z nimi obszerny szyb, w którym zamontowano spiralne, metalowe schody. Szyb stanowi najstarszą część trasy podziemnej. To właśnie w jego miejscu rozpoczęto wybieranie złoża, początkowo na wychodni tuż pod powierzchnią. Podczas prac udostępniających przy budowie trasy podziemnej, gdy odkopano zawalisko górnego odcinka szybu, okazało się, że został po nim tylko wielki lej. W lepszym stanie zachował się odcinek szybu łączący obydwie sztolnie. Ponieważ wykonano go w strefie uskokowej, w łupkach, ze względów bezpieczeństwa usunięto zwietrzałą skałę aż do calizny. W wyniku tych działań szyb został znacznie poszerzony, a jego ściany zabezpieczono siatką metalową i kotwami.

W górnej części dawnego szybu, a więc między sztolnią św. Jan a powierzchnią, umieszczono rurę pełniącą funkcję wentylacyjną. Zabudowano w niej drabinkę rewizyjną, do której dostęp umożliwia przenośna drabina ze spągu sztolni św. Jan. Daje to możliwość użycia rury wentylacyjnej jako trzeciego, ewakuacyjnego wyjścia z podziemi. Nadszybie zabezpieczono siatką metalową z drobnymi oczkami. Zresztą obszerna komora na poziomie górnej sztolni, do której wchodzi się spiralnymi schodami, wyraźnie odbiega wyglądem od reszty wyrobisk. Widać, że wykonano ją sztucznie, w miejscu odkopanego leja po szybie, w formie współczesnej konstrukcji żelbetowej.

Ciekawostką było odkrycie, podczas odbudowy szybu, nieznanego wyrobiska podziemnego rozpoczynającego się w szybie na niewielkiej głębokości – około 5 m pod powierzchnią. Wyrobisko to nie zostało zaznaczone na zachowanym planie górniczym obejmującym również roboty z wieku XVI. Niewielkie wymiary przekroju poprzecznego wyrobiska i położenie płytko pod powierzchnią, wskazywały na związek z początkami robót górniczych w opisywanym rejonie. Wyrobisko zostało zbadane przez specjalistę w dziedzinie archeologii górniczej sprawującego nadzór nad całością prac.

Otwarcie trasy podziemnej dla zwiedzających nastąpiło w sobotę 27 VII 2013 roku. Tego dnia podziemną kopalnię cyny w Krobicy obejrzało 81 osób. Nazajutrz, w niedzielę 28 lipca, kopalnię zwiedziło już 149 turystów. Tak przynajmniej wynika ze statystyk prowadzonych przez gminę Mirsk. Zdaniem Macieja Madziarza, który tego dnia wraz z kolegami z Politechniki Wrocławskiej oprowadzał turystów, 28 lipca mogło kopalnię zwiedzić nawet ponad 300 osób. Organizator zwiedzania, czyli władze samorządowe Mirska, postanowił udostępniać podziemną trasę turystyczną jedynie w weekend, do końca października. Okazało się jednak, że po raz ostatni minionego lata turyści mieli możliwość zwiedzić kopalnię w sobotę 31 sierpnia br. Jak wynika ze statystyk prowadzonych w Mirsku, do tego czasu kopalnię zwiedziło 1728 osób. Dlaczego tak skrócono zwiedzanie? Od początku września, z uwagi na stanowisko Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w sprawie eksploatacji odcinka podziemnego, w trakcie zimowania nietoperzy trasa została zamknięta. Gmina Mirsk skierowała do RDOŚ opinię chiropterologa wraz z prośbą o wydanie zgody na dalsze użytkowanie obiektu. Cała ta sytuacja pokazuje, jak silne jest w Polsce środowisko chiropterologiczne, którego przedstawiciel – sprawujący nadzór przyrodniczy nad realizacją przedmiotowego Projektu, okazał się jednak być, wbrew powszechnie panującym opiniom, przychylny prowadzonym pracom ze względu na ich prośrodowiskowy charakter. W ramach działań kompensacyjnych, w zamian za możliwość udostępnienia do zwiedzania sztolni św. Jan – gdzie uprzednio znajdowało się udokumentowane siedlisko kilku cennych gatunków nietoperzy – oczyszczono i zabezpieczono specjalnymi kratami sztolnie „Fryderyk Wilhelm" i „Trzej Bracia", specjalnie odbudowano i zabezpieczono kamiennym portalem z kratą upadową kopalnię „św. Anna-Maria" w Przecznicy oraz jeden z szybów tej kopalni.

Fakt jest taki, że nietoperzy w krobickiej kopalni w 2013 r. nie ma, zresztą wejście, wyjście i szyb zostały zabezpieczone siatkami, które uniemożliwiają przedostanie się tych ssaków do kopalni. Kopalnia powinna być dostępna do zwiedzania przez cały rok. Zwłaszcza zimą, kiedy do pobliskiego Świeradowa-Zdroju zjeżdżają tłumy narciarzy.

Dalsze plany przewidują ustawienie przed wejściem do trasy podziemnej zrekonstruowanego na podstawie zachowanych rysunków urządzenia do odwadniania wyrobisk, czyli tzw. kunsztu. Średnica koła wodnego napędzającego urządzenie wynosić będzie aż 8 m, a kunszt, jak przed wiekami, będzie wypompowywać wodę z płytkiego szybu. Ale to są plany na przyszłość.

Dziękuję za pomoc i udzielone informacje p. Joannie Trudzińskiej z Urzędu Miasta i Gminy w Mirsku oraz p. Maciejowi Madziarzowi z Politechniki Wrocławskiej.

Źródła:
1. Archiwum Państwowe w Katowicach, zesp. 396 (Wyższy Urząd Górniczy w Katowicach), sygn. 1175
2. Archiwum Państwowe we Wrocławiu, zesp. 332 (Prezydium WRN Wrocław), sygn. II/281 (Sprawy obiektów podziemnych), k. 1-3 (Pismo z 16.01.1962)
3. E. Konstantynowicz, „Problem cynonośności łupków kwarcytowo-serycytowych z chlorytem w rejonie Gierczyna-Przecznicy" [w:] „Rudy i Metale Nieżelazne" nr 3, lipiec-wrzesień 1957, str. 69-76
4. „Słowo Polskie" [wyd. AB] nr 246 (3528), 13-14.10.1957, s. 6
5. Archiwum Państwowe w Katowicach, zesp. 396 (Wyższy Urząd Górniczy w Katowicach), sygn. 1183
6. T. Wysocki, „Będziemy zwiedzać zabytkową kopalnię" [w:] „Gazeta Wyborcza", Wrocław 1-2 grudnia 2012, str. 5
7. „Żyły złota Dolnego Śląska" [w:] „Gazeta Wyborcza", Wrocław 28 grudnia 2012, str. 11

Tomasz Rzeczycki
Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 6)

Kieszonkowa artyleria Regio Esercito

PIOTR GALIK

Regio Esercito, czyli królewska armia włoska co najmniej od czasów wojen o zjednoczenie tego państwa zaskarbiła sobie opinię zbliżoną do współczesnej polskiej reprezentacji futbolowej. Zaliczano ją zdecydowanie do militarnej „drugiej ligi", a mówiąc wprost – uznawana była za siłę zbrojną źle dowodzoną, słabo wyposażoną, nieodpowiednio wyszkoloną i pozbawioną ducha bojowego. W sztabach ówczesnej Europy krążyło nawet złośliwe porzekadło, że „Pan Bóg stworzył Włochów po to, aby nawet Austriacy mieli kogo bić"...

W rzeczywistości sytuacja nie przedstawiała się aż tak źle. Wprawdzie liniowa piechota włoska posiadała wszelkie wady formacji z poboru, w której służyli głównie rekruci oderwani obowiązkiem służby królewskiej od swoich rodzinnych gospodarstw, lecz włoskie oddziały wyborowe, jak strzelcy górscy (Alpini), piechota lekka (Bersalierzy), szturmowcy (Arditi) czy kawaleria, reprezentowały poziom nie gorszy, niż ich odpowiedniki w armiach innych mocarstw. Jednak podczas I wojny światowej przyszło im zmagać się nie tylko z jedną z lepszych armii tego okresu (tak! wbrew „szwejkowskiej" propagandzie armia austro-węgierska nie ustępowała w niczym pozostałym uczestnikom konfliktu) lecz także – a może przede wszystkim – z fatalnymi warunkami terenowymi i klimatycznymi.

Głównym bowiem obszarem działań zbrojnych Włochów pozostawał wysokogórski rejon pogranicza z Austro-Węgrami. W takim terenie obrońcy z natury rzeczy posiadają wielką przewagę nad atakującymi, a to właśnie armia włoska podejmowała działania ofensywne przeciwko swoim niedawnym sojusznikom.

Był to kolejny z czynników godzących w morale armii. Okazało się bowiem, że formalne przymierze z Berlinem i Wiedniem pozostaje dla Rzymu jedynie martwą literą. *Sacro egoismo nazionale* – „święty egoizm narodowy", wyniesiony do rangi naczelnej zasady polityki Italii, oznaczał zatem uszczerbek na honorze armii, bo czymże innym mogło być w świecie ówczesnych wartości nie tylko niewywiązanie się z sojuszniczych zobowiązań (odmowa włączenia się do wojny w 1914 r.), ale wręcz otwarta zdrada – przyłączenie się do koalicji wrogów już niespełna rok później... Warto dodać, że w zamian za odstępstwo od sojuszników Włochy uzyskały stosunkowo niewielkie nabytki w powojennym „nowym rozdaniu", gdy mocarstwa porządkowały powojenną Europę. Frustracja narodowa, jaką wywołały decyzje traktatu wersalskiego z 1919 r., przyniosła Włochom okres niepokojów społecznych zakończony triumfem faszyzmu, to jednak jest już zupełnie inna opowieść...

Sześciostrzałowa „jagnięca nóżka"

Zjednoczone ostatecznie dopiero w roku 1871 Królestwo Włoskie posiadało znaczny potencjał militarny, jednak relatywna słabość gospodarki utrudniała modernizację armii. Na szczęście północne rejony kraju odziedziczyły po panowaniu habsburskim stosunkowo nowoczesny przemysł, obejmujący także zakłady zbrojenio-

Rewolwer Bodeo w wersji oficerskiej (z kabłąkiem spustowym) i jego odmiana dla podoficerów – ze złożonym spustem.

we. Kolonialne apetyty Rzymu pragnącego zdobyć zamorskie posiadłości nie tylko z powodów ekonomicznych, ale także prestiżowych („prawdziwe" mocarstwo powinno mieć kolonie!), sprzyjały inwestycjom w siły zbrojne. Opracowywano zatem nowe typy uzbrojenia, starając się nawiązywać do ówczesnych wiodących konstrukcji.

W dziedzinie krótkiej broni palnej takim właśnie owocem rodzimej myśli konstruktorskiej stał się rewolwer, oficjalnie określany terminem Pistola A Rotazione Modello 1889. Potocznie broń ta nazywana była Bodeo M1889 dla upamiętnienia przewodniczącego państwowej komisji ds uzbrojenia, Carlo Bodeo, który zadecydował o wyborze tego typu jako broni służbowej włoskich sił zbrojnych. Rewolwer M1889 nie wyróżniał się niczym rewolucyjnym, był konstrukcją raczej przeciętną, ale solidną i niezbyt awaryjną. Gdy

W latach powojennych rewolwery wypierane były przez kolejne wersje pistoletów Beretta, jednak w wielu formacjach przetrwały jeszcze długie lata. Na fot. widoczny jest Bodeo, jako uzbrojenie żołnierza oddziałów kolonialnych w Abisynii.

Archaiczny Bodeo cieszył się uznaniem doświadczonych frontowców, zwłaszcza, że w porównaniu z lichym pistoletem Glisenti okazał się bronią niezawodną.

w 1891 r. rozpoczął swoją militarną karierę, trudno było podejrzewać, że pozostanie w służbie przez ponad pół wieku. Broń wykorzystywała rodzimą amunicję kalibru 10,35×19R Ordinanza Italiana, a jej bęben mieścił 6 takich nabojów. Stały szkielet i brak mechanizmu wychyłu bębna sprawiał, że każdą komorę trzeba było ładować lub rozładowywać osobno, pokręcając bębnem przy kurku w pozycji półnapiętej i wykorzystując prętowy wyrzutnik do usuwania łusek. Rozwiązanie takie, choć radykalnie upraszczało konstrukcję, zdecydowanie utrudniało obsługę broni, zwłaszcza w warunkach bojowych. Nie wydawało się to jednak szczególnym problemem, jako że – wzorem wielu innych armii – Włosi uważali broń krótką raczej za symbol statusu dowódcy, niż rzeczywiste narzędzie walki. Podziały kastowe w armii sprawiły nawet, że rewolwer Bodeo produkowany był w dwóch głównych odmianach – podoficerskiej i oficerskiej. Pierwsza z nich:„tipo da truppa" (lub „tipo A") wyróżniała się graniastą (ośmiokątną) lufą oraz brakiem kabłąka spustowego, a do tego osobliwym mechanizmem pozwalającym na złożenie języka spustu ku przodowi. Zapewne chodziło o uzyskanie dodatkowego zabezpieczenia przed przypadkowym wystrzałem, jako że Bodeo, jak przystało na „rasowy rewolwer", nie miał mechanicznego bezpiecznika. Taka koncepcja okazała się oczywiście ślepą uliczką w konstrukcji broni palnej i nie znalazła zbyt wielu naśladowców. Odmiana oficerska „tipo da ufficiali" (lub „tipo B") posiadała lufę o zewnętrznym przekroju okrągłym, wyposażona została także w kabłąk spustowy i nie posiadała możliwości składania języka spustowego. Obie wersje

We włoskich oddziałach konnych skórzany futerał rewolweru M1889 mocowany był do naramiennego pasa, opatrzonego kieszonkami na naboje.

dysponowały mechanizmem podwójnej akcji kurka, czyli popularnym samonapinaczem, pozwalającym na oddanie strzału po uprzednim manualnym odciągnięciu kurka lub bez wykonania tej czynności, dzięki dłuższej drodze języka spustowego. Mimo archaicznego wyglądu i niedogodnej obsługi rewolwer Bodeo, przezwany z racji kształtu rękojeści „coscia d'agnello" (nóżka jagnięcia), zyskał uznanie użytkowników, a podczas Wielkiej Wojny okazało się, że rodzime wytwórnie (Regia Fabbrica d'Armi di Brescia, Societa Siderurgica Glisenti, Castelli of Brescia, Metallurgica Bresciana, Vincenzo Bernardelli i Pietro Beretta) nie nadążają za potrzebami armii. Zlecono zatem produkcję licencyjną firmie Erasti & Arrostegui w neutralnej Hiszpanii. Powstawały tam także egzemplarze broni o szkielecie wykonanym z mosiądzu, zamiast ze stali. Mimo opracowania nowszych typów broni krótkiej, „jagnięcą nóżkę" produkowano do 1931 r., a w użyciu, jako broń wojskowa, pozostała aż do końca II wojny światowej.

„Prawie jak Parabellum", czyli nieudana przymiarka...

Przełom XIX i XX w. był czasem powstania i rozkwitu nowego typu krótkiej broni palnej – pistoletu automatycznego. Także we Włoszech podjęto próby opracowania nowoczesnego odpowiednika, przyjętych do uzbrojenia w innych krajach, konstrukcji tej klasy. Już w 1903 r. Bethel Abiel Revelli rozpoczął prace zmierzające do powstania pierwszego nowoczesnego włoskiego pistoletu. W 1906 zaprezentował wojsku i producentom (zakładom Societa Siderugica Glisenti w Turynie) pistolet półautomatyczny, dostosowany do amunicji kalibru 7.65×22 mm i zasilany z pudełkowego magazynka umieszczonego wewnątrz chwytu. W 1908 r. wykonano serię próbną tej broni. Glisenti M1906 nie zachwycił jednak potencjalnych użytkowników. Armia zakwestionowała zbyt mały kaliber broni. Zażądano dostosowania pistoletu do standardu amunicji 9×19 mm Parabellum. Poprawiona wersja broni nazwana została Glisenti M1910. Niestety, konstrukcja dość skomplikowanych mechanizmów i szkieletu pistoletu nie była w stanie wytrzymać obciążeń wywoływanych użytkowaniem standardowych nabojów Lugera. Wprowadzono więc do produkcji celowo osłabione naboje 9×19 mm Glisenti, których mniejszy ładunek prochowy zapewniał bezpieczeństwo użytkownikom broni, jednak oznaczał gorsze własności balistyczne i siłę rażenia.

Rozwiązanie to, noszące znamiona prowizorki, powodowało poważne ryzyko, gdyż ze względu na zbliżone gabaryty nabojów możliwe było omyłkowe załadowanie M1910 nabojami Parabellum, co w razie strzału groziło zniszczeniem broni i zranieniem jej użytkownika.

Z tego powodu w roku 1912 opracowano poprawiony, a przede wszystkim wzmocniony typ pistoletu, nazwany Brixia M1913. Siły zbrojne nie uznały jednak zmian za dostateczne i odmówiły zastąpienia świeżo standaryzowanego pistoletu zupełnie podobnym modelem. Wyprodukowane w firmie Metallurgica Brescia egzemplarze trafiły głównie na rynek cywilny, a włączenie się Włoch

„Prawie" robi wielką różnicę... Pistolet Glisenti M1910 był na pierwszy rzut oka podobny do popularnego i cenionego przez użytkowników Lugera. Niestety, różnił się od pistoletu Parabellum zdecydowanie na swoją niekorzyść. I nie chodziło tylko o wygląd, lecz przede wszystkim cechy praktyczne...

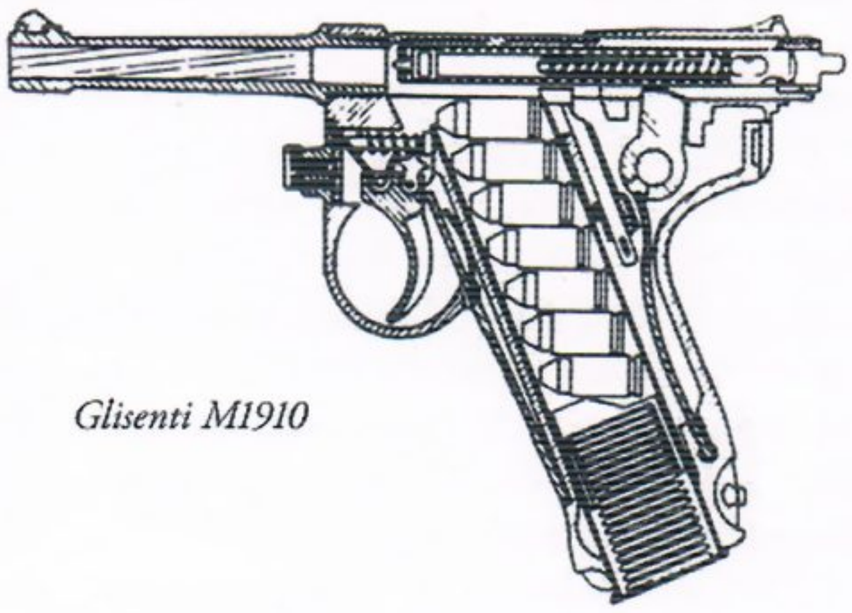

Glisenti M1910

do działań wojennych w 1915 r. wymusiło znacznie radykalniejsze kroki, czyli poszukiwania zupełnie nowego typu pistoletu oraz import broni z Francji i Hiszpanii. Niestety, sprowadzane z zagranicy pistolety typu Ruby okazały się nieporozumieniem, ustępując nawet feralnemu M1910. Regulaminowy Glisenti pozostał w produkcji do początku lat 20. XX wieku.

Udany strzał Pietro Beretty

Niepowodzenie pistoletu Glisenti zachęciło do akcji konkurencję. Wśród włoskich producentów broni wyróżnił się wówczas Pietro Beretta, prowadzący rodzinną wytwórnię strzelb myśliwskich. Zagwarantował on siłom zbrojnym, że jeśli otrzyma rządowe dotacje, będzie w stanie wyprodukować nowoczesny typ pistoletu służbowego dla wojska. Zdesperowani niezaspokojonymi potrzebami armii decydenci przyjęli tę ofertę. Pietro Beretta zlecił prace konstrukcyjne TulioMarengoniemu, który początkowo postanowił opracować broń dostosowaną do nabojów sprawdzonego i popularnego typu 7,65 mm Browning. Zmuszony był jednak wykorzystać nieudaną amunicję kalibru 9×19 mm Glisenti, gdyż wycofanie jej z produkcji i zastąpienie innym standardem w warunkach wojennych było wykluczone. Postanowił zatem dopracować mechanizm pistoletu tak, by wykorzystać do maksimum możliwości słabych nabojów.

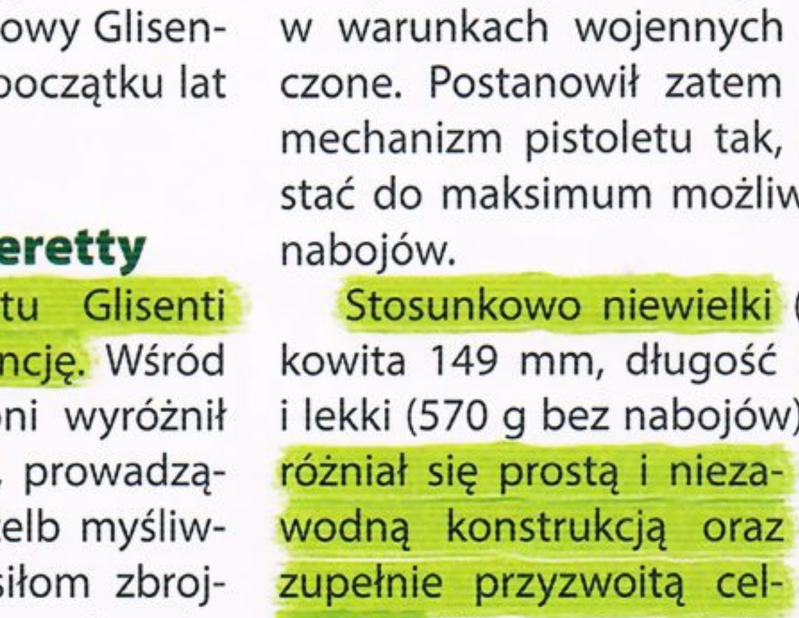

Beretta M1915

Schemat konstrukcyjny pistoletu Beretta M1915.

Stosunkowo niewielki (długość całkowita 149 mm, długość lufy 85 mm) i lekki (570 g bez nabojów) pistolet wyróżniał się prostą i niezawodną konstrukcją oraz zupełnie przyzwoitą celnością. Warto dodać, że Glisenti M1910 z racji skomplikowanego mechanizmu utrudniał prawidłowe „wyczucie" momentu odpalenia, co bardzo przeszkadzało w celnym strzelaniu. Defekt ten nie występował w przypadku broni z fabryki Beretty. Pistolet Marengoniego, nazwany Beretta M1915, zyskał zatem aprobatę władz wojskowych i rozpoczęto jego seryjną produkcję. Wkrótce nowa kon-

We włoskich siłach zbrojnych stosowano kilka odmian futerałów pistoletu Glisenti, zarówno standardowych, przypinanych do pasa głównego, jak i „kawaleryjskich"z praktycznym pasem naramiennym.

Pierwsza bojowa Beretta po częściowym rozłożeniu, w porównaniu z pistoletem M1910 uderza prostota i swoista elegancja tej konstrukcji…

strukcja stała się podstawowym typem broni używanej na froncie. Właściwie należy przyznać, że był to raczej wynik beznadziejnej konkurencji (słaby Glisenti, jeszcze gorszy Ruby, przestarzały Bodeo) niż rzeczywisty sukces. Pietro Beretta zdawał sobie z tego zapewne sprawę, skoro jeszcze w czasie wojny podjął decyzję o modyfikacji typu M1915. Przede wszystkim zamierzał odejść od wykorzystywania nabojów standardu Glisenti na rzecz sprawdzonych i rozpowszechnionych w krajach sojuszniczych rodzajów amunicji Browninga.

Zarówno nabój kalibru 7,65×17 mm, czyli europejski odpowiednik amerykańskiego .32 ACP, jak i 9×17 Short Auto, czyli .380 ACP, wydawały się wyborem lepszym od rodzimego typu Glisenti, a przy tym wprowadzenie alianckich standardów zabezpieczało przed omyłkowym załadowaniem broni zbyt mocnym nabojem Parabellum. W 1917 r. wszedł do produkcji zmodyfikowany wariant Beretty M1917, wykorzystujący pierwszy z browningowskich typów amunicji. Znaczne dostawy alianckiego zaopatrzenia obejmowały także odpowiednie naboje, zatem nie było już logistycznych przeciwwskazań dla takiej zmiany. Fabryka Beretty wykorzystała swoją szansę perfekcyjnie, stając się dzięki rządowym zamówieniom dominującym producentem włoskiej broni palnej, zarówno dla potrzeb służb mundurowych, jak i na rynek cywilny. Co ważne, innowacyjność pozostała priorytetem w firmie, która często opracowywała i wprowadzała do produkcji nowe typy broni, a pod koniec XX w. zanotowała niezwykły sukces komercyjny. Pistolet Beretta 92 zastąpił bowiem Colta M1911A1 w roli służbowej broni krótkiej sił zbrojnych USA. A wszystko zaczęło się od udanego „pierwszego strzału" w roku 1915…

Pistolety M1915 produkowane w czasach wojny nie zachwycały starannym wykończeniem, ale też nie to było wówczas priorytetem…

Włoski Mauser, czyli przeciw „swoim"

W przeciwieństwie do włoskich wojsk lądowych, które preferowały rodzime typy uzbrojenia, Królewska Marynarka Italii nie była tak wybredna. W 1899 r. zamówiono dla potrzeb floty 5 tys. egzemplarzy pistoletów Mausera C96, broni, która wykazała się nie tylko nowoczesnością i groźnym, bojowym wyglądem, ale także dobrymi cechami balistycznymi i niezawodnością konstrukcji. Wykonane dla włoskich sprzymierzeńców pistolety różniły się jedynie drobnymi szczegółami od modelu podstawowego, co nie wpływało na cechy użytkowe tej serii produkcyjnej w porównaniu z modelem standardowym. Broń pozostała w użyciu nawet pomimo „odwrócenia sojuszy" przez Włochy. Bliżej nieokreślona, a trudna do oszacowania liczba Mauserów, Lugerów, Steyerów i innych typów krótkiej broni używanej przez przeciwnika, trafiła w ręce Włochów jako zdobycz wojenna. Praktyczne wykorzystanie takich egzemplarzy „przeciwko swoim" było jednak zwykle ograniczone zapasem obcej amunicji. Typowe włoskie naboje Glisenti można było wystrzeliwać także z pistoletów wykorzystujących standard 9×19 mm Parabellum, jednak zbyt słaby ładunek znacząco wpływał na wskaźniki balistyczne, utrudniając celne strzelanie nawet na stosunkowo niewielkich dystansach. Warto dodać, że włoskie pistolety raczej nie cieszyły się analogiczną popularnością po drugiej stronie frontu, pozostając bardziej pamiątką z wojny, niż bronią użytkową. Jedynie pistolety Beretta, z racji niewielkich gabarytów, zostały docenione przez austro-węgierskich oficerów i podoficerów służb pozafrontowych, którzy nie musieli praktycznie testować ich własności bojowych, za to z chęcią zastępowali nimi większe i cięższe regulaminowe typy broni bocznej. Jednak nawet w tej roli włoskie modele nie dorównywały na przykład Frommerowi Baby…

Literatura, ilustracje:
1. I. Hogg, „Broń strzelecka. Przewodnik encyklopedyczny", Poznań 2000
2. F. Myatt, „Pistols and revolvers", London 1980 (edycja polska 1993)
3. J. Lugs, „Handfeuerwaffen", Band 1-2, Prag 1982
4. „Military Illustrated", roczniki 1992-2010

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

Pistolet Vitali M1910 kalibru 7,65 mm, który nieskutecznie konkurował z modelem Glisenti, przypominał karykaturę Mausera C96. Niepowodzenie tego projektu sprawiło, że broń nie trafiła do seryjnej produkcji. Prawdopodobnie była to słuszna decyzja…

NOWA SERIA MODELI

WRZESIEŃ 1939

SPRZEDAŻ W LISTOPADZIE!!!

Z OKAZJI 75 ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ WSPANIAŁA KOLEKCJA MODELI I FIGUREK WOJSKOWYCH

Peem Diegtiariowa – „strychówka" z Podkarpacia

MICHAŁ MACKIEWICZ

Znaleziska ukrytej w czasie wojny broni przestały już w Polsce kogokolwiek dziwić. Zwłaszcza, iż nie ma praktycznie tygodnia, abyśmy nie dowiadywali się o kolejnym odkryciu dokonanym w trakcie remontu, rozbiórki, czy też przebudowy wiekowych domostw. Warto jednak o nich pisać, posiadają bowiem swój bezcenny kontekst i często są to znaleziska nietuzinkowe.

Peem tuż po wydobyciu ze skrytki.

Ledwie opadły emocje po niemieckim karabinie automatycznym StG 44, który w doskonałym stanie zachowania przeleżał kilkadziesiąt lat na poddaszu łódzkiej kamienicy (właśnie zakończyła się jego renowacja), a zbiory MWP wzbogaciły się o kolejny ciekawy eksponat – radziecki pistolet maszynowy PPD 40. Odkryto go przypadkowo, w trakcie rozbiórki drewnianego budynku gospodarczego w podkarpackim Łańcucie. Peem zabezpieczony został przez patrol saperski z Rzeszowa i przekazany policji. Broń na mocy decyzji konserwatora zabytków trafiła do Warszawy.

Niechciana broń

PPD należy do najmniej znanych peemów i dość powszechnie mylony jest ze swoim młodszym kolegą – słynną pepeszą. Jego konstrukcja powstawała na początku lat 30. ubiegłego wieku, kiedy koncepcja użycia pistoletów maszynowych dopiero się rodziła, a sama broń miała tyleż samo zwolenników, co zagorzałych wrogów. Nie potrafiono jeszcze dostrzec tkwiącego w niej olbrzymiego potencjału, ani określić przeznaczenia w ramach sił zbrojnych. Warto wspomnieć amerykańskiego Thompsona, który w swej dojrzałej postaci ujrzał światło dzienne w roku 1921. Chociaż stał się niezwykle popularny, właściwie aż do wybuchu II wojny światowej żadna armia nie okazała nim zainteresowania!

Prace nad pistoletami maszynowymi w ZSRR rozpoczęły się w końcu lat 20. i wynikały raczej z fiaska dotychczasowych wysiłków nad stworzeniem praktycznego karabinu automatycznego, aniżeli jakiejś dalekowzroczności decydentów i rusznikarzy Ojczyzny Światowego Proletariatu. Pionierem okazał się Fiodor Wasilijewicz Tokariew, ale jego „lekki karabin" dostosowany do zmodyfikowanych naboi Naganta nie zyskał uznania z powodu szeregu wad (przyczyną była m.in. właśnie amunicja). Dopiero decyzja Komitetu Artyleryjskiego o przyjęciu w 1928 r. do uzbrojenia naboju 7,63×25 mm (dostosowany był do niego popularny w ZSRR Mauser C96) dała podwaliny pod nowe, tym razem zakończone ostatecznie sukcesem projekty. Ich autorem był Wasilij Aleksiejewicz Diegtiariow (1879-1949), jeden z najzdolniejszych rosyjskich rusznikarzy, uczeń słynnego Władimira Fiodorowa i współtwórca karabinu automatycznego wz.1916. Pierwsze dwa prototypy okazały się nieudane (ten z 1929 r. był zminiaturyzowaną wersją najbardziej znanego dzieła Diegtiariowa – erkaemu DP zasilanego charakterystycznym talerzowym magazynkiem). Oba działały na zasadzie odrzutu zamka półswobodnego (podobnie jak amerykański Thompson, z którym radzieccy rusznikarze byli bez wątpienia gruntownie zaznajomieni) i były nazbyt skomplikowane. Dopiero znaczne uproszczenie konstrukcji w 1932 r. pozwoliło stworzyć praktyczną i niezawodną broń. Próby poligonowe wypadły bardzo dobrze, konstrukcja Diegtiariowa okazała się lepsza od konkurencyjnych (m.in. zmodernizowane peemy Tokariewa i Korowina). Na początku 1935 r. zamówiono partię próbną (30 egzemplarzy), a już w połowie roku zdecydowano o przyjęciu do uzbrojenia Armii Czerwonej pistoletu maszynowego PPD 34 (7,62 mm pistoliet puliemiot obrazca 1934 goda sistiemy Diegtiariowa). W zamyśle przeznaczono go dla niższej i średniej kadry dowódczej. Peem działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego i zasilany był z łukowego, pudełkowego magazynka na 25 nabojów. Broń wyposażono w klasyczną jednoczęściową, drewnianą osadę (w łożu znajdowało się wycięcie na magazynek). PPD posiadał przełącznik ro-

Żołnierz Armii Czerwonej z PPD.

PPD już wzbiorach MWP w Warszawie (stan przed konserwacją).

dzaju ognia i skalowany celownik krzywiznowo-ramieniowy o nastawach do 500 m. Lufę (jej wewnętrzny przewód chromowano w celu zwiększenia żywotności) osadzono w ażurowej osłonie spełniającej rolę chłodnicy. Pomysłowa była konstrukcja bezpiecznika, otóż rączka zamkowa posiadała ruchomy zatrzask odpowiadający wycięciu w komorze zamkowej.

Numer seryjny broni wybity na komorze zamkowej.

Rączka zamkowa, będąca jednocześnie bezpiecznikiem, oraz celownik przerzutowy.

Radzieckie czynniki wojskowe wykazały się krótkowzrocznością (był to zresztą w owym czasie trend ogólnoświatowy) i do pistoletu maszynowego nie miały przekonania. Jego produkcja ślimaczyła się potwornie, zwłaszcza biorąc pod uwagę gigantyczne i z roku na rok coraz większe moce przerobowe stalinowskiego przemysłu. W 1934 r. powstały zaledwie 44 egzemplarze, w rok później jeszcze mniej – 23. Produkcja przyspieszyła nieco w drugiej połowie lat. 30, ale i tak liczby nie powalają (1936 – 911, 1937 – 1291, 1938 – 1115 sztuk). PPD okazał się bardzo drogi (nawet w państwie komunistycznym nie udało się oszukać praw rządzących ekonomią…); konstrukcja była w zasadzie prosta, ale nie technologia wykonania. Pojawiły się też zastrzeżenia odnośnie eksploatacji, wskutek czego pod koniec lat 30. Wasilij Aleksiejewicz dokonał pierwszej modernizacji. Polegała ona przede wszystkim na przebudowie (wzmocnieniu) obsady magazynka, dzięki czemu osiągnięto pewniejsze jego mocowanie i wygodniejszą wymianę. Ta wersja peemu otrzymała oznaczenie PPD 34/38. Rok 1939 stanowił dla PPD ważną cezurę. Co prawda zakłady w Kowrowie zdołały jeszcze wyprodukować 1700 sztuk, ale jednocześnie postanowiono o zaprzestaniu produkcji i wycofaniu peemów z linii (pozostałe, łącznie około 5000 szt., powędrowały do magazynów). Decyzja ta zbiegła się z przyjęciem do uzbrojenia samopowtarzalnych karabinów SWT 38 konstrukcji Tokariewa. Ten nowy karabin stanowił dla Rosjan ucieleśnienie wieloletnich poszukiwań nowego rodzaju broni indywidualnej, w którą zamierzano przezbroić całą piechotę.

Zimowa lekcja

Wrześniowy „spacer" przez Polskę nie mógł być żadnym sprawdzianem dla radzieckiego uzbrojenia (dla wyszkolenia i organizacji armii owszem), co innego wojna z Finlandią, która wybuchła 30 XI 1939 roku. Obnażyła ona wszelkie słabości Armii Czerwonej, także w odniesieniu do broni strzeleckiej. Samozariadki (karabiny samopowtarzalne) gremialnie zawodziły, a brak peemów okazał się wręcz katastrofalny. Bitni, stosujący pomysłową taktykę Finowie zadawali oddziałom radzieckim ciężkie straty, zwłaszcza w walkach prowadzonych na małym dystansie, z zaskoczenia. Szczególnie przydatne okazały się pistolety maszynowe Suomi (zasilane m.in. z 71-nabojowych bębnów), którymi uzbrajano np. specjalne rajdowe oddziały piechoty. Czerwonoarmiści byli pod dużym wrażeniem ich skuteczności. Gwałtowna potrzeba wyposażenia żołnierzy w broń automatyczną spowodowała, iż sięgnięto do magazynów po stare automaty Fiodorowa, ale przypomniano sobie także o PPD, których masowa produkcja okazała się nagle priorytetem. Z uwagi na wspominane wyżej komplikacje technologiczne, konstruktor zmuszony został do szybkiego uproszczenia (potanienia) broni, co też uczynił wraz z zespołem rusznikarzy na początku 1940 r. Zrezygnowano z przerzutowej iglicy na rzecz stałej, uproszczono wyciąg łusek, pojawiła się także nowa osłona lufy (zamiast 55 mniejszych, 15 większych otworów) i elementy tłoczone zamiast frezowanych (np. kabłąk spustu). Broń dostosowano do dwóch rodzajów magazynka, łukowego i bębnowego 73-nabojowego. Ten ostatni posiadał specjalne pudełkowe wyprowadzenie pozwalające zamocować go w gnieździe schowanym w drewnianym łożu. Już w lutym 1940 r. Diegtiariow zaprezentował kolejną przebudowaną wersję, którą miesiąc później skierowano do produkcji seryjnej. Nowy peem oznaczono PPD 40. Miał dwudzielne łoże, dzięki czemu można go było zasilać z klasycznego bębna o pojemności 71 nabojów, będącego niemal wierną kopią magazynka fińskiego. PPD 40 okazał się być najliczniej produkowanym peemem Diegtiariowa, w 1940 r. powstało 81 118 egzemplarzy. Oczywiście PPD nie zdążyły w najmniejszym nawet stopniu zmienić oblicza Wojny Zimowej (zakończyła się 13 III 1940 r.), ale Rosjanie wreszcie docenili znaczenie pistoletów maszynowych. Ich prawdziwa i krótka zarazem epoka zbliżała się wielkimi kro-

kami, najważniejszym poligonem miała się stać Wielka Wojna Ojczyźniana.

Katastrofalny rok 1941 i faktyczne unicestwienie „starej" Armii Czerwonej, oznaczało jednocześnie niewyobrażalne straty sprzętu bojowego. Przemysł musiał podjąć gigantyczny wysiłek wyprodukowania niemalże wszystkiego od nowa, w tym peemów. Cięcie kosztów było teraz priorytetem, tymczasem PPD był bronią czasu pokoju, materiałochłonną i drogą w produkcji nawet po zmianach (zachowane do dzisiaj egzemplarze zwracają uwagę swoją precyzyjną, solidną obróbką). Co prawda w 1941 i 1942 r. wyprodukowano jeszcze kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy (przede wszystkim w oblężonym Leningradzie), ale na arenę dziejów wkroczyła pepesza, czyli PPSz 41 (7,62 mm pistoliet puliemiot obrazca 1941 goda sistiemy Szpagina). Była równie niezawodna i solidna co PPD, ale zdecydowanie tańsza, prostsza w produkcji i mniej materiałochłonna.

Zagadka łańcuckiego PPD

PPD 40, który trafił właśnie do muzeum, przetrwał w doskonałym stanie (w tym elementy drewniane), jest kompletny. Na komorze zamkowej znajduje się numer seryjny БВ 0880, powtórzony na innych częściach broni (posiada ona zatem zgodność numeryczną, nie jest składakiem). Peem wyposażony jest w skórzany pas nośny (oryginalne radzieckie były parciane) sygnowany na jednym końcu napisem *„BERLIN"*. W komplecie znajdują się dwa magazynki, bębnowy i łukowy (ten drugi jest od pepeszy, do PPD 40 nie przewidziano tego typu magazynka).

Oczywiście najbardziej intrygujące pozostaje pytanie dotyczące czasu i okoliczności ukrycia broni. Pistolety maszynowe PPD trafiały na teren obecnej Polski różnymi drogami. Jakaś ilość pozostała po panicznie rejterującej w czerwcu 1941 r. Armii Czerwonej i niewątpliwie część z nich trafiła w ręce naszej konspiracji. W przypadku muzealnego peemu tę hipotezę należy jednak odrzucić. Otóż broń posiada uproszczony celownik przerzutowy skalowany do 200 m, a PPD z takimi celownikami produkowano w oblężonym Leningradzie na przełomie 1941/1942 r. (te „blokadowe" egzemplarze są wyjątkowo rzadkie i cenne zarazem). Potem pistolety Diegtiariowa pojawiły się na wschodzie Polski wraz z radzieckimi partyzantami, a także tyłowymi, policyjnymi lub kolaboracyjnymi formacjami okupacyjnymi, które chętnie wyposażano w zdobyczną radziecką broń (być może skórzany pas nośny został dołożony właśnie przez zdobywców). Owe tyłowe formacje stanowiły niezwykle istotne „źródło" pozyskiwania uzbrojenia dla naszych konspiracyjnych organizacji (świadczą o tym zachowane zdjęcia archiwalne). Broń schować mogli zarówno Polacy (akowcy, bechowcy, bądź już „żołnierze wyklęci"), jak i Niemcy. Ta ostatnia hipoteza może nawet być bliższa prawdy, bowiem z niepotwierdzonych wciąż informacji wynika, że w miejscu ukrycia stacjonował niezidentyfikowany pododdział okupanta.

Zdobyczny peem Diegtiariowa w rękach Niemców.

Żołnierze 1. kompani 1. batalionu 77. Pułku Piechoty Okręgu Nowogródek AK. Z pistoletem maszynowym PPD dowódca kompanii ppor. Jan Wasiewicz „Lew".

ZDJĘCIA OBIEKTÓW – PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MWP, ZDJĘCIA ARCHIWALNE: ZB. AUTORA.

Michał Mackiewicz

Absolwent Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, od 2007 r. pracownik Działu Historii Wojskowości MWP w Warszawie. Swoje zainteresowania koncentruje wokół zagadnień związanych z archeologią militarną oraz ewolucją broni strzeleckiej. Autor licznych artykułów bronioznawczych (m.in. dodatki historyczne „Rzeczpospolitej", „Mówią Wieki", „Strzał", „Arsenał", Pamięć.pl) i wykładów poświęconych uzbrojeniu. Inicjator i kierownik badań archeologicznych pobojowiska pod Maciejowicami. Współautor książki „VIS wz.35" (wyd.2012).

REKLAMA

Co to jest T-Werk?

MARTIN BÜREN
PRZEKŁAD: JERZY SADOWSKI

W „Odkrywcy" nr 3/2013 opublikowany został ciekawy artykuł – „Zagadki Werkgruppe Drei-Herrscher-Berge" autorstwa p. Jerzego Sadowskiego. Dotyczy on fortyfikacji Frontu Ufortyfikowanego „Łuk Odra-Warta" i prezentuje nowe spojrzenie na problem niezbudowanych dzieł najcięższych, oraz udziału artylerii w bezpośredniej obronie przeciwszturmowej. Przedstawia też schemat organizacji obrony, sposoby rozmieszczania oraz funkcje dzieł bojowych typu: A-, T- i B-Werki. W opisie T-Werków pojawia się jednak informacja, iż miały być one „prawdopodobnie zawsze wyposażone w wieżę z armatą 105 mm (skrót T-Werk może więc oznaczać np. Turm-Werk)", z której końcowym wnioskiem nie można się zgodzić. Problem nazwy T-Werk i próbę ustalenia co oznacza, przedstawiłem na łamach wydawnictwa „Fortifikation" – zeszyt nr 24 (rok 2010), strona 158 – jako posłowie do artykułu „Die Baubahn der Festungsfront Oder-Warthe-Bogen". Teraz chciałbym przybliżyć moje słowa polskim czytelnikom.

Co dokładnie znaczy T-Werk, nie wie nikt.

Zachowane dokumenty dotyczące fortyfikacji „Łuk Odra-Warta" są bardzo nieliczne. Dlatego spotyka się wiele interpretacji dokonanych przez różnych ludzi. Prawdopodobnie najważniejszy dokument wydobył na światło dzienne, z Bundesarchiv-Militärarchiv (BA-MA), nieżyjący już Günther Fischer. Jest to mapa z listopada 1936 roku zatytułowana „Hohlgangsystem Hochwalde", w skali 1:10 000, w postaci oleaty na kalce, na której pokazano planowane wówczas Werki w kontekście wentylacji całego systemu komunikacji podziemnej. Na mapie tej odmiennymi symbolami oznaczono A-Werke, B-Werke i T-Werke. Treść mapy pokazuje rozmieszczenie T-Werke o numerach 1-12.

Günther Fischer odkrył także dokument zawierający kalkulację liczebności obsady odcinka Hochwalde („Kriegsbesatzung Hochwalde") z 1935 roku, w którym przedstawione są załogi planowanych na ten czas Werków, wyliczone na podstawie projektowanego uzbrojenia. W tym dokumencie istnie-

13.	Waldberg	3 Rundum M.G.T.	1 - 3 - 12	3 -12
		1 Höchstteilfeuer	1 - 3	1 - 3
		1 S.K.T.	1 - 1 - 6	1 - 6
		2 M.G.Kas.	2 - 4	2 - 4
		1 Inf. Beob.	- 2	- 2
		1 Artl.Beob.	1 - 1 - 2	1 - 2
		Kp.Stab (Melder u. Nachr.)	2 - 1 - 2	1 - 2
		Maschinisten	1	1
		Sanitätspers.	1 - 1	1
		Köche	1	1
		Einheitsgr.	1 - 12	
			5 - 11- 46 9 -34 105	

Summe der Besatzung der Schweigewerke:

1120 Köpfe

77 Offiziere, 205 Unteroffiziere, 838 Mannschaften.

Fragment jednej ze stron dokumentu „Kriegsbesatzung Hochwalde" z zestawieniem planowanego uzbrojenia i obsady Schweigewerke nr 13 „Waldberg" z poprawkami odręcznymi oraz zawierający podsumowanie całej planowanej obsady dzieł tego typu (1935). BAMA RH 2/v.992 Bl. 142

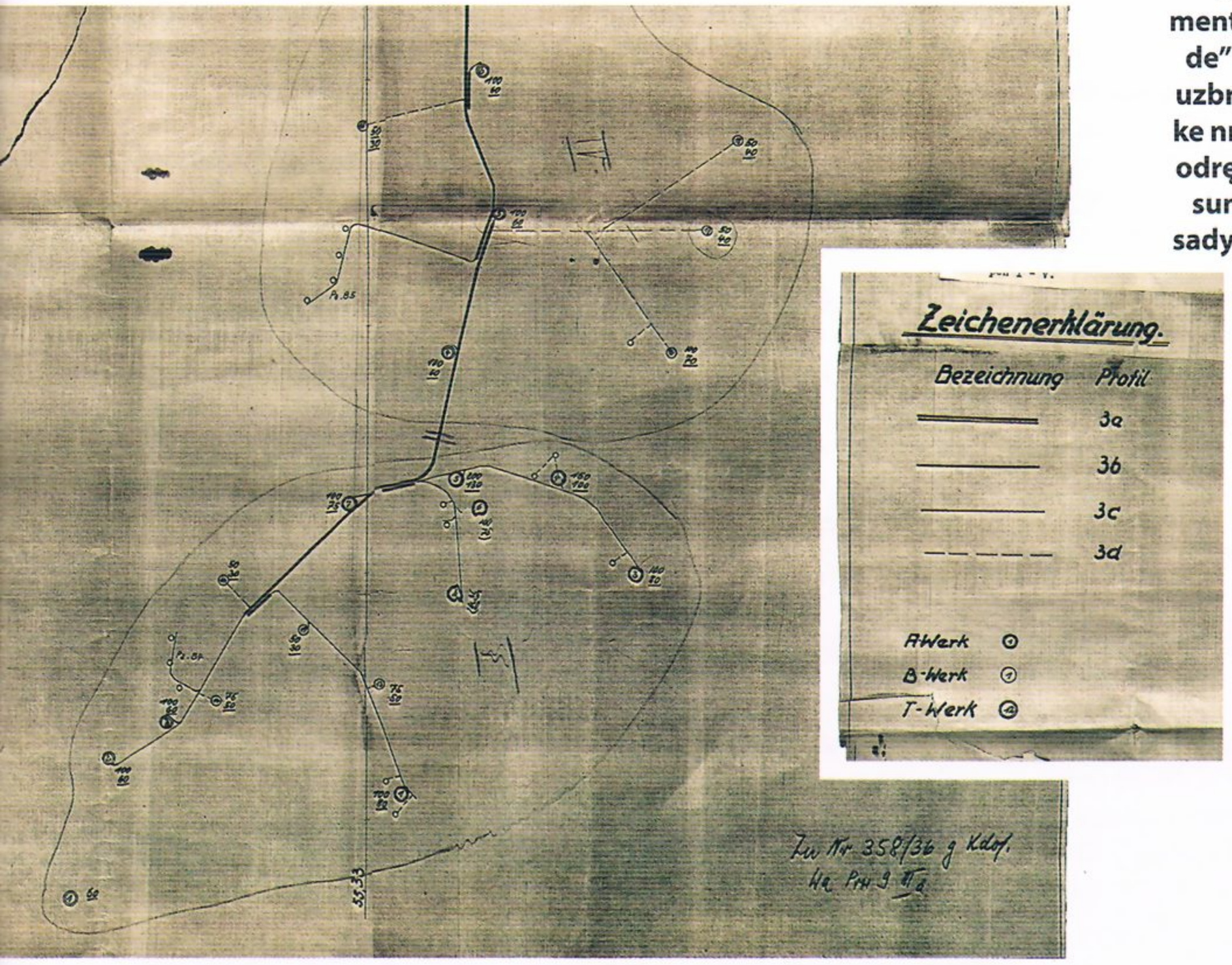

Fragment oleaty „Hohlgangsystem Hochwalde" obejmujący planowane T-Werki od nr 1 do 4, z wyróżnioną legendą symboli dzieł (1936). BAMA RH 12 -9/v. 37

ją oddzielne A-Werke, B-Werke oraz 13 Schweigewerke (dosłownie: dzieła milczące).

Porównując oba źródła, można wysnuć wniosek, iż T-Werke z 1936 roku oraz Schweigewerke z 1935 roku są takie same (trzynasty Werk tego rodzaju ulokowany jest na północy, poza podziemnym systemem komunikacyjnym, podobnie jak nr 1, który jednak pokazano na oleacie wentylacji podziemi). Günther Fischer interpretuje T-Werke jako Tiefen-Werke, które powinny „cicho czaić się" w głębi pozycji. Za „Kriegsbesatzung…" ujawnia również, że są to jedyne Werke, które mają otrzymać w tym czasie wieże dział 10 cm (z wyjątkiem baterii pancernych). Są więc trzonem obrony ppanc. w głębi pozycji.

Potwierdzenie interpretacji T-Werk = Tiefenwerk można również znaleźć w uwagach gen. Förstera zawartych w Besichtigungsbemerkungen z grudnia 1937 roku. Tam krytykuje on zwiększanie ilości pojęć w projektach stałej fortyfikacji pisząc: *„Mnożenie ilości zatwierdzonych nazw tymczasowo odrzucono, w szczególności nazywania Werke według zadania, które muszą spełniać, lub podziału według wielkości. Wyrażenia takie, jak na przykład: Inf.-Werk, Artilleriewerk, Schweigewerk, Tiefenwerk, Eingangswerk, Flankierungswerk, Sturmabwehr-Werk (wszystkie Werke są Sturmabwehr-Werke)* [dosł.: wszystkie dzieła są działami przeciwszturmowymi], *Hauptwerk, Zwischenwerk, Großgruppe, Untergruppe, nie mają zatem zastosowania".*

Z wszystkich powyższych określeń, nazwa z literą początkową „**T**" jest zgodna jedynie ze słowem „**T**iefenwerk", co można rozumieć jako „dzieło głębi" obrony.

Potwierdzenie interpretacji T-Werk = „dzieło głębi" obrony znajdziemy również na schemacie obrony przeciwpancernej fortyfikacji typu Front Ufortyfikowany. Schemat ten zawarty jest w instrukcji „Tymczasowe wytyczne dla obrony przeciwpancernej w fortyfikacjach stałych" („Vorläufige Richtlinien für Panzerabwehr in der ständigen Befestigung"), z maja 1938 roku, którą stosunkowo niedawno odkryto w Bundesarchiv-Militärarchiv. Schemat ten jest bardzo zbliżony do zrealizowanego w terenie odcinka Hochwalde, którego planowane dzieła znamy z mapy wentylacji podziemnego sytemu komunikacyjnego oraz z wykonanych podziemi i rozprowadzenia torów kolei budowlanej. Schemat prezentuje linię dzieł odporności A, uzbrojonych w armaty wieżowe, poprowadzoną około 700-1000 m za linią dzieł czołowych odporności B, na międzypolach silnie uzbrojonych grup dzieł odporności A. Na schemacie tym zarysowuje się więc wyraźnie linia „dzieł głębi" obrony z wieżami 10 cm armat, którym odpowiada funkcja zawarta w nazwie T-Werk. Z analizy tego dokumentu płynie dodatkowy wniosek, że przypisywanie T-Werkom odporności A1, które pojawiło się w publikacjach z lat 80. XX w. jest nieaktualne.

Martin Büren

Mgr inż. mechanik, obecnie na emeryturze. Autor książki „Der Westwall. Die Geschichte der deutschen Westbefestigung im Dritten Reich" (Osnabrück 1990), fundamentalnej pracy o niemieckich fortyfikacjach zachodnich 1933-45, i licznych artykułów. Od 1988 roku współpracownik i konsultant polskich badaczy niemieckich fortyfikacji wschodnich.

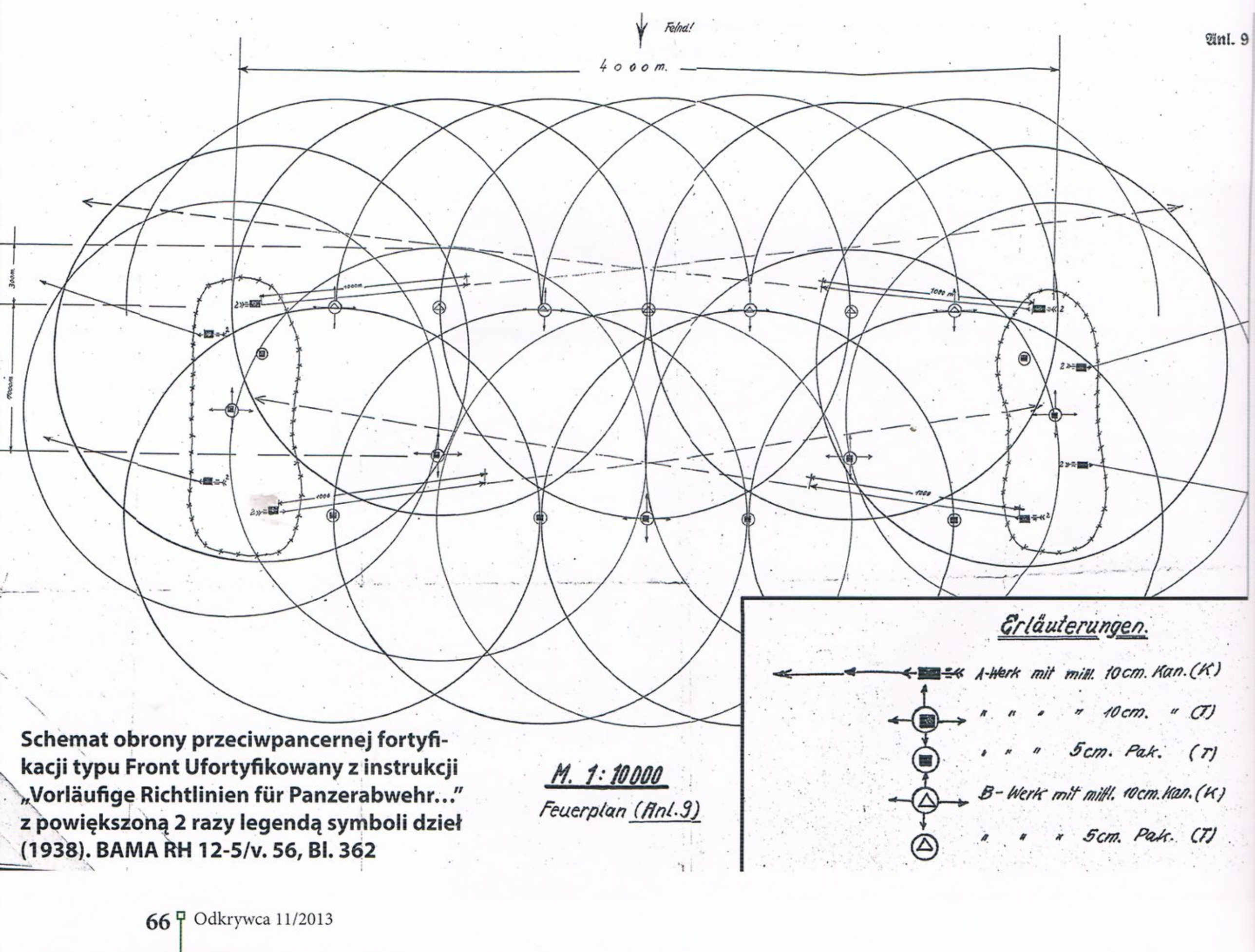

Schemat obrony przeciwpancernej fortyfikacji typu Front Ufortyfikowany z instrukcji „Vorläufige Richtlinien für Panzerabwehr…" z powiększoną 2 razy legendą symboli dzieł (1938). BAMA RH 12-5/v. 56, Bl. 362

Burza w bałkańskim kotle 1912-1913. Preludium Wielkiej Wojny

PIOTR GALIK

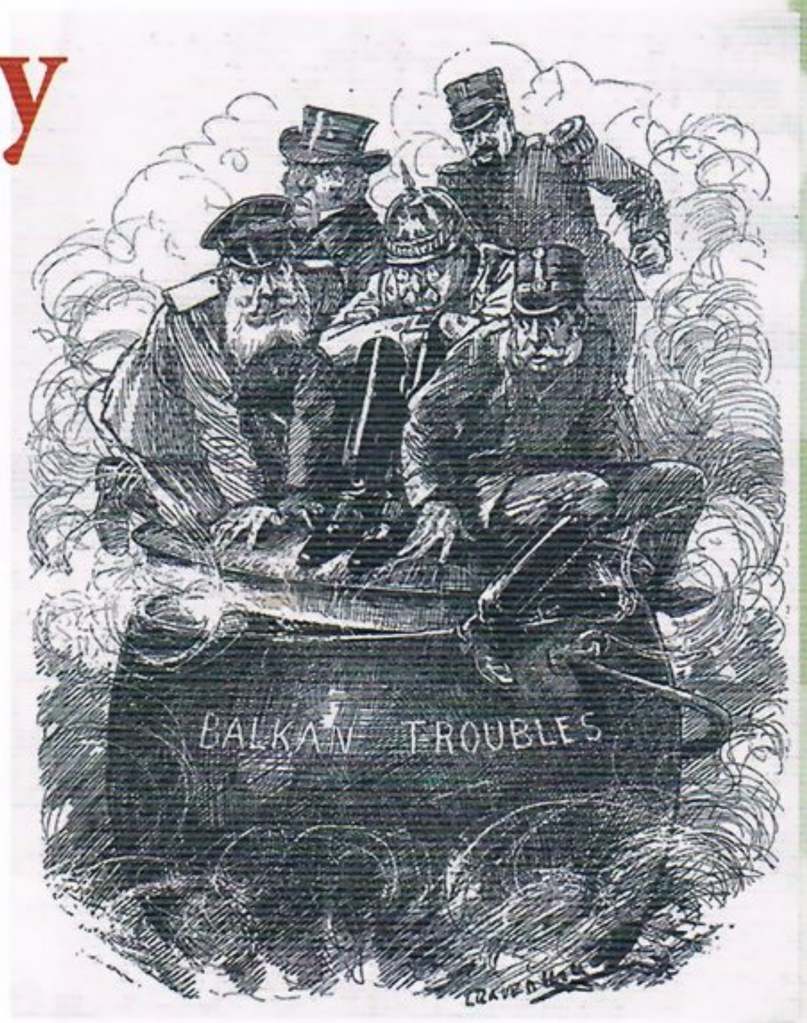

Półwysep bałkański to od wieków najbardziej niespokojny zakątek Europy. Na tym górzystym terytorium, ograniczonym od reszty kontynentu korytami Sawy i Dunaju, od czasów starożytnych splatały się strategiczne szlaki handlowe, ścierały interesy mocarstw, przenikały kultury oraz religie. U schyłku średniowiecza niekwestionowanym hegemonem regionu stała się Porta Ottomańska, czyli cesarstwo tureckie.

W długim ciągu wojennych kampanii zwieńczonych wielkimi zwycięstwami na Kosowym Polu (1389 i 1448), pod Nikopolis (1396), Warną (1444), Konstantynopolem (1453) i Mohaczem (1526), Turcy zdołali opanować lwią część Półwyspu Bałkańskiego. Ich imperialną ekspansję ku sercu Europy powstrzymał ostatecznie dopiero Jan III Sobieski pod murami Wiednia w roku 1683. Długotrwała okupacja, połączona z konsekwentną islamizacją poddanych i orientalizacją ich kultury, spowodowała doniosłe przemiany etniczne i wyznaniowe, których skutki widoczne są także obecnie. Jednak w XIX w. Turcja, zwana nie bez podstaw „chorym człowiekiem Europy", znalazła się na politycznej i militarnej równi pochyłej.

Słabość obumierającego, targanego wojnami, przewrotami i powstaniami imperium, wywołała żywe zainteresowanie mocarstw europejskich dążących do wykrojenia dla siebie jak najsmakowitszych kąsków z bałkańskiego tortu.

Stopniowy demontaż tureckiego stanu posiadania na Bałkanach, zapoczątkowany został sukcesem powstania Serbów (1817), a w praktyce dokonał się po zwycięskiej dla Rosjan wojnie lat 1877-1878. Jednak daleko wciąż było do rozstrzygnięcia wszelkich sporów i konfliktów w tej części Europy. Nowy ład bałkański, potwierdzony postanowieniami Kongresu Berlińskiego, który za zgodą pozostałych mocarstw odarł Rosję z owoców krwawo wywalczonego triumfu nad Turcją dodatkowo zaostrzył sytuację w tym regionie. Stosunkowo młode, poszukujące dopiero własnej tożsamości państwa bałkańskie rościły wzajemne pretensje do spornych obszarów nie rezygnując przy tym z zamiarów ostatecznego wyparcia Turków z Europy. Do roli „mocarstwa regionalnego" aspirowała Serbia z nieodłączną Czarnogórą, podczas gdy Austro-Węgry, okupujące decyzją mocarstw Bośnię i Hercegowinę, uznawały za niezbędne pohamowanie apetytów swojego południowego sąsiada. Po krwawym przewrocie pałacowym w roku 1903, kiedy to zamordowano proeuropejskiego króla Aleksandra Obrenowicza, na belgradzkim tronie zasiadł Piotr Karadżiordżewicz, zwolennik prorosyjskiego kursu polityki zagranicznej kraju. Serbia z wielkim niezadowoleniem przyjęła dokonaną przez Wiedeń w roku 1908 formalną aneksję zajmowanej od 30 lat Bośni i Hercegowiny. Naturalną reakcją było zatem polityczne i militarne zbliżenie Serbii i Czarnogóry z Rosją.

Tymczasem inne mocarstwa nie zasypiały gruszek w popiele.

Cesarstwo Niemieckie usiłowało uzyskać możliwość wywierania nacisków politycznych poprzez rosnące wpływy gospodarcze w państwach regionu,

Propaganda i rzeczywistość – tureckim żołnierzom zostały już tylko wspomnienia dawnej świetności i zwycięskich wojen. W walkach z Włochami w Libii uczestniczyły najlepsze oddziały armii osmańskiej, na Bałkanach pozostały głównie formacje o mniejszej sprawności bojowej.

Grecka piechota górska, Evzones, podczas działań wojennych nosiła praktyczne mundury polowe, paradne uniformy (nacechowane zresztą kulturowymi wpływami tureckimi) pozostawiając w koszarach.

a zwłaszcza w Turcji, Bułgarii i Rumunii. Wielka Brytania postawiła natomiast na Grecję, okazując temu państwu szereg przyjaznych gestów. Bałkański kocioł wciąż pozostawał w stanie bliskim wrzenia…

Pierwsza wojna bałkańska, czyli wszyscy przeciw Turcji

Na początku XX w. Turcja znów stała się celem agresywnej polityki europejskiej. Włochy, dążące do uzyskania kolonialnych posiadłości, w 1911 sięgnęły zbrojnie po turecką wówczas Libię, traktowaną jako naturalny obszar wpływów Królestwa Italii. Podczas wojny włosko-tureckiej, zwanej też od teatru działań wojną trypolitańską, armia króla Wiktoria Emanuela III z trudem radziła sobie z przeciwnikiem, mimo zastosowania takich nowinek technicznych, jak bombardowanie i rozpoznanie lotnicze. Skutecznie związała jednak na froncie afrykańskim najlepsze oddziały wojska tureckiego. Ośmielona takim stanem rzeczy Serbia, wraz z Czarnogórą, zawarła tajne przymierze z niedawno powstałym Królestwem Bułgarii oraz z Grecją. Celem sojuszu stało się odebranie Turcji obszaru Macedonii. Arbitrem w razie kwestii spornych, a zwłaszcza w sprawie podziału spodziewanych łupów wojennych, miał zostać car Rosji, Mikołaj II. Taka propozycja znakomicie odpowiadała mocarstwowym ambicjom tego władcy. Ciekawe, że zarówno Belgrad, Ateny, jak i Sofia uważały Macedończyków za swoich rodaków, choć język macedoński różnił się i od serbskiego, i bułgarskiego, nie mówiąc już o języku greckim, co wskazuje na dość instrumentalne traktowanie aspiracji narodu macedońskiego… Nie inaczej zapatrywano się także na kwestię dążeń narodowych Albańczyków. Powstanie antytureckie, które ogarnęło ten kraj na wiosnę 1912 r., stało się wygodnym powodem do rozpoczęcia działań wojennych „w obronie praw ludności, uciskanej przez tureckiego zaborcę". De facto w Belgradzie postrzegano Albanię przede wszystkim jako pomost, po opanowaniu którego ambitne i dynamiczne królestwo południowych Słowian mogłoby uzyskać porty morskie, uniezależniające je od tranzytu przez obszary innych krajów.

Bułgarska piechota w ataku (obraz „Na bagnety" pędzla Jarosława Wieszina). Mundury żołnierzy cara Ferdynanda wzorowane były na uniformach armii rosyjskiej, która w latach 1877-1878 wyzwoliła ten kraj spod wielowiekowego jarzma tureckiego.

Korzystając z zaangażowania wojsk tureckich w Libii, w październiku 1912 r. sprzymierzeńcy wypowiedzieli wojnę „odwiecznemu wrogowi". Ponad dwukrotna przewaga sił sprzymierzonych (blisko 750 tys. żołnierzy) nad armią osmańską (około 340 tys.) jasno wskazywała, że gra będzie zdecydowanie „do jednej bramki".

Główny ciężar walk wzięła na siebie najsilniejsza wśród koalicjantów (ok. 350 tys. zbrojnych oraz ponad 1100 dział w 9 dywizjach piechoty i jednej kawaleryjskiej) armia bułgarska, która skoncentrowała się na strategicznie najważniejszym kierunku, ruszając ku stolicy Porty Ottomańskiej, Konstantynopolowi. Turcy stawiali zacięty opór zadając Bułgarom poważne straty, nie byli jednak w stanie odeprzeć przeciwnika. Serbia także wystawiła 10 dywizji, jednak były one znacznie „lżejsze" niż bułgarskie (ogółem liczyły ok. 250 tys. żołnierzy z 228 działami). Żołnierze króla Piotra głównymi siłami natarli na Skopje i Novi Pazar, zgodnie ze strategicznym zamiarem aneksji tych obszarów. Teoretycznie Serbowie dysponowali dodatkowo wsparciem przez silną, sojuszniczą dywizję (bułgarska 7. DP podporządkowana serbskiej 2. Armii), jednak w praktyce sprzymierzeńcy nie respektowali obcego zwierzchnictwa i przyjmowali jedynie rozkazy wydawane przez bułgarskie Naczelne Dowództwo. Taki stan rzeczy nie ułatwiał skutecznego prowadzenia walk z twardo broniącymi się

Turkami. Tymczasem największe sukcesy terytorialne odniosła Grecja, dysponująca siłami zaledwie niespełna 120 tys. żołnierzy. Dzięki śmiałym manewrom oraz stosunkowo biernej postawie przeciwnika, Grecy kosztem niewielkich strat zajęli Epir, Macedonię i zachodnią Trację. Tym samym z nawiązką powetowali sobie niedawną upokarzającą porażkę, którą ponieśli z rąk tureckich podczas tzw. wojny trzydziestodniowej w roku 1897.

Satyryczna ilustracja z epoki, ukazująca w krzywym zwierciadle udział Rumunii w pokonaniu Bułgarii – Grek i Serb zmusili Bułgara do złożenia broni, ale to Rumun zagarnia najcenniejszy łup… (rycina z prasy brytyjskiej, 1913).

Wojska serbskie i czarnogórskie dziedziczyły odwieczną tradycję walki z Turkami, podjętej przez ich przodków jeszcze w XIV stuleciu. Silna motywacja w połączeniu z typową, góralską wytrzymałością na trudy życia i walki w ciężkich warunkach, czyniły „wojowników króla Piotra" niebezpiecznymi przeciwnikami…

Oburzenia Bułgarów na tradycyjną „grecką chytrość" nie złagodziło nawet przekazanie im Macedonii Wschodniej z Kawalą, co uznano za poniżającą jałmużnę.

W grudniu 1912 roku pod naciskiem mocarstw, a zwłaszcza Wielkiej Brytanii, zawarty został rozejm, respektowany przez strony wojujące – z wyjątkiem Grecji. W Londynie otwarto konferencję międzynarodową, która miała wynegocjować traktat kończący konflikt, jednak wobec postawy Greków niemożliwe było zawarcie układu pokojowego. Stan ni to wojny, ni to pokoju, powodujący niepokój i niezadowolenie społeczne w Turcji, ułatwił planowany od pewnego czasu przewrót polityczny w Stambule. Władzę objął wówczas Ismail Enver Pasza, „jastrząb wojenny", który po umocnieniu się u steru państwa wznowił w lutym 1913 r. walkę na frontach bałkańskich. Ta desperacka próba odwrócenia losów wojny okazała się jednak daremna. Grecy zajęli strategiczną fortecę Janina, a Bułgarzy opanowali twierdzę Edirne (Adrianopol), ostatni bastion na drodze do tureckiej stolicy. Wobec klęski militarnej Enver Pasza zmuszony został do kapitulacji. W maju 1913 r. w Londynie wznowiono przerwane obrady delegacji państw – stron konfliktu. Turcy zmuszeni zostali do rezygnacji z większości swoich europejskich posiadłości. Pozostawiono im jedynie niewielki przyczółek bałkański wyznaczony umowną linią łączącą miejscowości Midye i Enez. Zwycięzcy dokonali rozbioru Macedonii podzielonej pomiędzy Grecję, Bułgarię i Serbię. Ta ostatnia wraz z Czarnogórą zajęła także Sandżak Nowopazarski (Raszkę), który w latach 1878-1908 pozostawał we władaniu Austro-Węgier, a zamieszkiwany był głównie przez Bośniaków (Słowian wyznania muzułmańskiego). Grecy uzyskali ponadto Kretę i zachodnią Trację. Wbrew mocarstwowym apetytom Serbii i Czarnogóry, a za sprawą Wiednia i Rzymu, niepodległość uzyskała Albania, co skutecznie odcięło bałkańską „małą Rosję" od dostępu do Adriatyku. Problem polegał na tym, że niemal cały teren przyszłego państwa albańskiego pozostawał w rękach nie albańskich powstańców, lecz zwycięskich koalicjantów: Serbii i Grecji, które nie patrzyły zbyt przychylnie na zamiar powołania bytu państwowego sprzecznego z ich racją stanu. Skłonienie Belgradu i Aten do opuszczenia Albanii nie było łatwe i nie odbyło się bez dyplomatycznych nacisków ze strony mocarstw, które już rozdały między sobą polityczne karty ponad głowami rzeczywistych zwycięzców wojny. Doszło wówczas do międzynarodowej interwencji przeciwko wojskom czarnogórskim, które zbrojnie zajęły miasto Szkodra (Skadar), położone w pobliżu północnej granicy Albanii. Desant morski pozwolił siłom pokojowym szybko opanować sporne miasto, które miało zostać stolicą nowo powołanego państwa.

Pokój nie mógł jednak zagościć w tym regionie na długo.

Druga wojna bałkańska, czyli wszyscy przeciw Bułgarii

Carstwo Bułgarii, najsilniejszy koalicjant, zakończyło wojnę z Turcją z poczuciem głębokiej frustracji. Pomimo bezspornie największego wkładu we wspólne zwycięstwo, uzyskane zdobycze terytorialne uznawano za zbyt skromne. Car Ferdynand I von Sachsen-Coburg-Gotha zerwał negocjacje z niedawnymi sprzymierzeńcami, gdyż uważał, że proponowane Bułgarii nabytki w Macedonii są zbyt skromne. Ze względu na podobieństwo języka oraz kultury Macedończyków i Bułgarów, w Sofii panowała opinia, że właściwie cały ten kraj powinien „powrócić do macierzy". W przekonaniu, że jedynie rozwiązanie siłowe może przynieść zmianę niekorzystnych postanowień politycznych, z końcem czerwca 1913 r., po zaledwie miesięcznym okresie pokoju, Bułgaria zreorganizowała armię i zaatakowała swoich dotychczasowych sojuszników: Grecję i Serbię. Państwa te, wyraźnie zdając sobie sprawę z nastrojów w Bułgarii, jeszcze na początku tego miesiąca zawarły tajny układ sojuszniczy podpisany w Salonikach. Umawiające się strony zobowiązane były do wzajemnej pomocy w przypadku konfliktu z Bułgarią, wymienioną expressis verbis jako potencjalne wspólne zagrożenie. Naturalną koleją rzeczy do przymierza dołączyła także Czarnogóra, polityczny symbiont Serbii. Na swoje nieszczęście Bułgaria pozostawała także w sporze z sąsiednim państwem, Rumunią. Powodem konfliktu stały się tereny Południowej Dobru-

Pomimo dotkliwej porażki żołnierze bułgarscy, którzy uczestniczyli w wojnach bałkańskich, odznaczeni zostali specjalnie zaprojektowanym medalem pamiątkowym.

dży, atrakcyjnej gospodarczo (żyzne ziemie uprawne) krainy nadczarnomorskiego pogranicza bułgarsko-rumuńskiego.

W rezultacie bułgarskie dowództwo musiało liczyć się z walką na dwóch frontach. Nie spodziewało się zapewne, że frontów będzie trzy.

Dyktator Ismail Enver Pasza ośmielony awanturą wśród swoich niedawnych pogromców, postanowił z właściwą sobie agresywnością wziąć odwet na Bułgarach. Doszło więc do klasycznego odwrócenia sojuszy, kiedy to niedawni wrogowie sprzymierzyli się w obliczu wspólnego zagrożenia…

Siły stron nie były równe. Ponad półmilionowe wojska cara Ferdynanda musiały stawić czoła dwukrotnie liczniejszym armiom nowej koalicji, obejmującej armię Serbii (ok. 350 tys.), Rumunii (ok. 330 tys.), Grecji (niespełna 150 tys.) i Czarnogóry (blisko 13 tys.), wspartych przez ćwierć miliona Turków. Mimo bohaterstwa i poświęcenia bułgarskich żołnierzy, rezultat wojny nie mógł być inny, niż klęska. Ofensywa Bułgarów na froncie macedońskim została zatrzymana,

a wkrótce wojska serbskie otrzymały rozkaz marszu na Sofię. Podobny cel przyświecał Rumunom. Rozpoczął się swoisty wyścig sojuszniczy, bliżsi sukcesu byli Rumuni, których oddziały dotarły na przedpola stolicy wroga. W tym czasie Turcy odbili Edirne i parli na zachód. Przed ostateczną porażką ocaliła Bułgarię mediacja rosyjska. Car Mikołaj II, darzony wielką sympatią jako wyzwoliciel spod tureckiego jarzma zarówno przez Rumunów, Serbów, jak i Bułgarów, obawiał się utraty swoich wpływów i sprzymierzeńców na Bałkanach. Dlatego też rosyjscy dyplomaci podjęli energiczne kroki zmierzające do przerwania walk. Po miesiącu działań wojennych, 30 VII 1913 r. nastąpiło zawieszenie broni na wszystkich frontach.

Bułgaria zmuszona została do przyjęcia stosunkowo łagodnych, jak na swoją dramatyczną sytuację, warunków pokojowych.

Traktat podpisany w Bukareszcie postanawiał, że Rumunia otrzyma Południową Dobrudżę, Serbia – część bułgarskiej Macedonii, a Grecja – pozostałe obszary macedońskie oraz Zachodnią Trację. Nieco późniejszy, odrębny układ pokojowy z Turcją oddał jej Trację Wschodnią z Adrianopolem (Edirne). Mimo wysiłków rosyjskiej dyplomacji, polityczne sympatie Bułgarów uległy gwałtownemu odwróceniu. Tradycyjnie przyjazne nastawienie wobec Imperium Carów ustąpiło chęci odwetu na sąsiadach, a to właśnie obiecywali dyplomaci nie-

Zwycięska armia serbska uhonorowała swoich żołnierzy „Medalem Miłosza Obilicza", nadawanym za nadzwyczajne akty bohaterstwa oraz krzyżem pamiątkowym, opatrzonym inicjałem króla Piotra I.

Austro-Węgry zaniepokojone działaniami wojennymi bezpośrednio w swoim sąsiedztwie, przeprowadziły podczas kryzysu bałkańskiego mobilizację sił zbrojnych. Żołnierze, którzy odbywali wówczas służbę wyróżnieni zostali pamiątkowym krzyżem. Odznaczenie to zawisło na piersiach tysięcy Polaków, którzy jako poddani cesarza Franciszka Józefa I znaleźli się wówczas w szeregach jego armii.

mieccy, dążący do utworzenia własnego bloku sojuszniczego. W niedługim czasie zacięci wrogowie – Bułgarzy i Turcy – mieli stać się sprzymierzeńcami Berlina i Wiednia, a przeciwnikami Belgradu i Aten, potwierdzając odwieczną zasadę, że w polityce nie ma przyjaciół ani wrogów, lecz są strategiczne interesy, których realizacja wymaga elastycznego podejścia do emocji i resentymentów.

Krwawe konflikty bałkańskie, które rozegrały się krótko przed wybuchem Wielkiej Wojny w roku 1914, miały wpływ także na sprawę polskich aspiracji niepodległościowych. Coraz ostrzejszy konflikt interesów Austro-Węgier i Rosji sprzyjał bowiem urzeczywistnieniu marzeń środowisk niepodległościowych, upatrujących w przepowiedzianej przez Adama Mickiewicza „wojnie powszechnej" szansy na odbudowę suwerennej Rzeczypospolitej. Tak więc salwy w dalekiej Macedonii znacznie przybliżyły chwilę wymarszu Kompanii Kadrowej, oznaczającego początek walki o niepodległość i granice Polski…

Literatura i ilustracje:
1. J. Bonarek, T. Czekalski, S. Sprawski, S. Turlej, „Historia Grecji", Kraków 2005
2. W. Felczak, T. Wasilewski, „Historia Jugosławii", Wrocław 1985
3. J. Gozdawa-Gołębiowski, „Od wojny krymskiej do bałkańskiej", Gdańsk 1985
4. R. Rabka, „Bałkany 1912-1913", Warszawa 2010
5. J. Reychman, „Historia Turcji", Wrocław 1973
6. T. Wasilewski, „Historia Bułgarii", Wrocław 1988

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

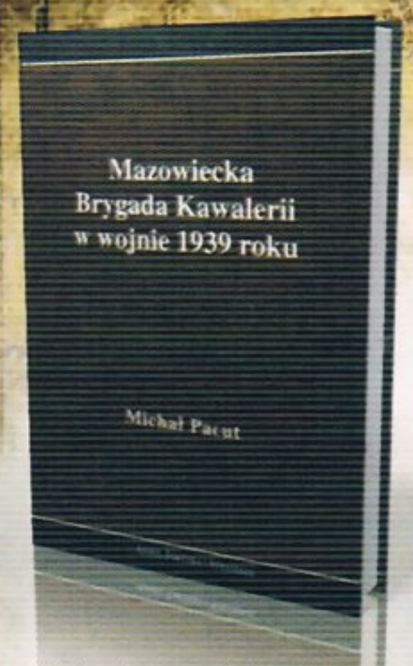

Michał Pacut, „Mazowiecka Brygada Kawalerii w wojnie 1939 roku", opr. twarda, str. 208, wyd. AJAKS, Taktyka i Strategia. Cena: 45,90 zł

Książka ta przedstawia szlak bojowy Mazowieckiej Brygady Kawalerii w kampanii 1939 r. Brygada stanowiła część Armii „Modlin". Jej szlak bojowy rozpoczął się na północnym Mazowszu, a zakończył na Zamojszczyźnie pod koniec września. Prezentowana publikacja ma układ chronologiczno-rzeczowy. Opisano tu m.in. mobilizację, koncentrację i zadania obronne brygady na północnym Mazowszu, walki graniczne brygady od wybuchu wojny do odejścia za Narew, działania pomiędzy Narwią a Bugiem w dniach 5-9 września, rozproszenie brygady w wyniku incydentu pod Głęboczycą, bitwę pod Suchowolą i rozbicie brygady oraz tworzenie oddziałów w Ośrodku Zapasowym Brygady.

Aleksandra Anna Kozłowska, „Góral generałem Andrzej Galica", opr. twarda, str. 588, wyd. Księży Młyn. Cena: 46,80 zł

Praca ta przedstawia życie i działalność Andrzeja Galicy – niezwykłej postaci w armii II Rzeczypospolitej. Działalność niepodległościową rozpoczął jeszcze przed 1914 rokiem. Podczas I wojny światowej służył w Legionach Polskich, brał również udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1920 r. otrzymał nominację na generała brygady. Od 1926 r. dowodził 21. Dywizją Piechoty Górskiej w Bielsku-Białej, a od 1930 r. stał na czele Okręgu Korpusu nr X Przemyśl. Następnie został posłem, a w 1935 r. – senatorem. Pisał również sztuki teatralne, które wystawiano w Krakowie i Przemyślu. Zmarł wkrótce po zakończeniu II wojny światowej. Pamięć o Galicy przetrwała w nazwach ulic wielu miast (np. Bielska-Białej i Zakopanego), jego pomnik stoi w Białym Dunajcu, a tablice pamiątkowe wiszą m.in. w Nowym Targu i Chicago.

Krzysztof Garbacz, „Przewodnik po zabytkach województwa lubuskiego t. 3", opr. twarda, str. 344, wyd. Agencja Wydawnicza PDN. Cena: 79,80 zł

W trzecim tomie przewodnika autor proponuje czytelnikom wędrówkę po 204 miejscowościach leżących w powiatach: gorzowskim, słubickim, sulęcińskim, międzyrzeckim i strzelecko-drezdeneckim. Opisy poszczególnych miejscowości składają się z prezentacji obiektów zabytkowych i krótkiego rysu historycznego. Obok polskich nazw geograficznych, umieszczone zostały także nazwy niemieckie, które obowiązywały do 1945 roku. Praca zawiera również ponad 150 kolorowych fotografii przedstawiających najciekawsze zabytki omawianych terenów.

Piotr Korczyński, „Elitarne jednostki specjalne Wojska Polskiego 1939-45", opr. twarda, str. 256, wyd. Vesper. Cena: 30,70 zł

Przedmiotem rozważań niniejszej książki są dzieje oddziałów specjalnych, formowanych we wszystkich armiach polskich walczących na frontach II wojny światowej. W rozdziale pierwszym opisano rozwój formacji specjalnych w państwach, których armie odegrały czołową rolę w II wojnie światowej oraz polskie plany i działania dywersyjne do 1939 roku. Rozdział drugi prezentuje dzieje polskiego spadochroniarstwa wojskowego od lat 30. Kolejny rozdział poświęcony jest 1. Samodzielnej Kompanii Commando i sformowanemu na jej bazie, 2. Batalionowi Komandosów Zmotoryzowanych. Treścią rozdziału czwartego jest historia najlepszych oddziałów specjalnych polskiej konspiracji wojskowej – oddziałów dywersyjnych AK. W ostatnim rozdziale ukazano natomiast przebieg działań specjalnych, prowadzonych z inspiracji komunistów polskich w ZSRS.

Bill Yenne, „Biała Róża ze Stalingradu", opr. miękka, str. 384, wyd. Vesper. Cena: 30,70 zł

Biografia Lidii „Lilii" Władimirowny Litwiak, najskuteczniejszej radzieckiej pilotki IIwojny światowej. W książce wykorzystano wspomnienia i dzienniki współczesnych Lilii, artykuły prasowe, dokumenty archiwalne i historie operacyjne jednostek. Publikacja określa miejsce zajmowane przez Lilię w radzieckim eksperymencie radykalnego równouprawnienia płci, dzięki któremu grupa zdeterminowanych kobiet wzięła udział w walkach II wojny światowej. Talent myśliwski, przejawiony przez Lidię Litwiak w czasie krwawych bojów z Niemcami, uczynił z niej prawdziwą legendę.

Leon Mitkiewicz-Żółłtek, „Kawaleria samodzielna Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 roku", opr. twarda, str. 576, wyd. Arkadiusz Wingert. Cena: 47,70 zł

Praca pułkownika dyplomowanego Leona Mitkiewicza-Żółłtka, mimo upływu półwiecza, do dziś jest książką, która najpełniej przedstawia wykorzystanie kawalerii w kampanii 1939 roku. Autor omówił tu m.in. skład samodzielnej kawalerii polskiej w roku 1939; tradycję, ducha i wyszkolenie kawalerii w przededniu wojny; rozwinięcie w koncentracji armii polskich wielkich jednostek kawalerii w sierpniu i wrześniu; przebieg działań wojennych z udziałem kawalerii samodzielnej, a także działania Grup Operacyjnych Kawalerii generałów Romana Abrahama, Władysława Andersa czy Zygmunta Podhorskiego. Niniejszą edycję książki wzbogacono o uzupełnienie autorstwa J. S. Tyma, obejmujące m.in. ogólną charakterystykę kawalerii samodzielnej w II RP, czy też analizę potencjału bojowego pułku oraz wielkiej jednostki kawalerii na tle jednostek niemieckich i sowieckich.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowe

odk księgarnia odkrywcy

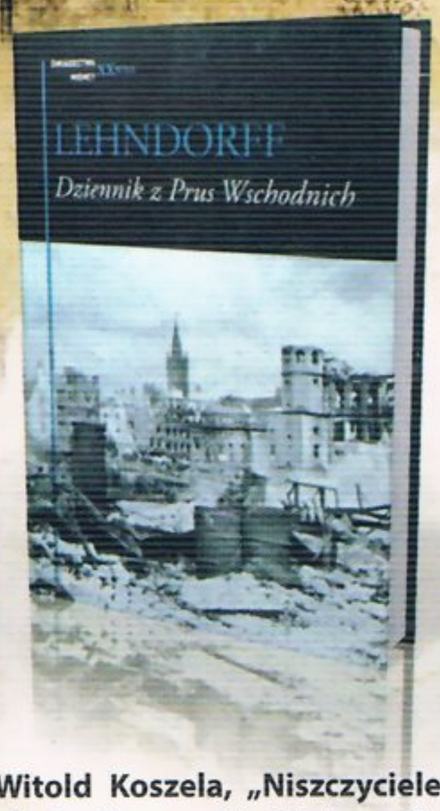

Hans von Lehndorff, „Dziennik z Prus Wschodnich", opr. miękka, str. 366, wyd. KARTA. Cena: 34 zł

Ostatnie dni wojny w Prusach Wschodnich, zwycięstwo 1945 r. i sowiecka okupacja, polskie początki na Mazurach – to wszystko czytelnicy odnajdą w zapiskach Hansa von Lehndorffa. Lekarz z powołania, wrażliwy obserwator i głęboko wierzący chrześcijanin odbywa swą wielką odyseję po spustoszonych ziemiach i daje wyjątkowe świadectwo ocalenia człowieczeństwa w czasach schyłku i katastrofy. Książka należy do serii „Świadectwa Niemcy XX wiek".

Igor Witkowski, „Germania 1947", opr. miękka, str.282, wyd. WIS-2. Cena: 29,40 zł

Powieść sensacyjna ukazująca alternatywną wizję historii II wojny światowej. Niemcom udaje się dokonać w niej zwrotu, dającego im zwycięstwo dzięki użyciu arsenału „cudownych broni" – „Wunderwaffe". Szalony plan budowy „Nowego Świata" Hitlera staje się rzeczywistością. Atutem książki jest oparcie fabuły na rzeczywistych, choć mało znanych, planach niemieckich. Lektura obowiązkowa dla wszystkich fanów twórczości Igora Witkowskiego.

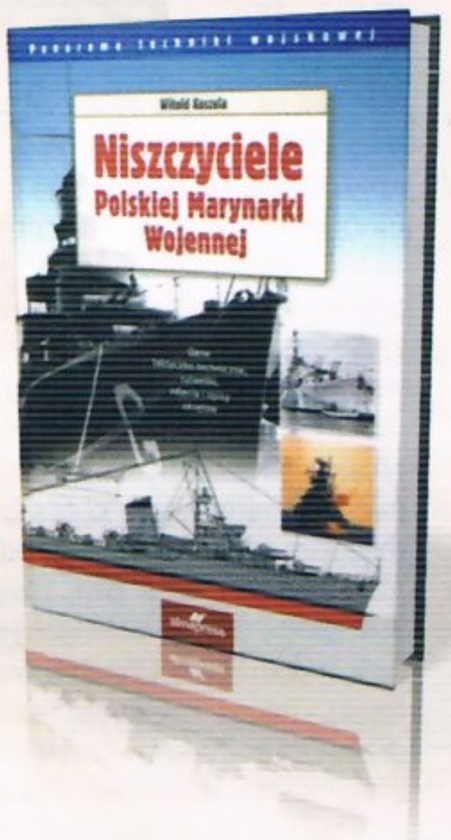

Witold Koszela, „Niszczyciele Polskiej Marynarki Wojennej", opr. twarda, str. 264, wyd. Alma-Press. Cena: 58,80 zł

Książka ta jest kompendium wiedzy na temat klasy okrętów służących w latach 1928-2002 pod biało-czerwoną banderą. Autor rzeczowo przedstawia historię każdego niszczyciela, szlak bojowy podczas II wojny światowej, umieszcza szczegółowe dane taktyczno-techniczne. Ważnym uzupełnianiem opisów okrętów są archiwalne zdjęcia (wiele opublikowanych po raz pierwszy), dokładne plany w dwóch rzutach, przekroje kadłuba i szkice wyposażenia oraz uzbrojenia, a także barwne plansze z przykładami malowania i kamuflażu.

Tomasz Łaszkiewicz, „Opowieść kampinoska 1944", opr. miękka, str. 108, wyd. Egros i MCKiS. Cena: 26,40 zł

Książka Tomasza Łaszkiewicza, harcerza Szarych Szeregów i żołnierza Armii Krajowej ma charakter wspomnieniowy. Autor i zarazem narrator opowiada w barwny sposób pasjonującą historię swojego udziału w walkach partyzanckich w Puszczy Kampinoskiej w okresie Powstania Warszawskiego oraz późniejszym, bojowym przemarszu w kierunku Gór Świętokrzyskich. Szesnastoletni wówczas Łaszkiewicz wziął udział w szeregu zażartych i krwawych potyczek toczonych przez oddziały Grupy Kampinos AK. Na kartach tej brawurowo napisanej opowieści autorowi udało się wskrzesić emocje towarzyszące zmaganiom z okresu II wojny światowej.

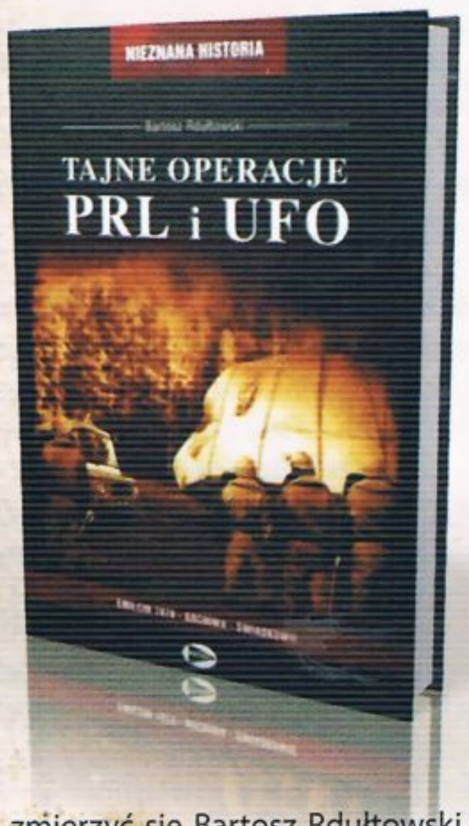

Bartosz Rdułtowski, „Tajne operacje. PRL i UFO", opr. twarda, str. 768, wyd. Technol. Cena: 67,90 zł

10 maja 1978 roku we wsi Emilcin doszło do zdarzenia, które na trwałe zapisało się w archiwach polskiej i światowej ufologii. Przybyła na miejsce ekipa specjalistów po kilku tygodniach bezprecedensowego śledztwa doszła do wniosku, że tzw. incydent emilciński stanowił autentyczny przypadek bliskiego spotkania z UFO i jego załogantami. Przez 35 lat opinii tej nikt nigdy nie podważył. Zdarzenie w Emilcinie pozostało najlepiej zbadanym i najbardziej wiarygodnym polskim przypadkiem kontaktu z UFO. Czy jednak w tej sprawie opinia publiczna poznała całą prawdę? Z tym pytaniem postanowił zmierzyć się Bartosz Rdułtowski. Wyniki jego poszukiwań okazały się być szokujące i stały się podstawą do napisania prezentowanej, liczącej blisko 800 stron książki.

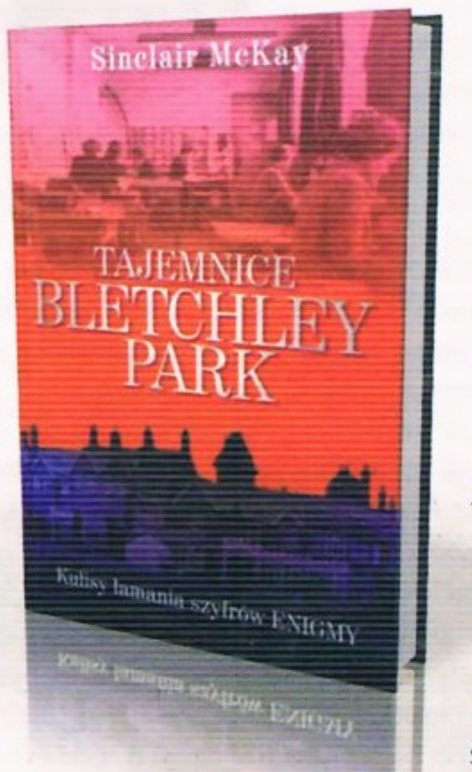

Sinclair McKay, „Tajemnice Bletchley Park", opr. twarda, str. 394, wyd. Muza SA. Cena: 44,10 zł

W tajnym ośrodku dekryptażu w Bletchley Park, podczas II wojny światowej, obok najwybitniejszych umysłów Wielkiej Brytanii znaleźli się studenci, panny z wyższych sfer, robotnice i kobiety z oddziałów pomocniczych Królewskiej Marynarki Wojennej – ludzie obdarzeni przenikliwością umysłu, siłą charakteru i energią, potrafiący nie tracić równowagi wewnętrznej i spokoju ducha, mimo nieustannej presji. Książka ta w fascynujący sposób ukazuje życie codzienne w tajnym ośrodku łamania niemieckich szyfrów. Znajdziemy tu także wątek polski – przypomnienie wkładu polskich kryptologów: Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego w złamanie szyfrów Enigmy.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

6,-

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne w kolorze granatowym i zielonym w rozmiarze L.

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

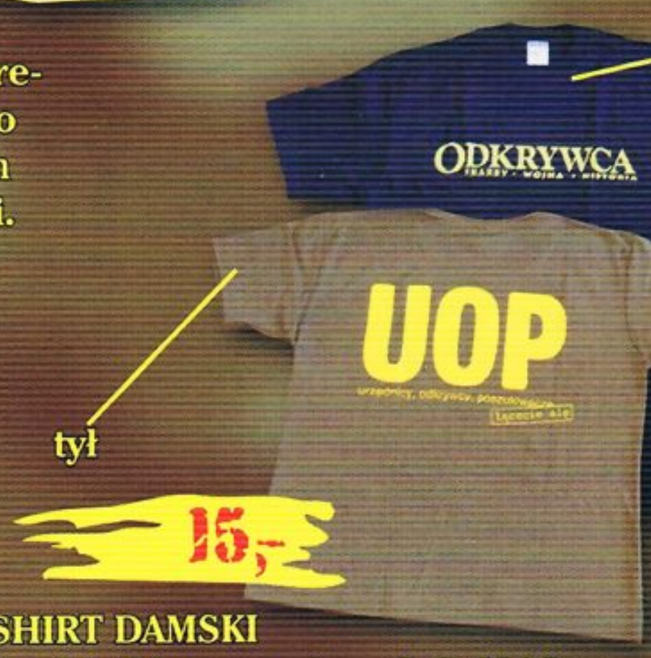

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 11/178

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

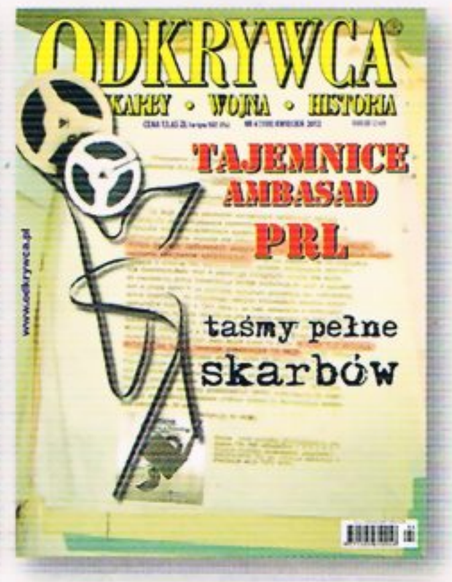

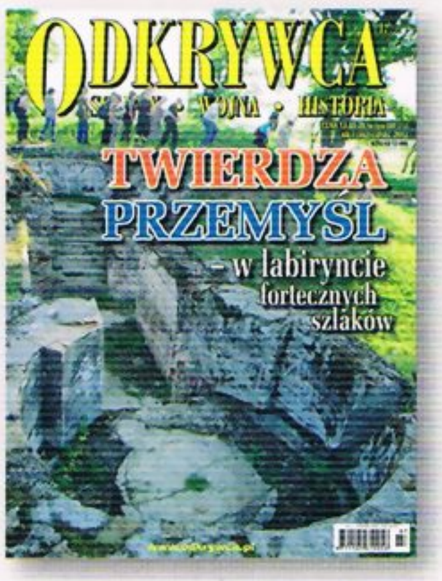

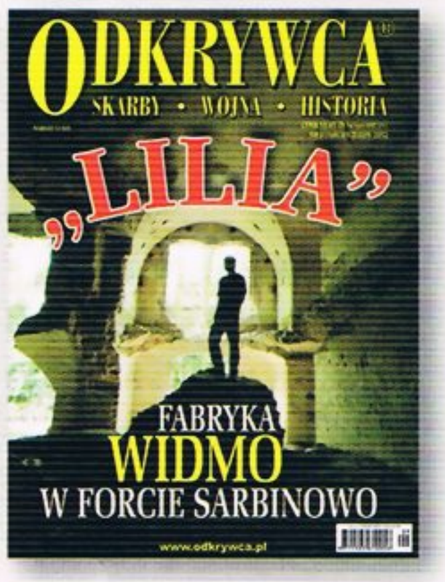

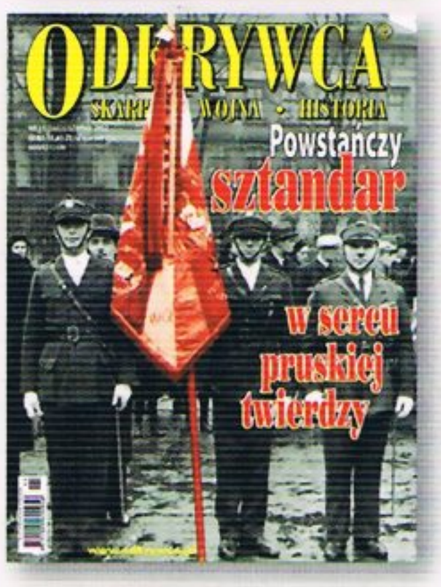

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.

ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:

BIC / SWIFT – ALBPPLPW

PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

► krajowa roczna – 147 zł; półroczna – 73,50 zł

► zagraniczna półroczna: 107,5 zł – list zwykły, 137,50 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.

telefonicznie: 71 329 71 71,

e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł za jeden rocznik
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł za jeden rocznik
- roczniki 2010 do 2012 – cena 108 zł za jeden rocznik

Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

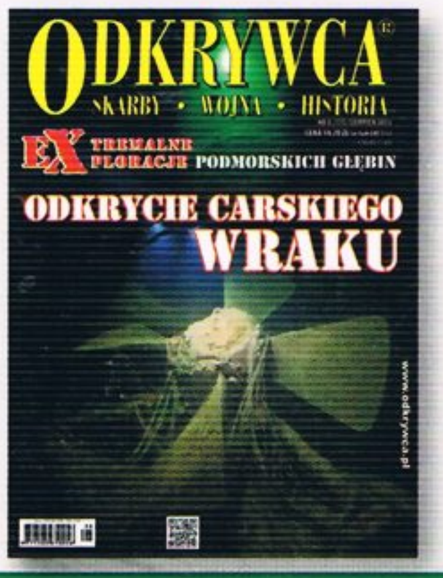

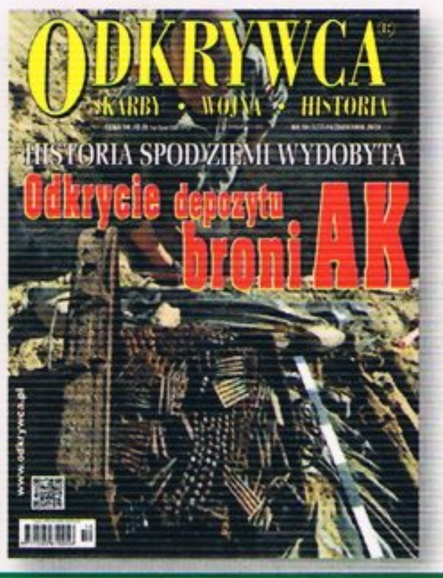

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71